



# Facek Komuda



Łozowski

Jacek Komuda

# Zborowski

*Polak to ma po naturze,  
Bić się polem, a nie w murze*  
Maciej Kazimierz Sarbiewski

*Jego Mości Panu  
Bogusławowi Kołcz  
Panu na zamku w Dubiecku,  
gdzie powstawała książka*  
z podziękowaniem Autor

## Starościc Jazłowiecki

Historia pana Samuela Zborowskiego młodszego zaczęła się w deszczu. Padało, jakby Pan Bóg chciał potopić wszystkich moczygębów i opilców. Samuel przemókł do szpiku kości. Tylko siedzenie w tureckiej kulbace i nogi przyciśnięte do końskich boków zachowały cokolwiek ciepła. Nie znaleźli noclegu w Ponizu, chruścianej mieścinie wyrosłej na wołoskim szlaku. Karczmę zajmowała obdarta kompania wolentarzy, mająca w herbie znak swawoli, a za starszego jakiegoś Murawskiego, który dla fantazji kazał się zwać panem rotmistrzem. Trzy szable to za mało, aby otworzyć wrota, więc Samuel i jego ludzie poszli w noc szukać noclegu.

I teraz rękodajny, Kozak Nikifor Hunia, wypatrzył chałupę na końcu zachwaszczonego zagonu. Drzwi wisiały na jednym zawiasie. Strzecha była dziurawa jak sito.

– Gadali w Ponizu – wycharczał, świecąc w ciemności oczyma – chłopów pohańcy porznęli. Straszy! – Błysnął białymi zębami spod poczernionego wąsa.

Pobożny Bohusz przeżegnał się jak pop na widok jezuity.

– Z koni! Światła dajcie.

Lało jak z cebra, ale Hunia zarem serca chyba rozgrzał hubkę, bo skrzeszał snop iskier, zapalił latarnię.

Chałupa, jak to na Podolu, nie miała osobnej komory – o komin lepiej było nie pytać. Na gliniastym klepisku rosły pokrzywy i inne chwasty. Palenisko wygasło chyba jeszcze za króla Stefana. Ruina... Jednakże w chwili, kiedy nadzieja na znalezienie kwatery utonęła w deszczu,

kleć wyglądała przytulnie jak dom, którego Zborowski nigdy nie miał.

– Wprowadźcie konie!

Ledwie Samuel wstąpił na rozmiękłą polepę, rozjechały się pod nim nogi. Gdyby nie ramię Huni, zatańczyłby jak Kozak z prysiadami.

Zdradziecka mokra glina! Bohusz wprowadził konie w ką, rozpinał popręgi, podpiersia, ściągał kulbaki z parujących grzbietów. Czapraki przemokły jak łachmany. Dymiły, kiedy rozwieszał je na sznurach.

– Dawaj horyłki!

Hunia powiesił latarnię na zardzewiałym haku. Sięgnął do juków po bukłak. Zborowski odpiął pas z szablą, przysiadł na pniaku. Niespodziewanie Kozak znalazł zbity z grubych desek blat, postawił go na trzech pieńkach, awansując na stół.

Samuel pociągnął łyk gorzałki: jeden, drugi, trzeci – dziesiątego nie starczyło, by zalać robaki gryzące jego duszę.

– Rozpalcie ogień.

Wyciągnął bukłak w stronę Huni, ale ten wsłuchał się w plusk deszczu.

– Zaraz i tak będzie gorąco! – syknął. – Na piczę mojej matki kokoty! Ławą wałą!

Bohusz zakrzusił się kęsem słoniny, który zwędził z juków. Jego oczy stały się okrągłe jak dwa księżyce. Kozak po przyjacielsku wałnął go pięścią w plecy.

– Na kolana i klep pacierze, chłopku!

– Hunia, gotuj się!

Kozak roztopił się w mroku jak duch. Zborowski usłyszał trzask kurka opuszczanego na panewkę. Sięgnął po nadziak. Ukrył go pod stołem niczym tuza w rękawie.

Z pola doszło kłaskanie kopyt i ludzkie głosy. Potem zakotłowało się przed chatą, jakby ktoś wywalił beczkę żywych węgorzy.

Weszli w sześciu. Pijani – jeden się potknął, omal nie zwałił w pokrzywy. Na czele stał wysoki szlachcic w karmazynowej delii i czapce zwieńczonej złotą szkofią. Młode oblicze, wąskie brwi, skośnawe oczy jak u ruskiej szlachty Ogarnął mętym wzrokiem Zborowskiego, konie, zmrużył oczy od blasku latarni. Z tyłu wrzały głosy jak w bulgocącym saganie.

– Co to za jedni?! Kto śmiał?

– Czyje konie?

Nieznajomy milczał. Zborowski wiedział od razu, że to pan i władca – wodzący kompanów na tak krótkim munsztuku, że nie mieli prawa podskoczyć nawet na piędź. Samuel był pewien, że znowu spełniło się przekleństwo. W noc, w którą żał byłoby wygnać psa, przyszli wypędzać go z opuszczonej chałupy.

Z gromady wyskoczył mały szlachetka, czupurny jak kogut na własnym podwórku, z płowym wąsikiem, wąską gębą i głęboko osadzonymi ciemnymi oczyma. Jeden z tych, co wylechtani obuszkim, wracają z szablą, a ululani na stryczku, wywracają całą szubienicę.

– Proszę, proszę – zagadał. – A za czym pozwoleniem acan tu stoisz?

– Tego – Zborowski wskazał dziurę w strzesze – kto mi pozwolił żyć i chodzić.

– Do mnie? – Zaskrzeczał kogut. – Mówisz to do mnie?! Powtórz raz jeszcze! Miejsce zajęte! Kwatera pana Ruszczyca.

– Zły gospodarz, który dał jej zarosnąć pokrzywami. Nie ma tu pieca, drzwi ani okien.

– Ty myślisz, że ja mam czas z tobą gadać?!  
Wyganiaj konie! Nie osiedzisz się!

Szlachetka dzielił Bohusza złożonym w pół nahajem.

– Dymajcie na gościniec! Szukać szczęścia. I nowej kwatery!

– Kto szuka guza, znajdzie go niejednego. – Zborowski położył dłoń na szabli.

– Dyc, mospanie, pomieścimy się wszyscy – jęknął Bohusz. – Miejsca tu star...

Kogut złapał za szablę. Przedwcześnie! Krótki gest ręki młodego watażki osadził go w miejscu jak wystrzał z rusznicy.

– Odstap, waść – rzekł młody panek spokojnie. – Chcesz zwady?

Czupurny sługa z nahajem wytrzeszczył oczy; wpatrzył się w oblicze pana Samuela jak bisurmanin w Allacha.

– To jest Zborowski – wykrztusił niepytany. – Syn tego...

Zborowski... To słowo podziałało jak iskra na prochy. Nazwisko, do którego lgnęli wywołańcy i hultaje, a ludzie poczciwi na jego dźwięk odwracali głowy i nader chętnie obciążali je winą za cudze grzechy.

– Dam wam miejsce. Przecież... Zmieścimy się wszyscy.

– Ja ciebie znam – zadudnił głos młodego Ruszczyca. – Ojciec cię przysłał!

– Chyba z za grobu!

– Mało mu było krwi i zwady! Wynajął na mnie... Zborowskiego! Ja nie wrócę! A jeśli, to po jego trupie!

– Co waszmość pan mówisz? – Zapytał Samuel, bo

sluchajac słów Ruszczyca, czuł się jak na tureckim kazaniu.  
– I o czym ojcu?

Odpowiedź była krótka.

Ręka chwytająca za ormiankę, szarpiąca rękojeść, gdy pochwa skreśliła się w drugiej dłoni.

Zborowski poczuł, jak owionął go pijacki dech Ruszczyca; świst szabli ciął powietrze.

– Raaaz! – Ryknął Ruszczyca. Skoczył na Zborowskiego, rąbnął z góry, prostą primą i...

Samuel uchylił się, wywracając pieniek. Zerwał się i stanął bokiem *in quartato*, a szerpentyna Ruszczyca wbiła się w blat. Uskakując, Zborowski sięgnął po broń. Szabla z łańcuszkiem sama wskoczyła w rękę jak wierna kochanka...

Zahaczył nadziekiem klingę Ruszczyca, przygwoździł do stołu! A potem podsunął tamtemu sztych szabli pod brodę.

To znaczy – chciał podsunąć. Nagle przeciwnik pośliznął się na gliniastej polepie – w tym samym miejscu, gdzie omal nie wywinął orła Zborowski.

Glina zdradziła!

Ostrze weszło w gardło jak w masło; szlachcic nadzieł się na wystawiony sztych tak okrutnie, że i poprawiać nie trzeba było.

Krew siknęła jak z bitego wieprzka, na stół, na Zborowskiego, na bukłak z gorzałką...

Samuel szarpnął szablę, w półmroku, w zwarciu nie mógł jej wyrwać. Potrącił stół, zwałił go pod nogi Ruszczyca i wtedy oswobodził ostrze.

Ranny zacharczał głosem tłumionym przez sikającą z gardła krew. Zatoczył się, zwałił na kolana. Czarna krew pełna drobnych, pękających pęcherzyków plamiła usta.

Chciał coś rzec, wpatrzony błędnym wzrokiem w



pogromcę. Nie znalazł sił; zwałił się na blat, między pieńki. Rzeził, dusił się...

Zborowski zbladł, bo pchnięcie było śmiertelne. Wbił okrwawioną szablę w polepę, podniósł w górę otwartą prawą dłoń.

– Spokój, waćpanowie!

Nie posłuchali. Zborowski dojrzał ostrze skierowane ku swej piersi... I wściekłe oczy sługi. Konus pędził nań z nastawioną bronią, z wyciągniętą szyją i przekrzywioną głową – jak kogut na podwórku.

Zborowski był bez szabli...

Przechwycił w locie przegub przeciwnika! Rąbnął nadziekiem od dołu, w miejsce, gdzie przedramię staje się dłonią. I wyłuskał szablę z garści tamtego jak orzech ze skorupy.

Zblokował rękę szlachetki na własnej piersi, porwał go w tany, obracając w piruecie; dodał skrzydeł kopniakiem w miejsce niżej pleców, zwane pobożnie sepetem, a po hultajsku – zadkiem. Wypuszczając z objęć – zdzielił nadziekiem po krzyżu; zwrócił kompanom koguta mało nadszarpniętego na ciele, za to o wiele więcej na duchu.

Podniósł się krzyk, gdy szlachcic potknął się o dygocącego Ruszczyca, wpadł między towarzystwo niczym kula z arkebuza, roztrącił, zwałił z nóg.

Zanim zdolali się pozbierać, Zborowski porwał za pistolet, zaświecił im w oczy długą lufą puffera.

– Stać! – Warknął. – Albo was powystrzelam jak kundle!

Z ciemności wychynał Hunia. Trzymał Starycę w rękach niczym młodycię. Otwór garlaczka był czarny jak gardło smoka. A jego rozmiar przywodził na myśl spiżową

lufę kolubryny.

– Spokój!

Z drugiej strony nacierał Bohusz z rusznicą. Światła było mało, nikt więc nie widział, że ręce trzymające łoże drżały.

Kompani Ruszczyca, pijani, pewnie rzuciliby się prosto na lufy, gdyby nie jeden z nich – w kapturze, z kosturem pielgrzyma lub kwestarza.

Uderzył łagą najbliższego z panów braci po ręce z taką siłą, że szlachcic wypuścił szablę, drugiego bez pardonu zdzielił w łeb, krew pozostałych chłodził dźwięcznym, przenikliwym głosem:

– *Pax, pax*, diabłeta! Pokój między chrześcijany!

– Zabierać rezuna i precz! – Zborowski ciął słowem jak nahajem. – Na gościniec, fajdanisy! A tego... Opatrzyć, bo się wykrwawi.

Pątnik przypadł do rannego, ujął za ramię, aby przewrócić na bok. Pod ciałem utworzyła się prawdziwa kałuża krwi.

– Ruszczyca zabity! – Jęknął pielgrzym. – Na śmierć.

– Stój! – Zborowski prawie popchnął lufą najbliższego szlachcica. – Bo będziesz następny!

Deszcz szalał na dworze, skapywał na blade oblicza towarzyszy zabitego. Samuel wskazał ciało ruchem głowy.

– Zabrać pana i precz!

Zawahali się i tym samym stracili ostatni moment, by roznieść wrogów na szablach. Karta przeszła na stronę Zborowskiego i jego pocztu. Kogut, który bez szabli wyglądał jak kapłan, obejrzał się na Kozaka. Widząc szczerzy uśmiech Huni, splunął pod nogi.

– Dziś w deszczu wygrałeś tę partię, mospanie – wycharczał. – Ale jutro spotkamy się na słońcu.

– Wychody! – Hunia ponaglił go lufą Starycy. – Szybko, mospan Raszowski. Staryca głodna, Staryca zła. Nie chciałbym jej karmić waścinyami bebechami...

Kompani zaburczeli, ale posłuchali. Chwycili bezwładnego Ruszczyca, podnieśli ciało wciąż broczące kropelkami krwi. Pątnik ujął go za głowę, przeżegnał.

– *Pater noster, qui es in caelis, fiat voluntas Tua* [Łac. - *Ojcze nasz, któryś jest w niebie, bądź wola Twoja.*] – zaintonował.

Zawalidrodzy wyszli, zataczając się od pijaństwa. Zwycięzcy zostali sami w szumie deszczu.

– Jak powiedziałaś? Raszowski? Znasz go? – Zapytał Zborowski Nikifora. – A skąd?

– Zabójca pana Rabrowskiego. Banita, wywołaniec.

– A ten Ruszczyca to kto?

– Nie znam, choćbyście pasy darli.

– Zechcę, to i będę drzeć.

– Byłoby za co, panoczku. Oj, tęskno mi. Ckni się...

– Za czym?

– Poszedłbym, choćby z nimi! – Wypalił Kozak prosto z mostu. – Poswawolić, pohulać. A u was służba, cierp, Kozacze, głowę schylaj. Jak u murwy mojej matki. Dukatów nie ma, a ciągle służ!

– Jak pies! – Zgodził się Zborowski. – Kulbaczcie konie. Wolę być sto mil stąd, kiedy powrócą. Bo to, że wrócą, pewne jak amen w pacierzu!

Kozak przygryził węża, ale skłonił się wzięty na smycz posłuszeństwa.

– Bohusz! Zbieraj się.

Rumiany i okrągły sługa wpatrywał się w plamę krwi na polepie, w zdeptane chwasty. I ledwie widoczny szlak ciemnych kropel wiodący ku wejściu, znaczący

ostatnią drogę Ruszczyca.

Pocziwy chłopiec nie wytrzymał. Skoczył za konie, padł na kolana. Zborowski słyszał, jak przenicowuje żywot, zwracając i tak ubogą wieczerzę.

– Laboga świętego! – Jęczał chłopak. – Poszaleli panowie. Bo to... nie można było razem, pod jednym dachem? Jak chrześcijanie?! Czego ja nie zostałem w Czufut-Kale. Albo to źle mi było...

Bóg tak chciał, myślał pobladły Zborowski. Bo niezbadane są wyroki Jego.

2.

– Laboga! – lamentował Bohusz. – Dyc konie bym przestawił, razem przy ogniu cieplej by było. Polewkę byśmy uwarzyli, kiełbasy z juchą, a może i zajączka na rożnie. A jeszcze i to waszmości powiem, że kara na was będzie za pychę i zwadę...

– Zamilcz! – warknął Zborowski. – Co ty wiesz o szlacheckiej fantazji, pacholku?!

Płynęli płaskodennym promem zwanym bykiem przez Dniestr. Oryle napierali na pojazdy, mokra lina skrzypiała na kołowrocie. Wilgotne pasma mgły opadały ze wzgórz upstrzonych brązowymi smugami osypisk.

– Towarzystwo czeka na drugim brzegu – mruknął Hunia. – Będzie ze dwadzieścia głów. Hu-ha, pohulamy! Dla każdego starczy, nie bójcie się.

Zborowski wyteżył wzrok, ale na drugim brzegu widział tylko pomost, stosy beczek i szopy smolarzy.

– Sabaty. Czapy z rękawami jak u lackiej delii.

– To czego stoisz?! – warknął Zborowski. – Szykuj Starycę.

Wyteżył wzrok, ale nic nie zobaczył. Szlag! Musiał się zdać na sokole oko Huni.

Coś zaswędziało go na szyi, pod lewym policzkiem. Sięgnął ręką i zdrapał ze skóry grudkę krwi Ruszczyca.

Obrócił się do starszego oryla, który mocował się z upartym sterem byka.

– Zawracaj!

– Słucham, jaśnie wielmożny panie?!

– Wy tam, rzućcie w diabły pojazdy! Zawracamy.

– Wasza wielmożność, a cóż się stało?!

– Nie lubię ścisku na drugim brzegu. Słyszysz, co mówię?!

Stary oryl o pomarszczonej gębie, rozparty na szeroko rozstawionych nogach, pokręcił wolno głową.

– To już dopłyniemy, panie. Prąd rwie, jakoby dydko nami kotłował. Nie wrócę... bo – stęknął boleśnie – ludzie nie wydolą!

– To rozkaz, słyszysz?!

– Ja słyszę, wszystko słyszę. Niech wasza wielmożność nie krzyczy, bo nie ma potrzeby!

– Cóż to, bunt, chamie?!

– Ja cham, ale nie waszej miłości poddany. Ja mam swój rozum. Ja nie przestanę płynąć. A wasza miłość co uczyni? Zabije mnie, starego?

„Tak!” – ozwał się w głowie Samuela jego ojciec, banita Zborowski. „Zabij go, synu! Tnij szablą! Dobij nadziekiem!”

– Nie! – Młody Zborowski patrzył na spracowanego chłopca, na dygocące z wysiłku ramiona i ręka uniesiona do szabli opadała bezwładnie.

„Słabyś” – szeptał ojciec banita. „Słabyś i tchórzliwy... Precz!”

Byk z łoskotem uderzył w drewniane bale, zakołysał się. Na przystani czekali sabaci w czerwono-białych barwach. Pięciu konno, jakby gotowych do pościgu; reszta pieszo. Pocieszające, że półhaków i arkebuzów nie kierowali jeszcze w pierś Samuela.

Szedł ku nim wolno, prowadząc swego konia – Pioruna. Za nim podążał Hunia, wiodąc złego i srokiego Bohinia. Na końcu Bohusz z barylkwatym Wołoszynem.

Chwila dłużyła się niczym wyrok w starościńskiej wieży.

– Mości panie Zborowski!

Samuel porwał za szablę. Sabaci podnieśli półhaki i rusznice!

Zza worków i beczek wyszedł stary, zgarbiony szlachcic o marsowym spojrzeniu. W ręku gniótł kołpak, przerzedzone włosy podgolone miał równo, na donicę. Objął Zborowskiego wpół, poklepał dygocącą starczą dłonią po plecach. Z siwym wąsem skrzącym się pod wielkim nochalem, rumianą gębą i oszronionym łbem wyglądał jak portret trumienny idealnego Sarmaty.

– Samo niebo nam ciebie zsyła, mości panie Zborowski. A czekaliśmy, czekaliśmy długo. Każdy, kto szuka, znajduje. Kto kołacze, tego wpuszczają, choćby i na królewskie komnaty, panie bratku.

– Skąd mnie acan znasz?

– Jakżebym nie znał syna sławnego Samuela. Co w dalekim Krakowie pod basztą Lubranką dał gardło pod miecz węgierskiego tyrana... Do rzeczy jednak, do rzeczy, panie bratku.

– Kim waśc jesteś?

– Jędrzej Porycki, sługa unizony waszej mości. Klucznik i powiernik jaśnie oświeconego Michała Jazłowieckiego, starosty chmielnickiego, pana na Jazłowcu, Husiatynie, Kossowie, Rożnowie, Załużu...

– A cóż pan jaśnie oświecony starosta Jazłowiecki z Chmielnika i Jazłowca chce od pana Zborowskiego bez ziemi?!

– A... Zaprosić w gościnę, panie bratku, na zamek. Do samego Jazłowca!

– Czy aby zaprosić na biesiadę, trzeba dwudziestu sabatów? A może owi żołnierze mają zawlec mnie do starosty na powrozie, jak Tatarzy jasyr?!

– Uchowaj, Panie Boże! – Jędrzej ułapił szlachcica za rękaw. – Drogi niebezpieczne, panie bratku, a koło Lwowa na traktach trwogi!

– Mości Jędrzeju, lepiej powiedzcie wprost, jaką sprawę ma do mnie jegomość Jazłowiecki. O co idzie? O politykę? Zajazd? Uprzedzam, że nie jestem najmitą jak Jacek Dydyński. Zbyt cenię wolność, aby zmienić się w dworaka.

– To tylko dobra wola jegomości! – Jędrzej strzelał jak wojskowe organki. – Gościnność szlachecka, panie bratku, bo gdzie gość w domu, tam i Pan Jezus przyjdzie.

– Może i będę potrzebował Jego łaski – mruknął Zborowski. – Mam nadzieję, że nie jakieś gardłowe sprawy, bo właśnie przypadkiem przykroilem jednego szlachcica do trumny. Znałeś waszmość Ruszczyca? Nie wiem, z których on tam Ruszczyców, z poczętych w krzakach, w bramie czy na wozie, ale rzecz pewna, że jego gałąź rodowa uschła.

– Jeśli masz, bratku, sprawę z kryminałem – tym razem Jędrzej ułapił Zborowskiego za guz u delii – pan z

Jazłowca chętnie pomoże. Tak, niejednego on już wyciągnął z wieży. Byli i tacy, których podniósł na nogi z katowskiego kobierca. I to razem z głową!

Zborowski spojrział przekrwionym wzrokiem. Nie spali całą noc, zmęczone konie spuszczały łby. Bohusz podrzemywał na stojąco.

– Pojadę do Jazłowca – zdecydował Samuel. – Tylko puśćże wreszcie mojego guza.

3.

Jazłowiec był nagrany słońcem i śmierdział chłopską posoką. Ledwie nadciągnęli od strony Nowosiółki, traktem przez zbocze góry, schodzącym łagodnie ku zakolom Jazłowczyka i Olchowicy, do Jędrzeja przypadła młoda dziewczka. Bosa i złotowłosa, z wiankiem na głowie, w zapasce.

– Przez mękę Spasitiela, pomyłuj, jasny pane! – krzyknęła raczej, niż prosiła, chcąc złapać za rękę szlachcica. Stary klucznik odganiał się przed tym jak przed pocałunkiem Judasza.

– No, no, Sołokija, dajże spokój.

– Pomyłuj Opanasa, pane. Pomyłuj nas, jak Hospodi, oczysti jego hrechi,[ Scs. - Panie, zbaw jego grzechy.] władzyko!

– Odstap! – warknął, widząc, że dziewczka chce złapać konia za munsztuk. – A co ja mogę, myślisz, a? A przecież nie chodził to ja do pana starosty? Nie mówił, coby twemu batce folgował? I co wskórałem? Nic! Nie do mnie, dziewczko, składaj ręce!



– To puście, jasny pane, na zamek. Ja panu staroście... do nóg, jako przed Ojcem niebieskim. O zmiłowanie proszu...

– At, co gadać, poszła precz! – Jędrzej stuknął konia ostrogą, przejechał obok, odwracając głowę. Sołokija zaszlochała; obejrzała się na Hunię, jakby szukając ratunku u jedyne go Kozaka wśród panów.

Żle by wybrała, bo w sercu Huni nie było litości dla nikogo, nawet dla siebie samego.

– Hardzi ci nasi chłopci kabany! – mruknął Jędrzej, kiedy przejeżdżali przez bramę. – Raz im popuścisz, zaraz na łeb wejda. Albo pod pierzynę.

– Pod pierzynę nie byłoby źle – mruknął Zborowski, dostrzegając kątem oka, jak dwaj hajducy odpędzają Sołokiję od bramy i bronią jej wejścia do zamku skrzyżowanymi Czekanami.

– Breszesz, bratku. Mój rycerz by poległ w tym starciu jak Zawisza pod Golubcem. Nie w moim wieku gonić z kopią do pierścienia.

Dziedziniec powitał ich gorącym nagrzanym kamiennym płyt. Zborowski rozglądał się za gospodarzem, ale zamiast niego ujrzał satyrę na leniwego chłopca. Pod kuźnią stał przy pręgierzu dygocący półnagi człowiek ujęty w karby żelaznej kuny. Samuel drgnął, słysząc świst i mokre plaśnięcie, z jakim korbacz spadł na okrwawione plecy.

– Czterdzieści siedem... Dość, Opanas – rzekł kościsty, ponury człek w samej koszuli i hajdawerach. Sapnął, podniósł okrwawiony bat, otarł pot z czoła. – Odpoczniesz. Bo jeszcze drugie czterdzieści cię czeka! Odlewanych!

– Prosimy do komnaty. – Jędrzej rozłożył ręce. –

Gość w dom, Bóg w dom!

– Płochy bije – mruknął z okrutnym uśmiechem Hunia. – Pary w łapach nie ma. Ja bym od razu przez zębra, o tak... – Zamachnął się ręką, aż długi, poczerniony wąs wypadł mu zza ucha. – Na ukos ciąć, batem kręcić, wyrywać kawałki mięsa...

Jakiś hajduk wskazał Bohuszowi i Nikiforowi drogę na kwatery, a Jędrzej pociągnął Zborowskiego za rękaw do komnat. Samuel rozglądał się ciekawie, bo zamek był nieprzyzwoicie bogaty. Spoglądał na weneckie szyby w oknach, ściany obite postawami czerwonego sukna, flandryjskie arrasy, dywańskie kobierce i wreszcie upchane gdzieś po kątach kołtryny, to jest obrazy malowane na tkaninie. Zobaczył pstroźlociste ławy do siedzenia, a pod ścianami komody, ławki, kaflowe piece, kredensy błyszczące srebrnymi talerzami, misami i paterami. Rzeźbione stropy i kasetony wyobrażające różne osoby – przeważnie Wenereę, Jowisza i innych pogańskich patronów mocy, miłości i powabu.

A wszystko to uzupełniała broń: szable, ormianki, ordynki, buzdygany, pancerze i juszmany, szmelcowane kirysy, misiurki, szyszaki husarskie i rajtarskie, zdobyte pewnie na Szwedach. Kałkany i portrety Jazłowieckich, wśród których wyróżniał się mocno poczerniały Jerzego – wojewody ruskiego i hetmana wielkiego koronnego, założyciela rodu.

Michał Jazłowiecki, starosta chmielnicki, oczekiwał na nich w sali o ścianach obitych atłasowymi brytami, obwieszonych bronią i obrazami. Nie czekał, a leżał. Nie leżał, ale dogorywał.

Przestąpiwszy próg, Zborowski ujrzał łożę, gdzie na piernatach, z poduszkami usłanymi wysoko pod głową,

spoczywał kościsty starzec z sumiastym białym wąsem i wysokim, podgolonym czołem. Czujne żółte oczy osadzone były głęboko w oczodołach. Na łbie bielily się szarpie bandaża.

Obok przy klęczniku przycupnął młody bernardyn, przesuwający paciorki różańca.

Jędrzej padł na kolana i posunął się do ręki dobrodzieja. Zborowski skłonił się, zdjął czapkę z czaplím piórem. Niespodziewanie Jazłowiecki odezwał się pierwszy:

– Powitać sławnego pana Zborowskiego... Którego ojca miłowałem jak brata własnego. I byłem niepokieszony, gdy opuścił ten padół.

– Stare dzieje, mości panie starosto. Chciałeś mnie widzieć, jestem, choć nie wiem, czy na usługi.

– Rad cię ugoszczę na Jazłowcu.

– Wolałbym wcześniej się dowiedzieć, jaka jest przyczyna twego zaproszenia. Przywykłem, że kogoś, kto zowie się Zborowski i pieczętuje Jastrzębcem, nie zaprasza się li tylko dla towarzystwa. Albowiem goszczenie mnie nie zawsze kończy się dobrze dla gospodarzy, przez grzechy nieszczęsnego ojca banity.

– Tutaj nie musisz się bać Zamoyskich i Żółkiewskich, mój synu – rzekł wolno Jazłowiecki. – Dobrze odgadłeś – wydyszał. – Mam do ciebie prośbę. Przez wzgląd na twego ojca, w którego winę powątpiewałem zarówno ja, jak i moi bracia nieboszczycy, Hieronim i Mikołaj.

– Kawa na ławę, jak mawiają Ormianie. O cóż waszmości idzie?

Starosta odetchnął chrapliwie, jakby się dusił.

– Potrzebuję pomocy. Mój syn... Bernard... Podniósł

na mnie rękę. Zranił tak, że dobywam ostatniego ducha.

Rozkaszał się, a Jędrzej przyskoczył bliżej, chwycił srebrny kubek ze stolika, ale starosta chmielnicki odtrącił go precz.

– To wszystko, panie Zborowski, niewiele waży. Ja nie chcę go karać. Darowałem mu grzechy. – Zaszlochał, a po policzkach stoczyły się dwie grube łzy. – Bo to jedyny syn. Ostatni z rodu... Dziedzic fortuny Jazłowieckich. Namówili go hultaje, wywołańcy, psie syny – dyszał Jazłowiecki. – Diabłeta Stadnickie. Zwłaszcza Władysław z Łańcuta. Pobuntowali przeciw ojcu, aż uszedł i zaszył się gdzieś. To... To... – charczał, zbladł i trząśł się. Uparty Jędrzej znowu przycisnął mu kubek do warg, napił jakąś driakwią albo remedium. Cokolwiek to było, nie skróciło cierpienie starego. – To nie jest, panie bracie, gardłowa sprawa. Chcę, abyś go odnalazł, bo jeśli nie ty, to kto? A potem przemówił do rozumu. Wybłągał słowami ojca, aby wrócił. A ja mu wszystko wybaczę, aby tylko był przy mnie.

– Wynajmij Jacka Dydyńskiego, jest lepszy.

– Dydyński to rzeźnik. Skąpy, chciwy na złoto. On nie ma serca. Nie wie, co to ojcowska miłość. Oni swego rodzica razem z bratem zadusili, jak mówią, aby rozdrapać włości. Rąbali się szablami, kiedy stary dogorywał w izbie.

Rozkaszał się ponownie, a Zborowski poczuł zimny chłód.

– Trzeba panicza znaleźć szybko, bratku – rzekł Jędrzej – bo zanadto poswawolił i dorobił się kilku wyroków. Kilku to mało powiedziane, został banitą i infamisem. A przecie Jazłowiecki nie może pójść do starościńskiej wieży ani stracić głowy. Bo co by był za porządek, gdyby syn starosty i karmazyna dał gardło dla

uciechy chamów? Słońce by spadło z firmamentu, morze z brzegów wystąpiło, a Mać Boża szlochala krwawymi łzami. My wszystko popłacimy, zajednamy. Byleby wrócił, ot co!

– Jakże wygląda syn waszmości?

– O, tu masz portret.

Zborowski spojrzał. I przeklął sam siebie. Z włoskiego płótna spoglądał nań wysoki, młody szlachcic. Pan w delii i kołpaku z trzęsieniem. Młode oblicze, wąskie brwi, nieco skośnawe oczy jak u ruskiej szlachty...

Niepodobny do ojca.

Niepodobny teraz, w oczach Zborowskiego, w ogóle do kogokolwiek żywego.

Bo martwy od dwóch dni. Zabity szablą Samuela w starej chacie w Ponizu.

Pan Ruszczyc! Zawalidroga.

Odmienił nazwisko, pomyślał Zborowski. Kazał się zwać Ruszczycem, aby nikt go nie poznał.

Poczuł lód w sercu. Ta sprawa robiła się równie gardłowa jak proces o wychędożenie żony Radziwiłła.

– Jak dawno nie widziałeś waszmość Bernarda?

– Dwa, trzy... Nie... Będzie od kwietnia... Prawie kwartał.

– A jeśli twój syn nie żyje?!

Starzec poderwał się z łoża tak gwałtownie, że aż zaskrzypiały deski. Uchwycił Zborowskiego pożąłką dłonią za ramię, tak mocno, że każdy z paznokci pozostawił po sobie bolesne wgłębienie.

– Ty mi takich rzeczy nie mów! O nie, mości Zborowski, Bernard musi żyć! Musi i żyje! Bo jeśli zginął, to mnie, staremu, pozostała już tylko zemsta! Zemsta na tym, kto porwał się na starościca. Bo to tak samo, jakby

porwał się na cały ród Jazłowieckich! Na mnie, na mego ojca Jerzego, na braci Hieronima i Mikołaja. I Piotra Andrzeja, co zszedł na febrę w czasie podróży do Rzeszy. A ramię, które targnęło się na nasz ród, powinno być skruszone i spalone. – Dygotał i charczał, plując kropelkami śliny.

Jędrzej wraz z bernardynem objęli go wpół, prawie siłą obalili na poduszki. Zborowski dojrzał, jak na szarpkach spowijających dumne czoło pojawiła się czerwona plamka, zrazu mała, ledwie widoczna, ale powiększająca się z każdą chwilą.

– Bernard żyje! – ryczał starosta chmielnicki. – A jeśli zginął, przywieziesz mi jego kata, mości panie Zborowski. Bo tego, kto zamachnął się na nasz ród, każę rozerwać koźmi, będę darł pasy i własną ręką wcierał sól w rany. Będę wiercił świdrem oczy, piekł na ogniu, czy to będzie chłop, Kozak, Żyd czy szlachcic. Bo ja jestem Jazłowiecki! Mnie stać na główszczyznę nawet za kniazia i królewicza!

Mnich i Jędrzej ledwie utrzymywali starca na łożu. Zakonnik chciał łać w gardło medykamenty, ale starosta plwał remedium, wykrzywił usta w złości.

Na zewnątrz, na dziedzińcu, rozległ się słaby krzyk chłopa bitego pod kuną. Samuel skrzywił się, bo wrzask uświadomił mu aż nadto boleśnie, że starosta nie zwykł rzucać słów na wiatr.

– Nikogo ci nie przywiozę – rzekł twardo. – Nie umiałbym znaleźć Bernarda, bo nie jestem zagończykiem, nie w mojej mocy łowić ptaki w powietrzu albo łapać w morzu ryby gołymi rękoma. Jeśli liczyłeś na mnie, to powiem prosto: nie można polegać na Zborowskim jak na Zawiszy, bo jestem synem banity i wywołańca, a nie

zaczynam i uczciwym obywatelem.

– Ja tobie zapłacę. Nie weźmiesz pieniędzy, to wiem, ale dam ci coś, czego sam nigdy nie zdobędziesz. Za znalezienie Bernarda przepiszę ci wieś. Na własność wieczystą, nie na dożywocie. Będziesz miał dwór, żonę, gromadę dzieci. Będziesz miał cały Jasieniów, bez żadnych kontraktów i danin. Czeladź, poddanych, pola, konie, stada i co tam jeszcze sobie zamarysz.

– Lepiej daj, waszmość, na mszę w intencji powrotu syna. A może udobruchaj Pana, okazując łaskawość kmiotkowi, którego tam, na dziedzińcu, twoi słudzy uczą bojaźni bożej?

– Opanas Kliczko to mój rab, mój chłop, wieczysty poddany – wycharczał Jazłowiecki. – Z moich włości, zagonów, krwi. Dziadowie i ojcowie zaorali tę ziemię sercem. Wydarli pola i wioski lasom i bagnetom, Tatarom i Wołochom. Wzniesli na niej zręby Jazłowca, ciosali podwaliny Laszek i Bielczy, fundowali na surowym korzeniu Husiatyń, Kossów i Sipowce. Użyźnili ją krwią i własnymi kośćmi. Pod Kamieńcem, Oczakowem, Obertynem, Czarnym Lasem, Białogrodem dobrze jej się wysłużyli. I w ich to święte imię weźmie rezun Kliczko sto pręg u kuny. Ani jednej mniej i ni jednej więcej. Na wieczną rzecz pamiątkę i ku intencji powrotu Bernarda.

– Mości panie starosto, ja nie odmawiam z pychy, lecz ze słabości. Nie wiem, gdzie szukać waścinego syna. Poza tym stawiam moją szablę przeciwko postołom owego Kliczki, że jegomość Bernard jest o wiele sprytniejszym lisem ode mnie. Nie mogąc go dostać, wolę w ogóle nie próbować, bo nie chcę zawodzić wiary, jaką wasza miłość pokłada we mnie.

– Zastanów się, co tracisz. Byłbyś dla mnie drugim

synem, panie Zborowski.

– Nie umiem waszmości pomóc.

– Dam ci, co zechcesz, z moich majątności. Choćby pół Jazłowca.

– To nie jest historia królowny Banialuki, ale twego syna, mości starosto. Nie obiecuj mi połowy księżycy, mospanie.

Zborowski skłonił się i chciał odejść, ale starosta poderwał się jak ryś. Chwycił go za ramię, przytrzymał dygocącą ręką.

– Za mego syna dam ci coś więcej, niż możesz sobie imaginować! Sprawię, że ród Zborowskich, z których tylko Aleksander darzy cię braterskim uczuciem, a reszta ma za pogrobowca i bękarta, uzna twoje pochodzenie. Dadzą ci braterski dział wiosek, siól i majątności. Bo ja naprawdę wiem, po co twój ojciec zjechał do Piekar owego pamiętnego maja roku Pańskiego tysiąc pięćsetnego i osiemdziesiątego czwartego! I pamiętam jak dziś, że wziął tam potajemnie ślub z twoją matką, aby później dać gardło za sprawą węgierskiego tyrana Batorego i jego psa Zamoyskiego.

– Testament, który ojciec napisał w wieży i gdzie uczynił zapisy na moją korzyść – mruknął Zborowski – zaginał, pewnie zniszczony przez ludzi Zamoyskiego albo Mrocza. Nie mam jak zatem udowodnić, że *de iure* jestem jego synem.

– Wszystko by się zmieniło, gdybym poparł twoją sprawę moją mocą i prawem. A jeśli trzeba, to i lewem. Gdybym wystąpił do sądów, trybunałów albo przekonał Zborowskich, aby oddali to, co należne, najmłodszemu z rodu, choć pogrobowcowi.

Samuel spojrzał znowu na portret Bernarda



Jazłowieckiego vel Ruszczyca i pokręcił głową. Nawet szacunek i dobra Zborowskich nie były warte nadstawiania karku w tej gardłowej sprawie.

– Pozwól, mości panie starosto, że się pożegnam. Nie chciałbym nadużywać gościnności, po tym jak obraziłem cię odmową.

Jazłowiecki nie krzyczał. Nie lamentował ani nie płakał. Śmiał się rozwalony w łożu, z gębą poplamioną krwią, która sączyła się spod szarpia.

– Nigdzie... nie pójdziesz – wycharczał. – Mości Zborowski, pozostaniesz moim gościem, póki nie podejmiesz decyzji. Kazałem... obsadzić bramy, zamknąć wrota. Jędrzej odprowadzi cię na kwatere. Namysł się, bo kto, jak nie syn marnotrawnego ojca, może pomóc odnaleźć marnotrawnego syna?!

– Chcesz mnie uwięzić? Tak nisko upadli Jazłowieccy, że muszą pozyskiwać przyjaciół siłą?!

– Na razie będziesz gościem – wysyczał starzec. – Do czasu. Więc lepiej pomóż z dobrej woli i nie przywódcz do desperacji. Jędrzej, zatroszcz się o pana Zborowskiego.

Samuel wyszedł na ganek, gdzie oślepiło go słońce. Mury, wieże i blanki obsadzone były hajdukami i sabatami w barwach Jazłowieckich. Przed bramą wjazdową stał podwójny rząd sług, stajnia i szopy były zamknięte.

Kliczko już nie krzyczał. Zwiślał bezwładnie w obręczach kuny, a Zborowski nagle sobie uświadomił, że od tego chłopca nie dzieli go znów tak wiele.

4.

Kiedy powiedział im wszystko, Bohusz utopił w polewce łyżkę z wielkim kawałkiem sera. Hunia ukłuł się kindziałem, który wbijał z zamkniętymi oczyma pomiędzy rozłożone palce lewej dłoni, dziurawiąc blat dębowego stołu.

Obojętnie wysysał krew, spoglądając na Zborowskiego, i powiedział:

– Kiedy przyjdą wziąć nas na męki, pchnij się. Lepsze to niż szubienica.

– Skąd wiesz, że będziemy wisieć?!

– Kilku ludzi widziało, jak zabijałeś Bernarda. Będzie nam tu ciasno, kiedy do zamku przyjdzie wieść, że Zborowski podgolił Jazłowieckiego.

– Nie wiedzą, że to ja.

– Raszowski was poznał i rozpowie. Klnę się na diabelskiego kusia, z którego zostałem poczęty, że pewnie sam tu przyjedzie z wieścią, aby zyskać łaskę starosty.

– Wina!

– Nie będziesz pił, pane Zborowski. Lepiej myśl, co robić, abyśmy wynieśli stąd głowy na własnych karkach.

– Ty akurat masz z tym największy kłopot. W ogóle dziwię się, że jeszcze nie doniosłeś staroście, że zabójca jego syna pije miód na kwaterze w zamku.

Kozak spojrział tęsknie na drzwi, oczy mu zabłyśły.

– I tak bym zrobił, gdyby nie słowo. A tak terpy, Kozacze, terpy... Kiedy słowo... Ono było u Boha, przez niego wszystko się stało, a bez niego nic się nie stało. Bez tego słowa, co je dałem, dawno bym was zagryzł. I poszedł na Sicz albo do piekła. Ale czas jeszcze nadejdzie, co zrobić...

– Co byś uczynił na moim miejscu?

– Póki starosta nic nie wie, na koń i w step.

– Na murach są strażę, poza tym ucieczka to jak przyznanie się do winy.

– Jegomość – ozwał się Bohusz z pełną gębą; tym razem ogryzał gęsie udo – a bo nam tu źle? – Wskazał stół zastawiony gęsiami, winem, miodem, hultajskim bigosem i wetami. – Choć w Czufut-Kale u Tatarów lepiej dawali jeść. Nie możecie po prostu pójść, przeprosić i wyznać prawdę?

– Żeby starosta rozdarł mnie na żywe strzępy? A z czaszki zrobił puchar do picia na stypie syna?

– Przecież nie chciałeś. Wszyscy widzieli, że Bernard sam wpał na szablę. Zapłacisz za głowę i tyle...

– Ty ciągle czegoś nie rozumiesz, dumny chłopie! Raz, że to był szlachcic, możny pan, syn starosty, co ma więcej wsi na Podolu i Rusi Czerwonej niż ty wszy w swoim parchatym kubraku. Dwa, że to był ostatni żywy Jazłowiecki. Ich ród wygasł, bo stary diabeł Michał, starosta chmielnicki, będzie mieć dzieci chyba, dopiero kiedy w niebie wychędoży anielicę.

Bohusz zamilkł. Przełknął kęs, ugryzł następny.

– W takim razie pozostaje wam się zgodzić – wymamrotał z pełną gębą.

– I co? Może od razu podać własną głowę na złotej tacy?

– Nie musicie przecież wywiązać się z umowy.

– O czym ty mówisz?

– To proste. – Bohusz otarł rękawem tłuszcz kapiący z ust. – Powinniście pójść do pana Jazłowieckiego, powiedzieć, że się namyśliliście i chcecie odszukać jego syna. Znikniemy z zamku, zaszyjemy się daleko, choćby na Litwie, i przeczekamy burzę.

– Co ty powiadasz, kpie! Toż ja będę musiał dać

słowo. A słowo Zborowskiego nie dym.

Bohusz otworzył oczy ze zdumienia.

– To prawda, zapomniałem, że wy, panowie, macie owo, jak rzekł Nikifor: słowo. Przez które szlachtujecie się jak wieprzki, jeden nie może przenocować w jednej chałupie razem z drugim, a potem ten drugi wpada w jeszcze większe tarapaty. Cóż szkodzi, że dacie słowo, wyjedziecie stąd, choćby na Ukrainę, a kiedy tam będziecie, uczciwie napiszecie list, w którym wyjaśnicie, co i jak się stało? Pan Jazłowiecki pozna prawdę, wy mu podacie, gdzie zginął syn i z czyjej ręki. A jednocześnie będziecie bezpieczni. Czyż ja nie mówię słusznie, mocium panie? Gdybym słuszności nie miał, nie ogrywałbym w kości Turków w gródku na parę tysięcy asprów...

Zborowski nie odpowiadał, ale Bohusz utrafił w samo sedno.

– Proste i jasne – mruknął Samuel. – Nie możemy tu zostać. A kiedy będziemy za bramami, szczerze wyznam wszystko staroście w liście. Racja, tak właśnie zrobię! Nie ma co, świetny plan. Będziesz miał pięćdziesiąt talarów na przepicie, jeśli wyjdziemy z tego żywi.

– To razem już sto – mruknął z pełną gębą Bohusz.  
– Jak doliczę te, które mi wasza miłość obiecywał za wyciągnięcie z lochu Grandzadzy Krasickiego.

– Będziesz miał i dwieście – mruknął Zborowski. – Oby nie po mojej śmierci.

Wychylił dwa puchary wina na odwagę, wstał i poszedł do Michała Jazłowieckiego.

Starosta obiecał mu wszystko. A nawet więcej.

Stary Zborowski śmiał się w głowie Samuela głośno i okrutnie.

5.

Ruszyli dwa dni później. Z błogosławieństwem boskim i starościńskim tudzież kiesą pełną złota na drogę. Zborowski nie chciał jej wziąć, rzucił na posadzkę. Podniósł ją Bohusz i oddał później prawie całą, poza kilkoma dukatami, które jak zwykle przykleiły mu się do ręki.

To nie był wymarsz, ale ucieczka. Jednak przed bramą Samuel przekonał się, że plan, który wybrał, nie jest najlepszy. U wrót czekał bowiem Jędrzej na tarantowym turku. Zborowski myślał, że chce się pożegnać, ale za służą stało siedmiu – nie, dziewięciu! – sabatów na podjezdkach, nieco za dużo, jak na pożegnalną kompanię.

– Dobrze, że jesteście, panie bratku – wysapał stary klucznik. – Tak i jadę ja z wami, dla pomocy i wsparcia.

– Wsparcia? – Zborowski obrzucił go pogardliwym spojrzeniem. – Pomocy? Niczego nie ujmę, wiek słuszny, ale w tej pogoni będziesz tylko ciężarem.

– To rozkaz pana Jazłowieckiego. – Jędrzej jakby dla poparcia swych słów obejrzał się na wielki dom zamkowy, gdzie dogorywał starosta chmielnicki. – Na wypadek gdyby pan Bernard nie chciał wrócić po dobroci.

– Myślisz waść, że człowieka, który dorobił się banicji, skłoni do powrotu sędziwy starzec i paru węgierskich niedojdów?

– Mów, bratku, co chcesz, ja muszę jechać.

– Nie będę się zatrzymywał, kiedy waści podszczypie podagra!

– Kiedy pan Jazłowiecki każe, pan Porycki musi – odparł chmurno Jędrzej, a potem wyciągnął dłoń, chcąc

schwycić Zborowskiego za guza albo rękaw. Nie zdołał dosięgnąć ani jednego, ani drugiego. – Służba nie družba, a ja mam dług u młodego pana starościca.

– Jędrzej, pójdziecie precz czy nie?! A może sami poszukacie sobie Bernarda!

– Pojedziemy, gdzie waszeć każesz. Choćby i do piekła.

Zborowski wściekły uderzył konia ostrogami, ruszył spod bramy galopem. Jego ludzie, Jędrzej i sabaci popędzili za nim bezładną gromadą, omal nie stratowali kmieci idących obok podwód ze słomą i sianem. Wypadli na górę, z góry na gościniec, wjechali między podolskie pagóry, przepalone błękitem nieba i blaskiem czerwcowego słońca.

6.

Nie ujechali daleko, bo po drodze był Buczacz, a na rynku, w sobotach ratusza przyozdobionego kamiennymi statuami, bartnicy sprzedawali antały syconego miodu – wiśniaka i lipca.

Zborowski nie przepuścił okazji, która sama pchała się w ręce. Zresztą dokąd miał jechać? Sabaci zsiadali z koni, garnęli się do kramów i bud, gdzie za grosze i szelągi lano w gliniane garnce złocisty, gęsty jak syrop trunek czerpany z przepastnej głębi dębowych beczek.

Miód był wystawy i klarowny, zaprawiony zielem i korzeniami – prawdziwy nektar boży, rosa niebios i nieziemska manna. Srogi dwójniak z patoki. Podolski miód, który uszlachci nawet parszywego chama, chodaczkowemu szlachetce doda hetmańskiej fantazji, a

staremu dziadydze takich ruchów, jakby kto podpałił mu słomę wystającą z butów.

Pili tego i do dna, bo jakoś w kompanii pana Zborowskiego nie było łzawych moralistów plujących uczonym jadem na pijaństwo. Zresztą nawet gdyby takowy się znalazł, Samuel ostawiłby mu kresę na gębie na pamiątkę, co znaczy u szlachcica fantazja podlewana dwójniakiem po całym dniu na dobrym koniu. Kto tego sam nie przeżył, ten nic nie wie o życiu.

I prawdę powiedziawszy, szkoda, że wówczas, na rynku w Buczaczu, w kompanii pana Samuela nie znalazł się żaden apostoł trzeźwości, bo wtedy może wszystko skończyłoby się inaczej. Kiedy sabaci rozłazili się między ławami i kramami, jeden z nich wrócił do Jędrzeja, ciągnąc za sobą jakiegoś zakonnika albo pielgrzyma. W Zborowskiego jakby piorun strzelił. Poznał pątnika z chałupy w Ponizu; tego samego, który był świadkiem śmierci Jazłowieckiego!

Cisnął gliniany garniec o ziemię, aż naczynie pękło, a resztką miodu chlusnęła na Bohusza i Hunię. Idąc, łapał za szablę, dobywał jej z pochwy powoli, z namysłem.

Jędrzej coś krzyczał, zwoływał sabatów, zrzucił czapkę, porwał się za głowę, jakby chciał rwać garściami siwe włosy.

– Mości Zborowski! – jęczał klucznik; do Samuela słowa te dochodziły jakby z głębokiej studni. – Pan Jazłowiecki... Bernard nie żyje. Usieczony w Ponizu. Jezusie, zmiłuj się nad grzesznymi! Boże! Boże! Boże! Nie masz litości i zmiłowania nad nami... Na próżno... jechaliśmy. Po co to wszystko? Jeden popiół i kurz, z prochu powstałeś i w proch się obrócisz... – Zborowski zobaczył łzy w oczach starego. Doprawdy miłość klucznika

do panicza Bernarda była tak wielka jak lament starca nad rogami przyprawionymi przez młodą żonkę.

Samuel milczał, a pątnik nie patrzył na niego. Nie poznawał? A może się bał? Dopiero teraz szlachcic zdał sobie sprawę, że wyciągnął z pochwy pół ostrza szabli.

„Zarąb pielgrzyma. Bij klechę, synu!” – rozbrzmiał mu pod czaszką głos ojca.

Choć szerpenty na rwała się do czynu, wcisnął ją na swoje miejsce.

– Kto to zrobił?! – krzyczał rozpaczliwie klucznik. – Byłeś przy tym? Widziałeś? Mów, człeczko!

Ja, odpowiedział w myślach Zborowski, spodziewając się, że pielgrzym i tak powie. Dziesięciu pachołków starosty chmielnickiego, doliczając jedenastego Jędrzeja, usłyszy prawdę. A potem co?

Mam ich wszystkich pozabijać? Tutaj, na targu, pod ratuszem?

Przyjrzał im się uważniej. Szlochający Jędrzej błąd jak śmierć z kościoła w Tarłowie, gęby sabatów, niby podobne, ale każda inna. Grubawy, bezwasy młodzian, który wypatrzył pątnika. Posiwiwały sługa zamkowy, zgarbiony, pewnie ojciec dzieciom. Chudy jak trzaska młodzik, ledwie sypał mu się pierwszy wąs. Brodaty poczciwina w przekrzywionej czapce. Konus o pałakowatych nogach, zdradzających plebejskie pochodzenie. Kolejny – zadumany, poważny, spokojny, z równo przystrzyżonymi wąsiskami.

Hunia czekał z prawą ręką na szablę. Za plecami trzymał nie wiedzieć kiedy dobytą Starycę. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, bo wszyscy spijali słowa płynące z ust pątnika.

– Zabił, pana Jazłowieckiego znaczy się... Jeden



szlachcic. W zwadzie. Wieczorem, za wsią, w chacie.

– Jak się zwał?

– Powiem tylko jaśnie wielmożnemu panu staroście  
– rzekł pielgrzym. – I nikomu więcej, choćbyście boki  
palili.

– Co będziemy czynić?! – biadał Jędrzej. – Dokąd  
się obrócić, o Boże miłosierny!

– Lepiej wracajmy, jegomość – podpowiedział  
usłużnie gruby i młody sabat – zawieź grobową nowinę  
panu.

– Stój! – zaryzykował Zborowski. – Czekaście.  
Pierwsze, skąd wiecie, że to na pewno Jazłowiecki? Za  
fałszywą wiadomość o śmierci syna starosta skróci nas o  
głowy. A ty, człecz, mów: oglądałeś śmierć na własne  
oczy? I jak cię wołają?

– Marcjan, panie wielmożny. Byłem przy śmierci  
starościca.

– Skąd pewność, że to był młody Bernard?

– Jakżeby nie. Pozwolił przyłączyć się do  
kompanii... W podróży. W zamian miałem się modlić w  
intencji, aby jego ojciec przejrzał na oczy.

– I przedstawiał ci się jako Jazłowiecki?

Pątnik wbił w Zborowskiego uważne spojrzenie.

– Kazał się zwać panem Ruszczycem. Ale ja przecie  
poznałem, że to Bernard, jedyny syn starosty Michała,  
dziedzic Jazłowca i wsi na Podolu.

– Jesteś pewien?

– Widziałem go w kościele w Jazłowcu. Na  
odpuście.

– Ile dni z nim jechałeś?

– Prawdę powiedziawszy... Od rana do wieczora.

– A nie padało?

– Jak na potop, jasny panie.

– Więc kazał się zwać Ruszczycem, a ty poznałeś, że to Jazłowiecki. Poznałeś, choć lało jak z cebra i wszyscy jechali w oponczach. Rozpoznałeś, choć była noc. Łżesz, chłopie.

– Ja mogę wskazać jego grób w Ponizu. Przy cerkwi.

– To dobrze. Jedziemy do Poniza sprawdzić, czy twoje słowa są prawdziwe. Wskażesz nam grób, a my przekonamy się, czy leży tam naprawdę Bernard. Jeśli tak, zabierzemy ciało do zamku. A teraz milczeć, gęby na kłódkę. Starosta kazał wam mi towarzyszyć, ale to ja mam znaleźć Bernarda. Macie coś przeciwko, mości Jędrzeju?

– Pojedziemy zobaczyć ciało, bratku – wyszeptał starzec. – Muszę go ujrzyć choćby ten jeden raz.

Dwie łzy stoczyły mu się po policzkach.

– Na koń! Dajcie dziadowi luzaka. Niechaj prowadzi.

Pątnik skłonił się, nie spuszczać oczu z pana Zborowskiego. A szlachcic dopiero teraz ujrzał jego oblicze – pobrużdżone, jakby przeorał je pług, z wyraźną blizną od szabli przecinającą czoło, brew i lewy policzek.

A kiedy wyjeżdżali z Buczacza, przebijając się między kolasami i wozami, Zborowski usłyszał głos woźnego wykrzykującego coś z podwyższenia, na którym jeszcze przed chwilą smagano twardoustą przekupkę.

Woźny wywoływał Bernarda Jazłowieckiego. Za napaść na mieszczan buczackich, zwadę i zabicie szlachcica.

Wykrzyknął całemu światu nagrodę za jego głowę. Pięćset złotych płatne w Haliczu, u pana starosty grodowego.

Gdyby Zborowski wiedział o tym wcześniej, mógłby wydobyć ciało z grobu, a potem powieźć głowę do urzędu grodzkiego. Chyba wyszedłby na tym lepiej niż na gościnie u Jazłowieckich.

7.

Bernard spoczywał za cerkwią, w mogile bez krzyża. Sabaci sprowadzili popa, który potwierdził słowa Marcjana. Tak jest, prawda najprawdziwsza: cztery dni temu pochowali tu młodego jaśnie wielmożnego pana z rozchlastanym gardłem.

Łopaty i rydle chlastały matkę ziemię. Stary pop, siwiuteński jak gołąb, żegnał ich ręką, która trzęsła się tak, jakby sam wybierał się do grobu. Ledwie był w stanie wymówić:

– Otcze nasz swiatitsa imia Twoje.[ Ze starocerkiewnego - Świąć się imię Twoje.]

Ciało Bernarda rzucono w płytki grób bez trumny – niby wór szmat – nakrywszy płótnem. Kiedy hajducy odwijali materiał, Zborowski przymknął oczy. Niepotrzebnie, bo rozkład ominął starościca. Leżał bładny, zakrwawiony. A zakrzywiona kochanka Zborowskiego wypisała mu na szyi ostatni pogrzebowy tren, którego nie powstydziliby się sam Jan Kochanowski. A nawet lepszy, bo śmiertelnie skuteczny.

Jędrzej przypadł do ciała Bernarda. Dotykał oblicza, gładził po podgolonych włosach, żegnał krzyżem. Kiedy złożyli starościca na wynajętej od popa skrzypiącej zdradliwie kolasie, klucznik skoczył do Zborowskiego,

chwycił za żupan.

– Znajdź, waszmość, zabójcę! – wycharczał. – O mości Zborowski, ja, stary, proszę cię o to jak o zbawienie. A przyprowadź go na zamek... tak. Wygodzimy mu niczym mistrz Nalewajce. Sam katem będę, sam pasy zedrę. Znajdź tylko, słyszysz!

– Zabójca może być bliżej, niż wasza mość sądzisz – mruknął Marcjan i pogonił szkapinę. Szedł obok kolasy, trzymając lejce, niby prosty czumak, a Zborowski zastanawiał się, co ma odpowiedzieć na te słowa.

I to był koniec. Cóż mogli jeszcze uczynić? Samuel dał szóstaka popu, popatrzył na Jędrzeja i kazał jechać. Lecz zanim wskoczył na kulbakę, zbliżył się do pątnika.

– Pomódlmy się przy grobie, bracie!

Marcjan nie oponował. Przyklękli na świeżej ziemi. Pielgrzym wydobył różaniec, złożył ręce, ale Samuel stuknął go w ramię.

– Zawieszysz ciało do Jazłowca. Sam, bo Jędrzej... – Machnął ręką.

– A wy, panie, co? Pojedziecie szukać zabójcy?

– Nie bądź głupcem. Dobrze wiesz, że to ja zabiłem Jazłowieckiego.

Marcjan w milczeniu przesuwiał paciorki różańca.

– Nie będę się narażał na gniew Jazłowieckiego. Powiesz mu wszystko. Jak jego syn przyjechał do Poniża i co wynikło z naszego spotkania. Wał śmiało, może jeszcze dostaniesz nagrodę. Odwołuję się także do twego sumienia i proszę, abyś wyznał, że zabiłem Bernarda przypadkiem, we własnej obronie, a mówiąc już absolutną i wiekiustą prawdę, on sam pijany wpadł na moją szablę. Powiedz staremu Jazłowieckiemu, że w pokorze poczekam na podstarościego albo zemstę. Jestem gotów odpokutować za

to, co się stało, ale niechaj pamięta, że nie oddam gardła darmo.

– Jazłowiecki zabije was za to. On już nad grobem, nie dba o pozory! Nie będzie się jednał z waszmością.

– A co cię to wszystko obchodzi? Jedź do zamku i bądź pewien nagrody.

– Przelana chrześcijańska krew nie jest żadną nagrodą. Nie sądzcie, a nie będziecie sądzeni. Czy nie możecie spróbować udobruchać starego Jazłowieckiego?

– Niby jak? Zamawiając dobrego niemieckiego kata z instrumentarium bogatszym, niż ma Lucyfer w piekle?

– Ciszej, ciszej, synu... Jeszcze kto usłyszy. Zabiliście Bernarda, ale nie jesteście niegodziwym człowiekiem.

– Mylicie się, Marcjanie. Jestem piękny i zły. Do pełni obrazu charakternika brakuje mi tylko, abym był bogaty. Wtedy jezuici mogliby straszyć mną dzieci i stare baby.

– Nie zabiliście mnie, jak wam radził ojciec.

Zborowski zamarł i przeżegnał się.

– Mówi do was czasem, słyszycie jego głos. Ale trzymacie się dzielnie, nie jesteście tacy jak stary Zborowski.

– Skąd wiesz o głosie w mojej głowie?

– Znałem waszego rodzica. Na Czarnym Morzu był Hryćko Zborowski, ataman kozacki, zaporoski. Ten się przechadza po okręcie, przemawia słowa w złym momencie... – zanucił strzęp dumy. – Ja się z nim przechadzałem. Stare grzechy dławią mnie jak stryczek.

– Zgaduję zatem, że dawniej odliczaliście ścięte łby, a nie paciorki różańca. Dzięki, że świadczycie za mną. Ale co to da? Myślicie, że Jazłowiecki posłucha? Jeszcze sami

dacie gardło.

– Jeśli teraz odjedziecie, będziecie nie tylko tułaczem, ale także ściganym człowiekiem. A kto wie, może wywołańcem. Starosta nie odpuści, wyśle pogoń, pozwie was do sądu. Gdzie się schronicie przed Jazłowieckim?

– To co mi radzicie?

– Jeśli żałujesz śmierci młodego Bernarda, spróbuj naprostować ścieżki żywota zmarłego. Może znajdziesz na nich nadzieję? Przeprowadź skrutynium, dowiedz się więcej o waśni między ojcem i synem. Miej oczy szeroko otwarte i pytaj, dlaczego Jazłowiecki porwał się na ojca. Z jakiej przyczyny uszedł z domu, wyrzekając się starego. Skoro zabiłeś Bernarda, dokończ za niego to, co sobie zamierzył. Bo za wszystko nadejdzie czas pokuty. I wszystko może być odpuszczone.

– Mam odpokutować winy zmarłego?

– Pomogę wam, jeśli zostaniecie.

Zborowski przymknął oczy.

– Pojadę z wami – zdecydował. – Choć nie wiem, czy do samego Jazłowca.

– Pane Zborowski! – zagadał niespodziewanie Hunia. Kozak jak zwykle podszedł ich niczym stepowy wilk.

– Co się dzieje?

– Pod drzewami. Patrzcie.

Zborowski wyteżył wzrok. Na skraju dębiny stało dwóch jeźdźców. Śledzili orszak z kolasą, który oddalał się od cmentarza.

– Starzy znajomi z chałupy w Ponizu – mruknął Kozak. – Raszowski i jeszcze jeden szlachcic. Dowiedzieli się, jaka jest nagroda za Jazłowieckiego. Skóra z martwego

psa taka sama jak z żywego. A martwy pies... sami wiecie... nigdy więcej nie ukąsi.

8.

Czekali za Dniestrem. Skryci w cieniu drzew na gościńcu do Buczacza.

Wypadli niby tatarski zagon – ławą. Dwunastu czy może dziesięciu – nie było czasu policzyć. Od razu poszli w skok, na spotkanie, na łeb i na szyję!

Zborowski ledwie zdołał chwycić szablę, widząc przed sobą rząd wyciągniętych końskich pysków. W ostatniej chwili pochylił się na przedni łęk, schował za karkiem Pioruna. Nim krzyknął na ludzi starosty, wrogowie rąbnęli z pistoletów – jak dobrze wprawiona rajtaria. Zamigotały błyski ognia, strzeliły kłęby kwaśnego dymu, huknęły strzały tak niespodziewanie, że konie przysiadły na zadach, a dwa z prawej, pod sabatami, wyrwały w bok.

Samuel wyszedł cało, co mogło znaczyć, że jeszcze nie odlano kuli, która miałyby go pozbawić żywota, albo też że Pan Bóg zachował ją na bardziej sposobny dzień.

Kwik koni, łoskot kopyt... Zderzyli się!

Zbił ostrze, gdy kasztanowy koń prawie wpadł na Pioruna. Bojowy ogier obrócił się na zadzie, omal nie zderzył z kolejnym koniem. Tnąc, dźgając i rąbiąc, napastnicy przedarli się przez konnych sabatów, ominęli kolasę. I zaraz poczęli wstrzymywać konie na munsztukach, odchylać się w kulbakach, zawracać wierzchowce do kolejnego ataku – równo i sprawnie jak kwarciana chorągiew, a nie swawolna kupa z gościńca.

Jeden z sabatów padł w tym starciu, drugi był ranny, wył, zbryzgany krwią płynącą z rozrąbanego łba, ledwie trzymał się na koniu.

Zborowski zawrócił Pioruna w lewo, na ciasnym łuku, trącił ostrogami, wychodząc w galop.

– Za mną! Uchodź! Żywo!

Skoczyli na bok, uszli na zielone niwy. Rzucili się do ucieczki, byle dalej od wozu. Napastnicy już wracali – pędzili bezładną gromadą. Nie ścigali Zborowskiego. Widząc pierzchającą garstkę konnych i kolosę, zwrócili się w stronę łupu.

Z krzykiem i hałakowaniem dopadli wozu okrytego grubą płócienną płachtą. Jędrzej rozpaczliwie okładał batem chudą szkapinę.

– Stój! Stawaj!

Ktoś wyrwał staremu lejce, inny wstrzymał konia, łapiąc za wędziło. Kolosa stanęła z piskiem i łoskotem.

Ponury i wysoki drab w misiurce, z paskudnie przetrąconym nosem uchwycił brzeg płachty. Poderwał ją w górę, odrzucił...

Strzał jak suchy grom rąbał go prosto w łeb! Kula odwaliała pół czaszki razem z oczodołem, rzuciła na tylny łęk terlicy, skąd zwałił się na ziemię niczym podcięty dąb!

Spod szarej płachty płótna wyłoniło się szare oblicze Marcjana, podpisane śladami szabli, opieczętowane przez kule i czekany. Przeżegnał się dymiącym pistoletem, a potem splunął w piach, jakby podsumowując tym gestem wysiłki grasantów.

Spod płachty wypadli sabaci ukrywający się pod płótnem wokół trumny! Strzelili, niemal przykładając lufy bandoletów i pufferów do łbów i piersi ludzi Raszowskiego.



Efekt był jak trzęsienie ziemi. Dwóch napastników zmiotło, trzeci pochylił się ranny, spłoszone konie, choć już niejedno widziały, odskoczyły od kolasy. Wrogowie poszli w rozsypkę jak stado kuropatw.

I wtedy spadli im na karki powracający z pola Zborowski, Hunia i trzech sabatów.

– Bij! – krzyknął, szarżując z wyciągniętą szablą.

Lecący po prawicy Samuela Hunia pociągnął za spust Starycy. Suchy huk rozdarł powietrze, napastnicy przy wozie wrzasnęli, kiedy wystrzał popstrzył ich siekańcami, pochlastał tłuczonym szkłem i gorącymi drobinkami prochu.

– Uaaaaaa! Uaaaaaa! – ryczał swawolnik w karmazynowym żupanie, przyciskając obie ręce do gęby, która przypominała zakrwawiony kawał mięsa. – Ooooooo!

Wpadli jak burza na grasantów. Zborowski ciął rannego w łeb, wytrącił szablę z dłoni innego. Wtedy bezwąsy, wysoki drab w lisiej czapie przyłożył mu pistolet do piersi.

Spust ustąpił, zwolnił sprężynę, kółko obróciło się, sypiąc iskrami z kurka...

Nie było czasu, bo nawet chwila byłaby wiecznością. Zborowski zbił zastawą szabli rękę przeciwnika. Pistolet spadł pod kopyta, wypalił już na ziemi, aż konie z kwikiem odskoczyły od siebie.

Zborowski zawrócił Pioruna; runął w prawo, wpadł między wrogów, szukając wzrokiem Raszowskiego. Dojrzał go, poznał po suchej, zawziętej gębie, ale zetrzeć się w boju już nie zdołał.

Grasanci uciekali – ranni i pobici. Konni uchodzili w lewo, w otwarte pola. Piesi czmychali do lasu, pod osłonę drzew.

Samuel dopadł Raszowskiego na wygonie, ciął w plecy, pod lewą łopatkę. Myślał, że zabił, ale uderzenie uwięzło w burce, ledwie drasnęło skórę. Za to uciekający skoczył jak z procy.

– Stóóóój! Stawaj! – Zborowski wstrzymywał Pioruna jedną krótką komendą. Koń zwolnił; niechętnie, pewnie goniłby brygantów do ostatniego tchu, ale nie było czasu.

Podjechali rysią do zakrwawionej kolasy, wokół której leżały ciała zabitych, daleko niosły się krzyki rannych.

Znienacka płachta za trumną poruszyła się, zafalowała. Najpierw wynurzyły się spod niej ręce, potem zmierzwiona głowa, na końcu wypełził jak pracowita mrówka Bohusz. Rozejrzał się, czy aby walka toczy się jeszcze, a potem skoczył w stronę zabitych swawolników. Szybko i sprawnie porwał jednemu kiesę, drugiemu zmacał kieszenie...

Zborowski, wyciągnąwszy podkuty but ze strzemia, wymierzył mu kopniaka w tę część ciała, na której najwygodniej odpoczywać po bitewnym trudzie.

– Bierz rannych na wóz! Zabieramy się stąd! Szybciej!

Hunia krzyczał, powtarzał jego rozkazy, rozdając szczerze kulaki i przekleństwa. Bohusz i Istvan zbierali rannych sabatów.

– Trupy zostawić! Do piczy mojej matki, starej narożnicy!

– Ty co? – zakrzyknął Zborowski, widząc, że jeden z sabatów wciąż kłęczy przy zabitym. – Mam cię nahajem zaprosić do pańskiej karocy?

– Mój syn – zaszlochał zażywny, posiwiaty sługa

Jazłowieckich. – Iwaszko! Iwaszko!!! Panie, kona!  
Ratujcie...

Zborowski obejrzał się na Marcjana.

I pojął, że został sam z tajemnicą Bernarda Jazłowieckiego.

Pątnik leżał w błocie. Kaptur spadł ze łba, odsłaniając długie, posiwiałe włosy splątane w polską *plicae*, czyli kołtun. Przez całą potylicę, na skos aż do szyi, szła świeża, głęboka bruzda od szabli, zroszona krwawymi łzami.

Samuel zeskoczył z konia, przypadł doń, chwycił za ramię, przekreślił, podtrzymując głowę.

Ostatnie chwile przed wiekiustą światłością...  
Drgające usta, oczy zachodzące bielmem, czerwona posoka plamiąca wargi.

– Marcjan, nie opuszczajże mnie.

– Boże ci odpuść...

– Co ja... Co ja teraz?

– Buczacz... – wycharczał pątnik. – Norber... tanki.

Tam prawda... Śluby jego...

– Co mam uczynić? Jechać tam?

Ten wątek Marcjan podjął już z Panem Bogiem.  
Zborowski trzymał w objęciach trupa.

– Do kolasy! – zakrzyknął. – Śpieszmy się! Brać ciała i na Buczacz! Ruszać! Ty co? Zostaw trupa!

Sabat klęczący przy synu nawet nie podniósł głowy.  
Odjeżdżający Zborowski obejrzał się jeszcze – zobaczył zamkowego sługę pochylającego się nad ciałem syna na środku błotnistego traktu. Ten obraz został z nim jak zły omen.

9.

Dopiero w uliczkach Buczacza Zborowski poczuł na karku ciężar grzechów młodego Jazłowieckiego. Miasto, choć należące do Buczackich, padło ofiarą wojny między synem a ojcem. Złe uczynki Bernarda rozbiegały się między miejskim plebsem jak diablice, przenosząc z ucha do ucha wieści, o których najlepiej byłoby zapomnieć. Tłum ścigał do kolasy jak na zapusty albo na procesję z obrazem Najświętszej Maryi Panny. Był niespokojny – szumiał, huczał niby pszczoły w ulu na widok niedźwiedzia, tym bardziej że dzisiaj miś był martwy i całkiem bezbronny.

– Jazłowiecki, Jazłowiecki jedzie! – wołali jedni, biorąc Samuela za zmarłego starościca.

– Przywieźli Bernarda z Jazłowca! W trumnie! Zabity w zwadzie!

Szary tłum w siermięgach, świtach, bekieszach i giermakach napierał na wóz z rannymi. Zborowski i porąbani sabaci otoczeni byli morzem chamskich gęb, rozwartych do krzyku, zionących śliną i nienawiścią. Kroczyli przez las wzniesionych spękanych, spracowanych pięści, grzbietów zgarbionych od roboty przy warsztatach, od ślęczenia przy szewskim kopycie, nad strugiem, kowadłem, igłą i garbarską kadzią. Za ich bojową sprawność w polu nie dałbyś złamanego grosza, lecz jak świat światem chamstwo zawsze czuło się odważne w gromadzie.

– Wiozą go jak wojewodzica!

– Głowa tysiąc złotych warta!

– Słyszeliście, kumie, pięćset czerwonych daje za

niego pan starosta halicki!

– Jazłowiecki! – wyła jakaś bezzębna starucha. – Bodaj cię pioruny z jasnego nieba strzaskały! Ziemia żywcem pożarła, żeby cię pierwsza kula nie minęła! Wydzierco, szelmo, szarpaczu, złodzieju podolski!

– Psi synu! Suczy chwoście!

– Synu kurwy i pohańca!

Kolasa, obciążona rannymi, ciągnięta przez chudą, mokrą szkapę, grzęzła w błocie i gnoju. Zborowski torował sobie drogę okutą rękojęścią nahaja, roztrącał ludzi końską pierśią. Tymczasem we wrzaskach i szumie narastał grom. I wreszcie przemówił – stukotem pierwszego kamienia, który uderzył o trumnę.

– Biegiem! Ruszać się!

Porwali za nahaje i szable. Po pierwszych razach pospólstwo uciekało z wrzaskiem, kryło się w drewnianych podsieniach domostw, uciekało za pręgierz.

A potem poleciały kamienie, błoto, kawały końskiego nawozu. Piorun dostał w bok, aż poderwał łeb w górę, któryś z sabatów jęknął, oberwawszy po głowie.

– Dalej! Dalej! – Jędrzej blady, przerażony smagał batem popię szkapinę, zmuszając ją do nierównego kłusa.

Dotarli do rynku, kiedy zza bud i ław zaczął wypadać karmazynowo-zielony, strojny i dostatni tłumek postaci w kołpakach i czapach. Szlachta z pocztami, czeladzią, faworytami, totumfackimi i rękodajnymi – gotowymi na każde skinienie patrona.

– Proszę, a skąd i dokąd to, panie kochanku?! – zawołał gniewnie nalany szlachcic, wlokący tłuste brzuszysko na pałakowatych nóżkach. Każda dekada hucznych uczt i biesiad odbiła się na jego gębie podbródkami, a miał ich *summa summarum* trzy.

– Nieboszczyka wieziemy!

– A kogóż to? Zaraz! Jazłowieckiego z kurwego syna, narożnicy małpią pytą bierzmowanej! Stój! Hryćko! Mykoła! Łapcie za wodze, trzymać lejce! Staaać! Staaaać, powiadam!

Słudzy rzucili się do Zborowskiego. Jeden chciał chwycić za wodze, ale Samuel chlasnął batem, koń poderwał łeb, obrócił się bokiem.

– Waść czep się lepiej cudzej baby!

– Za mojego Jaśka pocztowego! – ryczał szlachcic.

– Mości panowie, Jazłowiecki tu leży. Szelma, łotr, diabeł. Na szubienicę trupa bierzcie! Wieszajcie takiego syna, choćby i po śmierci!

– Na pohybel! – huknęły krzyki. Ktoś rąbnął w niebo z pistoletu.

Tumult wisiał na włosku; już szlachta biegła z wyciągniętymi szablami!

– Rąbać zewłok! Bijcież w imię Boże!

– Bigosować!

W tle tych wszystkich głosów przebijał się rozpaczliwy głos Jędrzeja:

– Zostawcie... waćpanowie... nieboszczyka!

– Nieboszczyk to on będzie, jak sobie na pohyblu powisi!

– Brać ich! Brać!

Herbowy tłum dopadł burt wozu. Zdawać by się mogło, że pan Jazłowiecki zostanie rozmieniony na drobne szlacheckimi szablami jak czerwony złoty w zamtuzie...

Uratował go Zborowski. Uderzył Pioruna ostrogą, wpadł między panów braci i pocztowych, przewrócił ich, strzelił nahajem w powietrzu, a potem zaciął szkapę ciągnącą kolasę. Chabeta skoczyła przed siebie jak klacz na

widok ogiera, pociągnęła trzeszczący wóz po kamieniach.

– Dawaj w prawo!

Jędrzej zrozumiał go w lot. Skręcili w boczną uliczkę, między drewniane szopy. Poszli galopem; plebs pierzchał przed nimi. Kamienie chybiały celu. Zborowski usłyszał krzyki, kątem oka dojrzał konnych wypadających zza masywnej bryły ratusza.

Jak wicher wpadli w szeroko otwartą bramę Buczacza. Przemknęli niemal po nogach wrzeszczących strażników miejskich, obalili koszykarza i starą kramarkę.

Ale ratunek nie był im pisany...

Z hukiem pękła belka za sworzniem, kolasa przechyliła się, załomotała po bruku, zatrzeszczała.

– Jebana mać! – krzyknął gruby sabat zwany Istvanem. – Nie dociągniemy do Jazłowca!

– Szukajcie karczmy, kuźni, dworu! Szybciej!

– Może klasztoru!

– Może... Nie mamy czasu.

– Na górze, o tam – pokazał ręką sabat. – U sióstr norbertanek... Schronienie.

Zborowski podniósł głowę. Spozregł drewniany kościół i dzwonicę otoczone czworobokiem klasztornych zabudowań.

– Norbertanki... Marcjan! – Samuel przejrzał na oczy. – Tam prawda! Tak! Ruszać się. Bohusz! Bierz konia od Huni. Jedź do Jazłowca, padnij do nóg panu staroście i powiedz... Powiedz, że pan Zborowski znalazł Bernarda. I razem są w opałach, oblężeni w klasztorze pod Buczaczem. Niechaj przysyła odsiecz! Leć!

– Po com ja uszedł pohańcom... Po com zawierzył panu Zborowskiemu! – zajęczał nieprzytomnie sługa.

– Potem! – warknął Zborowski. – Później będziesz

mdlał. Teraz w cwał!

– Sto talarów – zaszlochał Bohusz. – Przepadnie, taka mać.

– Będzie i dwieście! Jedź!

Hunia zeskoczył z konia, złapał kompana za kark, rzucił na lewą tybinkę, zgiął mu lewą nogę pod kolanem i jednym ruchem podrzucił w górę. Nim sługa zdołał dobrze się usadowić w kulbace, klepnął Bohunia po zadzie. Koń, równie zły i narowisty co jego pan, obrócił łeb, chcąc sięgnąć Kozaka zębiskami, a wtedy Nikifor Hunia kopnął go w brzuch, obok popręgu. Bohiń podskoczył na dwie stopy w górę, Bohusz wrzasnął, a wówczas wierzchowiec poszedł z miejsca galopem, skoczył traktem na Podhajce.

– Podeprzeć kolasę! – zakomenderował Zborowski.  
– Do klasztoru!

– Nie! – jęknął Jędrzej. – Tylko nie tam!

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Pchali trzeszczący wóz ku zabudowaniom.

Buczacz ożył. Z miasta pędzili w ich stronę konni i piesi, za bramę wylewał się tłum mieszczan zbrojnych w spisy, dzidy i sztachety.

Zborowski zakolał do furty tak mocno, jakby chciał wbić kołatkę w świeżo ciosane dębowe wrota.

– Otwórzcie w imię Boże!

Jak zwykle minęła chwila, nim szczęknęła zasuwa, obok bramy otwarło się zakratowane okienko – zamajaczyło w nim blade oblicze furtianki.

– Pomagaj Bóg i święci aniołowie. A któż tam stuka? Kto przyjechał?!

– Pan Bernard Jazłowiecki!

– Gwałtu! Rety! – Norbertanka przeżegnała się tak szybko, że przez kraty powiał wiatr. – Bijcie w dzwony,



siostry! – krzyknęła. – To zajazd!

– Przywieźliśmy pana Jazłowieckiego! –  
wykrzyknął Zborowski. – On martwy.

– Kto go przywiózł? Kto waszmość jesteś?

– Ja... Samuel Zborowski!

Przygryzł wąsa, słysząc jęk w izbie furtianki.

– Święty Norbercie, patronie złoty... Banita z grobu  
powstał.

– Żaden banita! Jego syn... Jedziemy... z ciałem!  
Ścigają nas! Zmiłujcie się, dajcie schronienie.

– Tu klasztor, klauzura. Nasza reguła...

– Jeśli nie rozewrzecie drzwi, będzie tu sześć  
świeżych trupów! – wydyszał Zborowski. – Porąbane  
wrota, zwada przed furta, a kto wie, może okrwawiony  
klasztor. Wybierajcie, uchylicie wrót teraz czy też  
będziecie odmawiać zdrowaśki, kiedy mieszczanie i  
szlachta zaczną ucinąć nam głowy na progu tego  
Chrystusowego przybytku?!

– Jak mam być pewna, czy mówisz prawdę?  
Jazłowiecki... zgrzeszył. Zajechał klasztor, bracie,  
znieważył nasze zgromadzenie. Dlaczego miałybyśmy  
uśluhać jego głosu?

Zborowski poczuł, że ciemnieje mu w oczach.  
Zerwał kołpak z mokrej głowy, bo ten kolejny grzech  
Jazłowieckiego spadł na jego barki z siłą kamienia  
młyńskiego.

– Bo... pan Jazłowiecki, banita, gwałtownik i  
hultaj... wywołaniec i ciemiężyciel, prosi... was mymi  
ustami... o miłosierdzie i przebaczenie. Ja wam za niego  
padnę do nóg, ja odpokutuję grzechy. Na Boga, wpuść nas,  
choć do stajenki! Do chlewa, byle za murami! Na litość  
boską!

- Nie zmusisz mnie, bracie.
- Ja jestem zabójcą Bernarda. Usiekłem człowieka, który was zajechał, a dziś sam będę zabity!
- Czekajcie! – wydyszała furtianka. – Jeśli tak się mają sprawy... Otworzę wam kościół. Wnieście trumnę! Zatrzaśnijcie wrota. Ksieni zadecyduje o wszystkim i rozmówi się z wami.

Zborowski nie miał czasu na podziękowania.

10.

Ksieni nie bała się ani zakrwawionych sabatów, syna banity i w dodatku byłego kalwinisty, ani nawet martwego Jazłowieckiego. Przyszła z zakrystii w towarzystwie audytorki. Była wysoka, jeszcze młoda, dumna jak księżniczka, a pod kukullą i białym habitem przepasanym sukiennym pasem Zborowski domyślał się figury godnej posągu Afrodyty.

Szkoda, że taką łanię zamknięto w klasztorze.

– Kto sieje wiatr, zbierze burzę. A drzewo, które nie rodzi owocu dobrego, będzie wycięte i w ogień wrzucone. Wielka to ironia losu, że ten, który podniósł rękę na naszą niewinność, wraca nagi i bezbronny, w trumnie.

– To prawda, wasza dostojność, że napadł na klasztor?

– Rok temu zajechał nas z kompanią Wołochów i Kozaków. Za łaską Bożą i wstawiennictwem Norberta z Xanten przetrwałyśmy.

– Czego szukał?

– Swawoli i pomsty. Nasz klasztor cieszy się opieką

pana Golskiego, wojewody podolskiego, z którym zadarł młody Jazłowiecki. Gnębiąc nas, chciał wziąć odwet na naszym panu. Waść co teraz zamierzasz?

– Jeśli pozwolicie zostać, poczekam na ludzi starosty chmielnickiego. Wtedy zabierzemy ciało, bo tamci...

Za zaryglowanymi wrotami szemrał tłum. Sabaci, ściskający szable i rusznice, dygotali z przerażenia. Raz po raz pod niebo wznosiły się okrzyki – i nie były to bynajmniej psalmy sławiące Pana.

– Nie odprawimy przez was komplety, ale na prymę, najdalej tercję, nie chcę was tu widzieć.

– Bóg wam to wynagrodzi.

– Wyjdę i pomówię z nimi. A wy się nie pokazujcie. Macie być bardziej *muti* niż *pisces*. [ Łac. - bardziej niemi niż ryby.]

– Będziemy. Bóg zapłać.

11.

– Przyleciała ptaszyna!

Zborowski rozwarł oczy. Chyba przysnął na ławie; kościół spowijał cichy mrok, płonęły tylko dwie gromnice przy trumnie.

– Przyszła po cichu, najpierw odprawiać modły. A teraz...

Samuel zmrużył oczy. Sabaci spali w przedsionku świątyni – jeden chrapał niemiłosiernie, przy trumnie zaś cicho jak duch warowała siostra zakonna w białym habicie.

– Patrz... – Hunia sączył mu do ucha słowa jak jad. –

Znał się Jazłowiecki z mniszkami jak moja mać z bogatymi gachami!

Siostra przeżegnała się, a potem zerknęła na zmarłego. Gdyby to było tylko spojrzenie, nie wzbudziłoby podejrzeń Zborowskiego. Ale ona pochyliła się, wyciągnęła rękę, aby przesunąć smukłą dłonią po twarzy nieboszczyka.

– Aha – mruknął Samuel. – Jasna sprawa.

Cicho jak ryś ruszył ku zakonnicy.

– Nie za późno na modły, siostrzyczko?

Przeżegnała się zmieszana, zerknęła w stronę zakrystii jak spłoszony ptak.

– Poczekaj.

Nie słuchała – pobiegła w stronę przejścia do klasztoru, które musiała wcześniej sama otworzyć. Ledwie wskoczyła w cień, nagle pisnęła.

Z mroku wyłonił się Hunia w baraniej czapie, z ustami wykrzywionymi szyderczym uśmiechem. Nasmołowane wąsy zwisały jak dwa lonty po obu stronach ust.

Siostrzyczka wołała szlachcica, bo pozwoliła, aby Zborowski chwycił ją za rękę. Pewnie by się rozkrzyczała, ale zatkał jej gębę.

– Nic ci nie będzie. Chcemy tylko pogadać. Siadaj na ławie i udawaj modlitwę. Będzie nam łatwiej przy sabatach.

Zrobiła, o co prosił. Przysiedli – Samuel z lewej, Hunia z prawej. Mniszka przesunęła się jednak ku Zborowskiemu.

– Powinnaś być z siostrzyczkami, a modliłaś się za Jazłowieckiego. Jakże to tak, siostro, Bernard was napadł, złamał klauzurę, a ty przychodzisz do jego trumny?

Uczyliła znak krzyża i położyła palec na ustach.

– Nie mam czasu na mowę znaków. Skoro przyszłaś tu sama, to znaczy, że opuściłaś klasztor bez zgody sióstr. Albo staniesz się rozmowniejsza, albo narobię hałasu, wezwę tu przeoryszę i doniosę, że nie tylko samowolnie odprawiałaś modły nad ciałem hultaja, ale i pozwalałaś sobie na pewne... pieścizny. Ja w przeciwieństwie do ciebie nie muszę trzymać języka za zębami.

Zadrżała. Zborowski kuł żelazo, póki gorące.

– Dlaczego modliłaś się u trumny?

– Albowiem pan Jazłowiecki godzien jest litości – wyszeptała. Głos miała chropawy.

– Za to, że was zajechał? A może jednak miał powód, aby napadać na klasztor?

– Pomilujcie, szlachetny panie.

– Jeśli nie dowiem się prawdy, każę odprowadzić cię do ksieni jemu – wskazał Kozaka. – A to wcielony diabeł, kozacki bies, łeb ci ukreści po drodze i nie tylko. Więc jak to było z Jazłowieckim? Czego od was chciał? Ksieni mówiła, że mścił się na Golskim, ale widząc cię tutaj, skłonny jestem uwierzyć, że chodziło o coś innego.

– Pan Bernard... Był tu niejeden raz... Szukał... Nie dręczcie mnie, dobrodzieju!

– Niejeden raz? Coraz lepiej. Kogo szukał? Czekaj, niechaj pomyślę, czego szlachcic mógł szukać w klasztorze norbertanek. Przecież nie utraconej cnoty. On szukał... Zakonnicy. Ciebie!

– Siostry Franciszki.

– Chciał porwać mniszkę wbrew ojcu i prawu? Za to dostał banicję?

– Nie porwać... Toż ona była... była... jego – prawie szlochała norbertanka.

– Mów wszystko, jak na spowiedzi! – Zborowski

ścisnął ramię mniszki niczym w kleszczach. – Nie chcę ci grozić, ale moja głowa spadnie, jeśli nie dowiem się prawdy. Kim była ta Franciszka? Jak zwała się w zwykłym życiu?

– Leonora Szczawińska. Chorążanka halicka. Była oddana... na pomieszkowanie w klasztorze.

– Kto ją oddał?

– Nie wiem. To tajemnica. Stara ksieni wiedziała, ale ona już w niebie.

– I co z nią było? Miłowali się z Jazłowieckim?

– Pan Jazłowiecki przychodził do niej, mówili przez kratę. A potem...

– Potem zajechał i porwał? Cnoty pozbawił?

– Pomagaj Bóg! Wykradł ją nocą z klasztoru. Przyszedł z ludźmi, wyjął deski z parkanu, wyprowadził do stajni. Tam przebrał w letnik, dał ochędóstwa, perły, kołpak, konia, a potem...

– Wiem, co potem.

– Co wy tam wiecie. Uwiózł ją pod Buczacz, do lasu, gdzie był już szłaś, czekał ksiądz. Tam na podłodze rozpostarto kobierzec i ksiądz ich... złączył ślubem. Słodki Jezu... A kiedy ojciec zapomniał ceremonii, sam Jazłowiecki zawołał: *Pater reverende*. [Łac. - Ojczye wolebny.] Waszmość przepomniał o najważniejszej rzeczy: nie związałeś nas stułą. Ksiądz Marcjan odparł: Tedy poprawię, i tak zjednoczył ich serca.

– Co dalej?

– Pan Bernard odwiózł Franciszkę do sióstr, przebrał ją znowu w habit i kazał odprowadzić do celi.

– Po co? Przecież miał ją w garści?

– Nieboszczyk Jazłowiecki bał się wzburzenia ojca. Widywał siostrę Franciszkę przez kraty. Do czasu, aż

doszło do obłóczyn. I wtedy począł rozgłaszać, że Leonora jest jego żoną, posłał do sądów pozwy, do klasztoru zaś ten sam kobierzec, na którym brał ślub, aby na nim chorążanka składała śluby zakonne, tak jak jemu przysięgę małżeńską.

Zborowski aż gwizdnął cichutko.

– Przyjechał wizytator, przybyli legaci księdza biskupa, ale ślub dany świętokradzko w lesie, przez księdza opoja i przy świadkach hultajach uznali za nieważny.

– I wtedy Jazłowiecki zajechał klasztor?

– Nie, nie tak było. Zajechał, owszem, ale panny nie znalazł.

– Dlaczego?

– Bo nim złożyła profesję, przyjechał jej krewny czy opiekun. Zabrał niebogę. Wywiózł. I tak nie została żoną, nie złożyła też profesji, nie była zakonnica.

– Skąd wiesz to wszystko? Mówisz, jakbyś tam była?

– Nie pytajcie mnie, panie, o więcej.

– Byłaś tam – pokiwał głową Zborowski. – Znałaś Franciszkę... pomagałaś jej w nocnej wycieczce z klasztoru. Stałaś się jej powiernicą, a co więcej, sama rozmiłowałaś się w Jazłowieckim.

Siostra zadygotała.

– Dam ci spokój, kiedy wyjawisz, kto umieścił siostrę Franciszkę w klasztorze.

– Pamiętam tylko tego, który przyjechał ją zabrać.

– Kto to był?

– Jegomość Jędrzej... Jędrzej Porycki.

12.

Kiedy Hunia zamknął z hukiem drzwi do zakrystii i oparł się o nie plecami, stary klucznik zrozumiał, że skończyło się odmawianie godzinek. Ale nie krzyczał, nie wołał na pomoc sabatów. Co zrozumiałe – nie sięgnął też po szablę, kiedy krzywe ostrze szerpentyny Zborowskiego zaświeciło mu w oczy blaskiem miesiąca.

– Panna Leonora Szczawińska, chorążanka halicka, gdzie ona jest?

– Wiecie, panie bratku – starzec stęknął, wstawał przez dobrą chwilę, chwytając się za rozchybotany klęcznik – nie chciałem tu przyjeżdżać.

– Gdzie ją waś umieściłeś?

– A po co wam to wiedzieć?

– Bo mi kazaleś znaleźć zabójcę Jazłowieckiego.

– Co zabójca ma wspólnego z tym wszystkim?

– Być może miłował tę samą pannę, do której smalił cholewki Bernard.

– To moja wina, panie bratku. – Jędrzej uczynił krok, był blisko Zborowskiego, jego ręka szukała guza szlacheckiego żupana jak ostatniej podpory. – Jam to uczynił. Jam winien. Poniosę karę, mówi Pan.

– O co chodziło z tym zajazdem? Mów, bo powiem wszystko staremu Jazłowieckiemu!

– Sta-remu? Ja-zło-wieckiemu? – zaśmiał się Jędrzej. – On sam wszystko ukartował. Był opiekunem panny chorążanki. Po śmierci Szczawińskiego. Traf chciał, że młody pan Bernard ją umiłował. – Trzęsąca się ręka



Jędrzeja odnalazła wreszcie rękaw żupana Zborowskiego; starzec uczepił się go jak pijawka.

– Nie ta partia?

– Nie ten ród... Bo co Szczawińscy przy Jazłowieckich? Szaraczki zagrodowe, chamy, bratku, szlachta z zaścianków wyrosła, z borów polskich i ruskich, a nie z senatorskich krzesel, z zamków.

– I wtedy Michał Jazłowiecki posłał podopieczną do klasztoru?

– A syna... do chorągwi. Na cztery konie, po husarsku. To najpierw. Myślał, że mu przejdzie, wywietrzeje z głowy miłostka. Ale Bernard wrócił i kiedy się dowiedział, wziął potajemnie ślub. Z tą murwą, przechodką, co gachów miała na pęczki, jak nierządnicą babilońska!

– Łcesz, Jędrzej. – Zborowski wyrwał rękę z uścisku starego sługi. – Łcesz jak pies. Norbertanki nie przyjęłyby cudzołożnicy między siebie.

Jędrzej zawahał się; stał z rozczapierzonymi palcami jak szpony starego kruka.

– Mów, co było dalej, albo nigdy nie odnajdę zabójcy!

– Dalej... O, to prosto. Kiedy się wszystko wydało, starosta kazał mi ją usunąć, obawiał się, że Bernard wpadnie w szal. I słusznie, mój bratku, słusznie. Bo kiedy targnął się na mniszki i wpadł tutaj z hałastrą Stadnickich, po Leonorze zaginał wszelki ślad.

– I wtedy Bernard podniósł rękę na ojca.

– Za co rodzic wygnał go w gniewie z domu...

– Gdzie jest Leonora? Żyje? Martwa? Chyba nie spuściliście jej pod lód na Dniestrze!

– Po co? To już niczego nie zmieni.

Zborowski porwał dziada za gardło. Rzucił plecami na ścianę, przycisnął charczącego, dyszącego do poczerniałych bali.

– Gdzie Leonora? Co z nią zrobiłeś? Żyje? Mów, bo zdławię cię jak starego knura!

Dopiero kiedy Zborowski naprawdę zacisnął dłoń w pięść, oczy starego stanęły w słup. Łapał powietrze szeroko rozwartymi ustami jak ryba wyrzucona na brzeg.

– Co zrobiłeś z Leonorą, stary capie, tatarski kpie, ruski głupcze?! – prawie krzyczał Zborowski.

– Puskaj, bratku... Do dytka...

– Gdzie ona jest?

– W Haliczu... Za mąż pooooszyła. Za synka miejskiego...

– Wydaliście szlachecką córkę za plebeja? Bodaj was diabelskim kusiem chędożono!

– Za Biczkę... Szewca. Puskaaaaaaj...

Zborowski usłuchał. Jędrzej osunął się na kolana, łapał za gardło, charczał i krztusił się, spluwał, bryzgał śliną.

– Skoro przyjadą ludzie starosty, zabierzesz ciało Bernarda do Jazłowca – rzekł. – A ja... – urwał i strzepnął z żupana ślad palców starego. – Ja dołączę po drodze.

13.

Dom Biczki stał frontem do ulicy, za kościołem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, przed górą zamkową. Wnętrze izby wypełniał zapach skór i smoły. Kurz i pył wirowały w snopie czerwcowego słońca

wpadającego przez uchylone okno. Szewc – wysoki, brzuchaty, o włosach podgolonych na donicę i pucołowatych policzkach – latał po warsztacie niczym Żyd po pustym kramie.

– Potrzebuję butów – rzekł Zborowski. – Aby dumnie kroczył w nich na sejmikach i bankietach. Aby zawiodły mnie do Warszawy, na królewskie dwory.

– Z tekinu, proszę łaski pana, tylko z wołoskiego, przedniego – śpiewał szewc, wyciągając ze skrzyń i zydlu kawałki skór. – W takich to butach, panie wielmożny, pan wojewoda chadzał, pan kasztelan, pan starościc halicki. I u mnie to, tylko u Biczki, zamawiał. Bo tylko u mnie tanio a dobrze. I szybko, i sprawnie.

– Na przyszwach chcę nosy spiczaste i zakrzywione. Cholewy zaś mają być za kolano jak w husarskich butach, z wycięciami.

– Będą niczym złoto, jaśnie panie – Biczka giął się w ukłonach – świecić się jak psu jajca, z przeproszeniem waszmości. A dziewczki będą oczyma za waszą miłością wodzić jak koty za śperką.

– To nie zapomnij, że napiętek ma być łubem drewnianym umocowany, a pod piętą chcę podkówkę żelazną na trzy palce. Dobrze kowaną. I policz, łaskawy panie, ile będzie razem, żebym z torbami nie poszedł.

– Uuuuu... Takim torbom jak u waszej wielmożności trudno ulżyć. Razem będzie cztery złote polskie i piętnaście groszy. Chyba żebym dał cholewy z czabanu albo z bielskiej juchty. Ale co tam, stać przecie waszą miłość na wołoską skórę, dobrze mówię?

– Mierz i wykrawaj. – Zborowski rozglądał się po izbie. Postawił nogę na zydlu, a szewc rzucił się na kolana, aby ściągać z pańskiej nogi juchtowy, kowany but.

– Gdzie wasza żona? – zapytał, kiedy Biczka posapywał, mocując się z oporną skórą. – Czemu ją ukrywacie?

Szewc zamarł, ale nie podniósł wzroku.

– Gdzieżbym ukrywał, proszę łaski pana. Siedzi w komorze, bo niedomaga, jak co miesiąc baba.

– To pokażcie, co za klejnot w chałupie wam świeci.

– Nie trzeba jej tu, jaśnie wielmożny panie. – Szewc zerwał but z nogi Zborowskiego i odwinął onucę. – Cóż ona, do kopyta niezdatna. A za buty będzie, niechaj sobie policzę, równo pięć polskich złotych. No, pięć i dziesięć groszy.

– Pani Leonoro! – krzyknął Zborowski, mając nadzieję, że jego głos słyhać w całym domostwie. – Jegomość Bernard Jazłowiecki kazał się kłaniać!

Szewc zamarł z płótnem w ręku.

– Wybaczcie, wasza wielmożność, ale w domu nie ma teraz nikogo.

– Dopieroście mówili, że siedzi w komorze.

– W jakiej komorze, jaśnie panie. Pewniem się omylił. Na targ poszła. A względem waszych butów...

– Kiedy wróci?

– To jak podliczę i obcasy, i podkowy, wyjdzie nie mniej niż sześć złotych bez pięciu groszy. Wróci? Jak wróci? Niechybnie nieprędko. Ale postawcie tu stopę.

Biczka sprawnie przejechał ostrym rylcem wokół palców Zborowskiego, odznaczając zarys na płacie skóry.

– Chcę tylko przekazać jej ukłony – tłumaczył Zborowski. Usłyszał skrzyp. Drzwi do komory otwierały się wolno. Stała w nich wysoka pani, wątła w stanie, co podkreślała jeszcze błękitna kazjaka i spódnica z pasamonami. Wielkie brązowe oczy wpatrywały się w

Zborowskiego.

– Aj! – Szewc ukłął szlachcica w nogę rylcem, a potem rzucił się do drzwi.

– Gdzie ty! Gdzie ty tu! – zakrzyczał, machając ręką. – Won do komory. Do izby mówię, kurwo! – wrzasnął wściekle i jednym ruchem popchnął niewiastę. – Ja ci te parchy... ja ci je ze łba wybiję... Czekaaj tu, tylko z wielmożnym panem skończę!

Wpadł do komory. Zborowski usłyszał cichy krzyk, łoskot, mocne plaśnięcie i wszystko ucichło. Po chwili szewc wyszedł – mokry i czerwony na gębie. Zatrzasnął drzwi i sapnął.

– Ukłułeś mnie, szelmo – rzekł Zborowski, owijając stopę w onucę.

– Łaski, panie wielmożny! – Szewc prawie padł przed nim na kolana. – Ja zaraz pomogę. – Podał szlachcicowi but, Zborowski miał wrażenie, że wylizalby go ozorem, gdyby rzucić mu dukata. – Bo to tak z babą. Wylezie, murwa jedna, nie usiedzi, poćpiega, w miejscu, taka jej mać! Co z nią robić, Boże Wszechmocny. Kochaj żonę jak duszę, a trzęś jak gruszę. Zresztą, wasza wielmożność, srał pies głupią babę, a?

– Prawda najprawdziwsza. To ile za buty? Mówiłeś sześć złotych, co znaczy półtora dukata.

– Nu nie wychodzi, panie wielmożny. Wasza mość mnie nie słuchał, kiedym lepszą juchtę dawał. Tak i uzgodniłiśmy całe siedem złotych... Za to buty, proszę łaski pana, jak złoto! Do Jerozolimy i Carogrodu waszmość dojdzie. I senator takimi na radzie nie błyszczycy.

– Kiedy mam przyjść?

– Za dwa dni.

– To bywajcie. – Zborowski wziął nadziak i ruszył

do wyjścia. Szewc odprowadzał go, zginając się w ukłonach. Na zakończenie szlachcic podał mu rękę do ucałowania, co Biczka uczynił tak skwapliwie, że herbowy sygnet Samuela nabrał nieco większego połysku. Zborowski zastanawiał się, czy gdyby zaokrąglił cenę do ośmiu złotych, szewc ucałowałby go w zadek, a może nawet pozwolił wsiąść na konia po własnym karku?

14.

– Bił kułakiem, kańczugiem, bo miłosierdzie to on ogląda chyba tylko na obrazach w kościele – relacjonował Hunia, żując w zębach sosnową trzaskę. – Widziałem wszystko przez parkan, bo chciała lecieć za wami. Ma parę w łapie, robotny chłop. Rozumny jest, grzmocił po plecach, po zadzie, ale nie po głowie, bo co mu po ślepej, po głuchej?

– Okrutnie go rozsierdziła wzmianka o Jazłowieckim.

– Nie lubi Lachów, jak ja – mruknął bezczelnie Kozak. – Cały czas krzyczał: Już ja ci tego ślachcica ze łba wybije! Już ty będziesz moja, moja! Potem bat rzucił, błagał ją, przeproszał, kajał się.

– A Leonora?

– Leżała w błocie, w jednej koszulinie, bo ją najpierw ze złości odarł z szat. Szkoda mu było kazjaki, rańtucha, spódnicy. Porwałyby się pod kańczugiem, a za postaw lada jakiego gdańskiego falendyszu chcą na targu po trzydzieści groszy. Na chędożoną duszę kurwy mojej matki, to by była strata dla parchatego łyczka!

– Lepiej stul gębę i gadaj, co dalej.

– Ledwie doczołgała się do domu po takim masażu... Ona ma dziecko. Nie jego – pokręcił głową Hunia. – Wyzywał ją od kurew, a małego od bękartów starościńskich. Groził, że jak będzie o tamtym myśleć, to tego Jaśka sprzeda Tatarom.

– Bękart starościński... Czeka! Do krocset! Bękart, powiadał... To dziecko Bernarda Jazłowieckiego.

– Pewnie tak.

– Życie za śmierć. Posłuchaj, Hunia. Do diabła, dobrze, żeśmy tu przyjechali. Mam plan, jak ocalić nasze głowy.

– Chyba swoją, bo moja spadać nie chce.

– Milcz i wyteżaj wzrok.

– Nie muszę. On właśnie wychodzi.

– Biczka?

– Sam jeden. Do karczmy.

Oczy Zborowskiego zmrużyły się w wąskie szparki.

– Idź za nim jak pies i pilnuj, żeby nie wrócił za wcześnie. Daj mi godzinę.

– Na co?

– Już moja w tym głowa, co zrobię.

– A gdyby łyczek się śpieszył?

Zborowski milczał.

„Ucisz go” – zaszemrał w jego głowie głos ojca. „Ucisz, nie będzie psuł ci szyków. Raz i po sprawie”.

– Zrób to, co trzeba. – Zborowski przymknął oczy. – A ty zawsze wiesz.

– Mówisz i masz, pane.

Kozak ruszył uliczką przy kościele Wniebowzięcia. Zapadał zmrok, po południowym deszczu znowu zbierało się na burzę. Grom przetaczał się w ukryciu od Łukwi do

góry zamkowej, wybrzmiewał długim, złowieszczym pomrukiem. Kropiło.

Hunia szedł śmiało za zgarbionym Biczką. Przepychał się między plebejami i Karaimami w okrągłych czapkach, nie tracąc z oczu zwierzyny. Trop w trop.

Uśmiechnął się okrutnie, kiedy Biczka skręcił do bramy ozdobionej wieżą – znakiem wyszynku piwa i gorzałki, przystani dla spragnionych biboszy, oazy, w której bez patosu utopić można było wszystkie smutki.

W ciemnym wnętrzu płonęły dwie latarnie, przy stołach zasiadało towarzystwo plebejskiego stanu i oberwanego autoramentu. Dziad z drewnianą nogą, wyświechtany i sfatygowany młodzieniaszek w kabacie, podający się pewnie za szlachcica, stara baba, dwóch czeladników z garbarni, co poznać można było po smrodzie; znad dzbanów wyglądało kilka prostackich, czerwonych gąb furmanów, szewców albo flisaków. Pod ścianą dwóch miejskich hajduków grało w kości.

Biczka wziął od karczmarza gąsior z gorzałką, a potem potoczył się ciężko ku ławie. Pił samotnie, strząsając na blat białe krople z kubka. Nikogo nie zaczepiał. Nie wrzeszczał, nie gadał.

A kiedy wypił, sięgnął do kalety, aby przeliczyć grosze. Naprawdę ostatnie brązowe szelągi, cienkie jak blaszki. Rozsypał je na stole, przesuwając palcami, kiwając się smętnie.

Zamajaczyła przed nim postać Huni. Ręka zdobiona pierścieniami złożyła przed szewcem kwartę zacnej, przejrzystej niczym woda okowity.

– Na szczęście, bracie rodzony – ozwał się Nikifor. – Tak mi się widzi, że my dobrze znakome druchy.

– A gdzieśmy to się, eeee... – zamruczał Biczka –



widzieli?

– Tak i pamiętam, że chyba na jarmarku w Bohusławiu.

– Dalibóg, nie pomnę. – Oczy szewca śledziły dłoń Kozaka i srebrzystą smugę horyłki, którą lał w gliniany kubek jak w studnię. – Ja nie znam żadnych... Kozaków. Ja szlachcie buty szyję. Panom wielkim! Ja jestem Biczka, pierwszzy szewc Halicza.

– Nic to, duszo zbłąkana. Przy stole wszyscy równi. Pij, na frasunek dobry trunek.

Biczka podniósł naczynie do ust trzęsącą się ręką. Hunia ujął go za nadgarstek szczupłą, śniadą dłonią, przytrzymał.

– Pij, duszo potępiona. Zalej troski i smutki. Ja wszystko wiem, co i jak. Ja pomogę, skrócę mękę. Co komu pisane, to go nie ominie, bo każdego z was raz maty rodyła.

– Co ty tam wiesz, Kozacze!

– Wiem, wiem. Pij, brateńku. Pij do dna.

Biczka wypił.

– A teraz gadaj. Szczerze i od serca. Niewiasta?

– Ja ją miłuję. – Biczka ujął gliniany kubek. – Moja Leonora, moja dziewczeczka... – zakrztusił się, rozkaszał.

– To już widzisz, duszo czyścowa, że w tym cały ambaras, aby dwoje chciało naraz.

– Ona mnie nie chce, a przecie to żona. Po prawie, po księdzu, po kościele! – Szewc rąbnął dłonią zaciśniętą w pięść w zalany gorzałką blat. – Ślub mieliśmy, ręce nam stułą związał. Rzekła mi: tak, po woli opiekuna. A teraz ona nie chce, murwa, bestyja.

– Jak już nie twoja, mężowska, to czyja?

– Bo ona ciągle o tamtym myśli. O ślachcicu!

– Pijcie, pijcie. Osoba godna pije do dna!

– A wy czemu stronicie? Czego się ze mną nie napijecie?

Kozak odsłonił w uśmiechu równe, białe zęby.

– Ja, duszo moja, nie mogę. Nie idzie. Diabła mam w sobie. Tu. – Palnął się szeroko w pierś kułakiem. – Jak tylko horyłki łyknę, on zaraz wstaje, budzi się. I wtedy... kęsim! – Roześmiał się głośno i swawolnie.

– Ja dla niej wszystko... Suknie kupił. Osiem łokci adamaszku, piętnaście falendyszu, izbę czerwonym suknem obił. Ja dla niej kolasę sprowadził, szory żółte, dryja w woźniki myszate, że i sam wójt takich nie ma. A ona... Ona mnie nie chce... To ja się pytam: dlaczego? To ja się pytam: za co? Na mękę Pańską! Mnie nie chce, męża. Do łóżnicy nie puszcza. A siłą... jak chłop niewolić mi nijak. Nijaaaaak! – Zadygotał skulony za stołem.

– Słowa ne striała, a głubsze ranit.[ Z rosyjskiego - Słowa nie strzała, a ranią bardziej.] Bijasz ją?

– Bijam, po prawdzie. Ale co mnie... czynić. Toż ja przecie nawet jej bękarta uznałem. I za co? Za co to wszystko, ech...

– Bękarta? – Hunia dolał do pełna.

– Po tamtym. Po ślachcicu... Jaśnie wielmożnym panie Jazłowieckim, co ją miał jak murwę, jak ostatnią przechodkę. Dali mi ją... Z brzuchem jak bęben. A ja wszystko przyjąłem... Za grzechy! Bo ją miłuję.

– Pijcie.

– Nie będę pił, jak wy nie chcecie. Co to, chcecie robić sobie ze mnie igrzysko?!

– Nie mogę pić. Nie czas, duszyczko. Ale mów, mów jak na spowiedzi.

– Ja nie będę mówił. Ja do niej pójdę! Zaraz, już! Ja

padnę jak przed kniazem, przed wojewodą, plackiem. Ja się będę tarzał... Ja dla niej gościńca mam. Ja ją będę prosił, jak pies wył! A ona posłucha mnie wreszcie, moja luba, moja miła!

Jednym ruchem rozbił na kawałki kubek, poderwał się i zatoczył za stołem.

– Czekaj, duszo niechrzczona – powiedział powoli Kozak. – Teraz się napiję.

Wychylił duszkiem kubek horyłki. Chuchnął i nalał drugi.

Biczka zmierzał ku drzwiom. Roztrącił pijanych i kosterów, aż któryś popchnął go pod ścianę. Inny obrzucił przekleństwami.

Hunia nie patrzył. Podniósł do ust czarękę, jakby to był kielich z trucizną. Posmakował jej do końca. Czekał.

A potem, kiedy świat się zmienił, wstał i ruszył ku drzwiom.

Dopał Biczkę na ulicy, w deszczu, w ulewie, jaka nastąpiła po burzy. Między mokrymi, oślizłymi beczkami. Pośród opustoszałych straganów i kramów, na których płóciennych dachach bębniły grube krople deszczu jak pożegnalne werble grające na pogrzeb nieszczęsnego szewca.

Hunia złapał go i obrócił ku sobie. Biczka szarpnął się niczym robak nabity na szpilkę, zatoczył, wsparł plecami o ociekające wodą deski szopy.

– Co... Coś ty? Za co?

– Za to, żeś, chamie, łyku, miejski synku, śmiał podnieść rękę na jaśnie oświeconą starościankę. Na żonę pana Bernarda Jazłowieckiego. Na jej cześć niewieścią i cnotę. Ty ścierwo znad szewskiego kopyta! Chamie z Chamowa, wiechciu nieczysty!

– Kiedy – ryknął szewc – mi ją dali! Nie po niewoli... Jędrzej Porycki. Pan starosta chmielnicki.

– Jakby ci dał ikonę Boharodzicy, też byś pomyślał, że biskupia mitra dla ciebie? Coś ty, z byka spadł, że nie wiesz, że herbowa córka nie dla łyeczka? Nie słyszałeś, że wasz lacki Boh srogo karaje?! Ja jestem jego ramieniem, orężem w dłoni. Ja, dydko!

– Ja jej podarek kupiłem! – wyjęczał Biczka i wyciągnął z zanadrza korale. – Ja ją przebłagam... Darujcie!

Hunia wybuchnął szczerym i niepohamowanym śmiechem.

– Oj, bratku, brateńku, duszo najmilejsza! – Poklepał szewca po puciołowatym policzku. – Nastraszyłem cię, przyznaj się, cha, cha!

Szewc zamarł, otworzył usta, wybałuszył oczy. I parsknął śmiechem.

A wtedy Kozak ciął kindząłem.

Chlasnął Biczkę przez żywot, przeciął giermak i koszulę, trzymając broń odwrotnie – z kciukiem na główicy, ostrzem w stronę łokcia.

– Panieeeee! Łaski! – rozdarł się szewc zagłuszany przez deszcz i wiatr. – Ja... Ja... nigdy jej... ręką... kijem. Nie tknę. Ja jej wieniec pošlę, na półmisku... Ja...

Wychodząc z chłaśnięcia, Kozak pchnął; wbił kindzał skośnie w pierś Biczki, wyszarpnął.

Szewc padł w błoto, zakrztusił się krwią, charczał, pełzył przez kamienie.

– Tak ty już do niczego niepotrzebny, duszyczko. Leć, leć do nieba...

– Zmiłujjjj! – wycharczał Biczka. Krew buchała z niego jak z wieprzka, kiedy wyciągał rękę w stronę

najbliższej ławy. – Leosiuuu... Pomiłuj mi... Moje miłowanie...

Kindżał Kozaka spadł na niego jak piorun, zdusił modlitwę w zarodku.

Błoto ściemniało od krwi. Biczka ruszał jeszcze nogami, kopał rozmiękłą gliniastą kałużę, ściskając w garści sznur czerwonych koralii.

15.

Do zamku dotarli następnego dnia, wiodąc kolasę z chorążanką, uprowadzoną i zahukaną jak tatarska branka.

Zborowski podążał jak na własny pogrzeb, jakby wioził staroście w podarunku swoją głowę. To samo musiał czuć przed laty jego ojciec, wyprowadzony wczesnym majowym świtem z krakowskiej baszty Lubranki za furtkę wiodącą ku Kazimierzowi, aby zmyć szlachecką krwią wściekłość i gniew Zamoyskiego.

Boczna brama czekała otwarta. Jędrzej i sabaci spoglądali na nich beznamyślnie. W oczach starca Samuel dostrzegł gniew.

– Pan starosta już wie – powiedział Porycki. – Twój sługa wszystko wygadał. I prawdę mówiąc, modłę się, by Jazłowiecki wypruł ci flaki. Aby rozszczepił cię na kawały, jako i ty rozszczepiłeś gardło jego syna.

– Czyń, co masz czynić – mruknął Zborowski, oglądając się na Leonorę zasiadającą w kolasce.

– Z konia! Oddaj broń!

Samuel zawahał się. Blanki i beluardy obstawione były hajdukami i sabatami. Armaty szczyrzyły groźne

pyski.

Zborowski przygryzł wąsa i zsiadł. Odpiął hak, zdjął cienki pas z szablą, zawinął wokół pochwy, podał klucznikowi.

– Nadziak też.

Samuel posłuchał. Leonora tuliła w ramionach Jaśka. Czuł jej ból, lęk, zimne spojrzenie, żal i łzy.

– Chodźcie.

Służba roiała się na dziedzińcu. Z kaplicy dochodził łoskot toporów – zapewne stawiano tam *castrum doloris* dla starościca Bernarda. Ogromne, kosmate meklemburczyki przy paradnym brożku stały spokojnie okryte żałobnymi czaprakami.

Kat też czekał. Rosły, w czarnym kubraku i opończy, w kapturze z otworami na oczy. Czyścił i szlifował miecz zakończony ściętym płasko ostrzem i trzema otworami przewierconymi na końcu.

Weszli schodami na górę, na galerię, gdzie żupany i kiereje służby tworzyły karmazynowo-żółty mur nie do przejścia.

Bramą był Michał Jazłowiecki, starosta chmielnicki. Stał w adamszkowym żupanie, szamerowanym złotem, ozdobionym guzami z turkusami. Nie miał czapki, a na bladym, wygolonym czole bielily się zwoje szarpi.

– Mości panie starosto, oto jestem!

Cisza. Nawet ptaki w ogrodzie za domem przestały śpiewać. Głęboko osadzone żółtawe oczy starego Jazłowieckiego pozostawały puste.

– Gdzie mój syn, panie Zborowski? Czy go znalazłeś? Gdzie on jest? Gdzie Bernard, pytam?! Gdzie jest ostatni potomek rodu Jazłowieckich?!

– Przywiozłem ciało syna waszej mości. Którego

zabiłem własną ręką, przypadkiem, w obronie własnej, w chwili, która lepiej by się nigdy nie zdarzyła. W miasteczku, które bodaj lepiej nigdy nie istniało.

Jazłowiecki milczał.

– Mości panie starosto, nie będę uciekał. Nie będę unikał kary, bo odprawiłem już pokutę, biorąc na siebie grzechy zabitego. Lecz Pan zesłał na mnie pocieszenie. I oto przywożę ci ciało martwego syna, lecz jako głównoszczyznę oddaję ci ostatniego potomka rodu. W zamian za martwego Bernarda oddaję żywego Jana, jego syna, a twojego wnuka.

Zborowski wskazał Leonorę tulącą dziecko do piersi.

– Oto jest syn Bernarda i Leonory *de domo* Szczawińskiej, chorążanki halickiej, którą kazałeś zamknąć w klasztorze. A która wbrew twej woli została żoną nieboszczyka, zanim zginął, poczęła mu potomka, ostatniego z rodu Jazłowieckich.

– Bernard nie żyje! – jęknęła Leonora i omal nie wypuściła dziecka. – Gdzie jesteś, mój panie?

Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Jazłowiecki postąpił krok w stronę Leonory, spojrział na oblicze małego Jasia, wpatrzył się w niego drapieżnie jak smok, dumnie jak pan, którym był z samej swojej powagi, cnoty i urodzenia, nawet bez adamszkowego żupana, delii i pierścieni.

– Oto twój wnuk, mości Jazłowiecki. Przyjmij go jak marnotrawnego syna, aby nigdy nie podzielił mojego losu. Oby nie uznano go jak mnie za pogrobowca albo bękartą. Aby nie musiał tulać się po świecie jak Samuel Zborowski, syn jeszcze sławniejszego ojca, banity i buntownika. Czy chcesz waszmość skazać go na tułaczkę?

Czy Jan Jazłowiecki godzien jest takiego losu?

– Jędrzej! – zagrzemiał starosta. – Sam tu!

Patrzył na Zborowskiego, a tego przechodziły ciarki.

– Do usług, do usług – ucieszył się stary, kuśtykając do pana. Popatrywał na Samuela z nienawiścią, ale i tryumfem. Schylił się do upierścienionej ręki patrona...

A wtedy Jazłowiecki uderzył go w gębę. Z całych sił. Po pańsku! Piękny był ten cios, bić też trzeba umieć po szlachecku, nie po chamsku.

Jędrzej wrzasnął, zatoczył się, padł na kolana. Krew z rozbitego nosa lała się na siwe wiechcie wąsów, skapywała na piaskowe płyty kruzganka.

– Za co?! – wystękał, a w jego oczach malował się gniew. – Bijcie, z waszej ręki nie boli, ale... za co?!

– Nic mi nie powiedziałaś – ryknął Jazłowiecki – o moim wnuku! O tym, że ona była przy nadziei! Kazałem zabrać ją z klasztoru, aby usunąć sprzed oczu Bernarda, ale nie myślałem, że sprawy zaszły tak daleko!

– Wasza miłość – mamrotał stary, a w jego oczach czaił się niebezpieczny błysk – to bękart, żaden Jazłowiecki! Zborowski łże! Jak można wierzyć synowi banity?!

– Czengier, Jaks! – zakrzyknął Jazłowiecki na hajduków. – Od dzisiaj pan Jędrzej Porycki nie jest już moim sługą i powiernikiem. Zabrać mu barwy, dać na gołą rzyć dziesięć odlewanych i wyrzucić za bramę! Za bramę, powiedziałem!

– Za trzydzieści lat służby! – zakrzyknął Jędrzej. – Jak psa... Mnie, starego... Najwierniejszego. A przecież... Za miskę soczewicy, za kawałek chleba.

– Gdybyś był psem, kazałbym cię powiesić! Won!

Hajducy nie czekali. Chwycili starego Jędrzeja,



zdarli zeń bekieszę i żupan, powlekli ku schodom, nie żałując pięści i kopniaków.

A pan starosta chmielnicki wziął z rąk Leonory małego Jaśka, podniósł do góry, przytulił do piersi. Mały spłoszył się, zapiszczał, zapłakał.

– Mam wnuka... – Jazłowiecki zdawał się nie ufać własnym oczom. – Dziedzica. Mocny ma głos. Toczka w toczkę ojciec.

– Gdzie jegomość pan Bernard?! – jęknęła Leonora.

– Bernard w trumnie. W kaplicy. Dziś tutaj narodził się Jan.

Chorażanka jęknęła. Zbladła i osunęła się na posadzkę. Wśród służby rozległ się krzyk, ktoś skoczył, chwycił ją za dłoń, inny podłożył rękę pod głowę.

– Ocucić ją i przenieść do komnat – rozkazał Michał Jazłowiecki. – Weźcie dziecko i wezwijcie jakąś starą mądrą babę z miasteczka. Niech pilnuje mi dziedzica.

Powiódł oczyma po obecnych.

– A tymczasem pamiętajcie, że macie słuchać rozkazów pani Leonory, jakby wyszły z moich ust.

– Mości panie – zaskrzypiał niski człeczyna w kapeluszu wielkości koła od wozu – nie chcę się narzucać, ale pora do łoża... Wracać. Odpocząć. Driakwie i medykamenty...

– Chcesz chyba rzec: pora umierać. Nie, Simoniusie. Ja, szlachcic polski, starosta, Jazłowiecki, pan i ruski władcyka, nie będę zdychał jak pies. Siodłajcie konia! A wcześniej przynieście papier i inkaust. Muszę uczynić zapis na wnuka. Ktoś będzie musiał zawieźć go do Halicza, do ksiąg. Piorunem!

– Panie Zborowski – rzekł ciszej – musimy się rozmówić. Na osobności.

I tak wyruszyli konno i zbrojno, z eskortą sabatów dworskich. Pan Zborowski na wiernym Piorunie, z Bohuszem i Hunią przy boku. Pan Jazłowiecki na dumnym siwym turku z kulbaką nakrytą wzorzystym czołdarem, obszytym chwostami i frędzlami, zdobionym w złote i karmazynowe pasy, bo przecież czerwień chłopska i słowiańska jest, a polski i sarmacki może być tylko karmazyn.

Wjechali galopem na płaskie podolskie wzgórze, skąd rozpościerał się widok na dolinę Dniestru, oświetloną gorącym blaskiem czerwcowego słońca. Wierzchowce wpadły na górę jak wichry, tratując brunatne zagony i zielone niwy, prężąc się i wybijając z tylnych nóg w rozkołysanym rytmie galopu.

– Mospanie, powinienem cię zabić – rzekł Jazłowiecki, kiedy zatrzymali się na szczycie. – Bóg mi świadkiem, że chciałem i powinienem był to uczynić.

– Jeszcze możecie naprawić błąd.

– Nie będę się jednał z zabójcą syna, ale, mości Zborowski, zadziwiasz mnie. Rano jeszcze byłem na wpół umarły i żyłem tylko zemstą. A po południu dałeś mi dziedzica i nadzieję.

– Niezmiernie miło mi to słyszeć. Chciałbym też dodać, że nie zabiłem Bernarda ze złości czy wyrachowania, ale przypadkiem. W zwadzie. W starej chacie. W ciemności i po pijanemu. Ja nawet nie wiedziałem, że to Jazłowiecki.

– Ciiii – wyszeptał starosta. – Nalejcie nam wina, niechaj wychylę ostatni kielich przed drogą. Istvan, chamie, polewaj węgrzyna.

Siedząc na koniu, uniósł kielich.

– Za wszystkie moje włości piję, może po raz ostatni. Chciałem je jeszcze... zobaczyć. Świdową, Bielcze, Sipowce, Nowe Dawidkowice, Lechniowce, Ostrów, Demeskowice, Jasieniów, Laszki, Husiatyń, Kossów, Nowosielicę, Załuże, Latyczów i Lubaczów, Chmielnik i Śniatyń. Wszystko to będzie jego... Jana Jazłowieckiego. Panie Samuelu, poprę twoją sprawę. Zaraz ze dworu wyślę pisma do Zborowskich, do sejmików, do króla, a choćby do samego diabła!

– To może już lepiej wracajmy.

– Mam wracać zdychać, to wolę umrzeć tutaj, jak szlachcic, na koniu. Mospanie Zborowski, zdrowie mego wnuka!

Wychylił jednym haustem kubek wina, zakrztusił się, zbladł i zadygotał.

A potem zaczął się wolno osuwać z kulbaki, coraz bledszy, lecz ciągle wyprostowany jak pan, karmazyn, posesjonat. Sabaci rzucili się ku niemu, wsadzili w kołyskę z dwóch czapraków, powieźli z krzykiem i żalością do bramy.

17.

A w bramie historia Jazłowieckich skończyła się dla Zborowskiego.

Nie wjechał na zamek, bo drogę zagrodzili mu

hajducy i wycelowane w łeb rusznice, bandolety, pistolety.

Między zbrojną czeladzią stała blada Leonora Szczawińska, teraz już Jazłowiecka.

– Mości panie Zborowski. Nie tędy droga!

Zaskoczony chciał roztrącić tłum sług, a wtedy jeden z hajduków wymierzył arkebuz wprost w głowę, prosto między oczy.

– Stój! Nie osiedzisz się tu!

– Mości pani, jak to? Skąd...

– Nie wjedziesz do zamku. Ruszaj precz!

– Dokąd mam pójść?

– Na gościniec.

– Za co?

– Jak to za co?! – zakrzyknęła z rozpaczą. – Zabiłeś mi jednego męża. Zabiłeś drugiego. Przywlokłeś mnie tutaj na arkanie, porwałś z domu! Przeprowadziłeś swój misterny plan i ocaliłeś głowę, ale zapomniałeś o jednym. O najważniejszym.

– Nie rozumiem.

– Zapomniałeś spytać, co ja o tym wszystkim myślę. Nie jestem zabawką ani dziewczką, którą możesz niewolić, wozić, porywać i zabierać, kiedy ci się żywnie podoba. O, nie!

– Uczyniłem cię wielką panią, a twego syna dziedzicem Jazłowca.

– Przynosisz tylko nieszczęście, samą krew! Zamykajcie!

– Starosta obiecał mi...

– Wiem, co ci obiecał. Nic z tego nie będzie! Precz, gdzie oczy poniosą. Masz! – Cisnęła mu prosto w głowę wypchaną brzęczącą sakiewkę. – Oto twoja zapłata za ludzkie łzy, za Biczkę, za Jazłowieckiego. Za starostę. Idź

precz!

Zborowski zbladł. Siedział na koniu jak kamienny posąg rzymskiego imperatora. Nie odzywał się, bo i cóż miał powiedzieć?

Hajducy zamykali bramę, ciągnęli za wierzeje. Szpara zmniejszała się, a w niej jak w umierającej źrenicy kurczył się obraz dumnej pani dosiadającej konia. Zmienił się w końcu w szczelinę i zniknął zupełnie.

Wrota zamknęły się z grzotem.

Zborowski zawrócił wolno, bez słowa. Ruszył w świat, tam, dokąd prowadził go gościniec. Sam, pogrobowiec, bękart, syn charakternika.

Bez włości, bez nadziei. Bez przyjaciół.

Uwoził swoją szablę i szlachecką dumę. Za nim szli Hunia i Bohusz, dwa złe duchy.

Hunia śmiał się szyderczo. Bohusz, nim ruszył, zeskoczył z Wołoszyna, capnął sakiewkę, wysupłał z niej dukata, sprawdził na ząb, czy dobry.

Zborowski jechał drogą w dół. Minął zakrwawionego, dygocącego starca, który siedział na kamieniu, kiwając głową, na przemian łkając i szlochając. Na widok Samuela poderwał się.

– Ty psi synu, Zborowski! Synu wora i szelmy! Bodajby były cię pioruny, a twoją mać kat chędożył! Bodajbyś zawisł na najwyższym pochyblu! Aby ci gawrony oczy wydziobały. Z kurwy ostatniej synu, złodzieju podolski, eunuchu z chańskiego saraju, bękarcie samego diabła!

Zborowski spojrzał obojętnie na Jędrzeja i jechał dalej.

– Zabiłeś mi syna! Zabiłeś Bernarda! Był z Jazłowieckiej, ale nie ze starosty Michała! Z moich lędźwi

się pocał! Służyłem mu wiernie całe życie! Mój jedyny...

Samuel wyminął go i ruszył rysią. Droga rozwijała się przed nim niby jasna wstążka, słońce i gwiazdy wiodły w nowe, nieznane szlaki.

A nad jego ramieniem czaił się dydło Hunia. Wyjął bandurę i śpiewał:

*Słuchajcie, nocne cienie, bądźcie mi świadkami,  
I wy nieszczęsne ściany; skarżę się przed wami,  
Czemu mnie pierwszej morskie nie pożarły wody?  
Czemu mi nie kazały umrzeć złe przygody?  
Czemu mię też tureckie hufy nie pożyły?  
Czemu mnie jako drugich na hak nie wrzuciły?  
Czemu, kiedym wyganiał tatarskie zagony,  
Nie byłem hartownymi strzałami zraniony?  
Albo skrzętny Moskwicin czemu mnie omijał,  
Gdym się przez możliwe hufy strzelbą swą przebijał?  
O śmierci, nie chciałaś przyjść, gdym cię szukał*

*mężnie,*

*A teraz jako kwiat polny ginę niepotężnie...*

[Anonimowy utwór z xvi wieku.]

## **Kniahini**

Trudno przestać pić po trzech dniach biboszu w karczmie Pod Rogalą w podsieniach ratusza w Dubiecku. A jeszcze trudniej zachować rozsądek, kiedy przestaje się z czeredą wydmikufli zaprawionych w bojach, w których kielichy lecą jak łby ścięte mieczem, a beczka małmazji staje się latarnią rozjaśniającą mroki. Kiedy ma się wokół siebie ludzi usłużnych, układnych, zginających się jak topole na wicherze nie tyle przed fantazją, co pękata sakiewką jaśnie oświeconego kniazia.

Dlatego młody, bezwąsy panek czuł się w takim towarzystwie niczym dworski lew – jakby nagle dodano mu ze trzy ćwierci fantazji i z dziesięć lat doświadczenia. Stawiał i sam pił do dna. Wyrwany spod matczynej opieki spoglądał z wysokości swoich siedemnastu wiosen na tłoczący się wokół niego tłum niczym królewicz na rozbiegane dworskie kundle.

Po dwóch dniach poznał ich ze szczętem, a oni traktowali go jak swego. Oblapywali wpół, zwąc najdroższym przyjacielem, pili za zdrowie i szczęście, deklarując dozgonną przyjaźń, pomoc i wierność.

Pomoc w rzeczy samej była młodzieńcowi potrzebna. Grobicki z Hucisk i Stanisław Czarnocki z Zasławic – dwa kpy i franty, którzy samemu diabłu wywinęliby się spod pręgierza – prowadzili doń młodą przechodkę w lnianym kształciszku i łubkach ozdobionych wieńcem polnych kwiatów.

– Przyjacielu nasz najdroższy! – zakrzyczał

Grobicki, zamiatając trzęsieniem u czapki mysie bobki dokładniej niż najlepsza z gospodyń. – Jesteśmy z dziełatką...

– Klaczą niebiańską – cmoknął Czarnocki. – Karczmarz szelma ustępuje wam własnego alkierza.

– Czas już zmęźnić – zahuczał Grobicki. – I oto jest panna godna kniazia, gospodarskiego syna!

Panicz podniósł wzrok na kompanów, skrzywił się, ale chociaż patrzył na nich z pogardą na ustach, ręka trzymająca kubek z węgrzynem zdrząła.

– Nie no, mości panie Czarnocki – rzekł nieco rozedrganym głosem. – Kogoście mi tu przyprowadzili? Chabetę plebejską? Wczoraj dosiadał jej Kozak, rano byle kiep, a w południe dziad kalwaryjski! Miała być... miała – przez chwilę kiwał lewą ręką, jakby zabrakło mu słów – anielica z niebiańskiego zamku! A jest murwa z kurnej kleci!

– U, cha, cha! – zagrział pijany Hryćko Sącki.

– Trafny koncept! – wybelkotał siny z przepicia woźny Szumski.

Panna drgnęła i bez słowa skłoniła się. Czarnocki wyglądał na zbitego z pantałyku, a Grobicki się śmiał. Ktoś z tyłu polewał szczerze w nadstawiony kubek panicza.

– Masz, panna. – Młody chciał odstawić naczynie, nie wiedział, że mu polewano, więc zalał się trunkiem. Trzęsącą się ze złości ręką wysuptał z trzosa dwa złote dukaty i cisnął ladacznicy.

Chwyciła je szybko i tyle ją widziano.

– Hołubok po następną poszedł!

– Zaraz będzie! Tylko jej patrzeć!

– Trafny koncept!

– Kochaneńku nasz najmilszy! – Grobicki otoczył



ramieniem szyję panicza w pijackim uniesieniu. – Nie odpuścimy! Musisz zmęźnieć.

– Wina! – stękał Szumski. – Wina jeszcze!

– Nie podobała się panna Czarnockiego – zagrzemiał Grobicki – ja lepszą kazałem sprowadzić. Mołodycię jak wianek różany!

I nagle otworzyły się drzwi do izby. Stała w nich niewiasta – całkiem powabna, w węgierskiej sukni i sznurowanym staniku bez rękawów. Dumna i sama weszła między ławy, jakby szukając kogoś wzrokiem. I dopiero wtedy dostrzegła, że biesy siedziały na karkach łykaczy od dobrych dwóch dni.

Diabeł też podszeptał coś do ucha Grobickiemu.

– Oto jest! – zakrzyknął i zamachał ręką. – Chodźże tu do nas, dzierlatko! Bądź grzeczna, a nie pożałujesz.

Niewiasta natychmiast cofnęła się do drzwi. Chciała umknąć, ale Szumski zatrzasnął jej furtę przed nosem.

– Trafny koncept, he, he, co?!

– Dalejże, Adonisie – klepnął panicza po ramieniu Grobicki. – Łap łanię! Już ona twoja!

– Czekaście!

– Mówiłem – pokiwał palcem Hryćko Sącki – nic z niego nie będzie. Bo ty, przyjacielu, nawet żeby kusiem pomachać, potrzebujesz pozwolenia matki! Na piśmie, z pieczęcią! Idź, wracaj do Uścia, niech ci obetrze łezki, smarku jeden.

– Waść się odczep od pani matki! – zakrzyknął panicz i zerwał się zza stołu.

– To pokaż, jaki z ciebie rycerz!

Młody szlachcic zacisnął szczęki, przymknął oczy. Zebrał się w sobie i złamał strach. Skoczył ku niewieście, która szamotała się z Szumskim.

– Murwo, amorato! Gamratko diabelska! – zakrzyknął. – Kładź się, bo ja... kniaź, ci każe!

– A my ci w tym pomożemy! – rzekł Grobicki. – Przytrzymamy!

– Stójcie! Tylu waszmościów do jednej damy?!

2.

– To koniec. Rozstajemy się – powiedział Zborowski.

– Jednak się nie rozmyśliłeś – mruknął Hunia. – Panna Olecka stanie się panią Zborowską. Gdyby każda córka łyczka łąpała szlachcica, mielibyście w Koronie rycerstwo szewczyków i pachciarzy. Poczęte z biernatów i zamsików, a nie z ziemi i roli.

– Dałbym ci w gębę, Hunia, gdyby nie to, że śpieszę się na ślub.

– Służę uprzejmie – Kozak nadstawił poczerniałą, porośniętą twardą szczecina gębę – aby mocno, bo jeszcze dowiedzą się panowie szlachta, że Zborowskiemu przed miodną nocą braknie potencji.

– Krystyna nigdy was nie lubiła, Hunia. Dlatego zwalnam ze służby. I tyle. Macie. – Zborowski cisnął Huni pękaty trzos. Kozak chwycił go w locie i nawet nie obmacując, odrzucił do Bohusza. Ten oczywiście nie spostrzegł zagrożenia, dostał trzosem w gębę, omal nie spadł z kulbaki. Zaraz jednak się wyprostował i dał nura pod konia, aby wyłowić sakiewkę pełną złotej esencji, która zniżała głowy, pozyskiwała szable i otwierała nawet najciaśniej zawarte wrota.

– Idźcie, gdzie chcecie, i róbcie, co wam sumienie nakaże! – ciągnął Zborowski. – Ty, Bohusz, nie kradnij, a ty, Hunia, nie zabijaj. Przynajmniej bez powodu.

– Jakże to tak? – stęknął Bohusz, ściągając ze łba baranią czapkę. – Wasza miłość odchodzi?

– Raczej wracam. Do zwykłego, pocziwego życia.

– Za mało! – Bohusz wytrząsł przy uchu sakiewkę i skrzywił się. – Dwieście talarów obiecaliście, jakże to tak?

– Bierz, co tam jest, bo więcej nie mam. Rynsztunek i konie możecie zatrzymać. Nie będę po was płakał, ani wy po mnie.

Hunia uniósł bukłak z winem, uśmiechnął się jadowicie.

– Wypijemy rozchodnego?

– Niech będzie!

Samuel chwycił naczynie, odetkał, wydudlił prawie połowę, oddał resztę słudze, który z uśmiechem podał bukłak Bohuszowi.

Zborowski ruszył traktem na Dubiecko. Nie odwrócił głowy, nawet kiedy usłyszał tętent kopyt. Dogonił go Hunia, podjechał tak blisko, że gorący oddech Bohinia owiał plecy szlachcica. Kozak zatrzymał się strzemień w strzemień.

– Skoro uwalniasz ze służby, mości Zborowski, zwolnij też od danego słowa. Tego, co było u Boha i bez niego nic się nie stało.

Samuel milczał.

– Dałem je w złej godzinie i przez całe lata przeklinałem służbę. Ale skoro mnie odprowadzasz, pane, rzeknij, że ono nie obowiązuje.

– Zabiłbyś mnie, gdybym to zrobił.

Kozak zarżał niczym młody żrebak.

– Hreszysz – mruknął. – Co to za wolność. Idź ze służby, ale... na łańcuchu.

– Ja woli nie zmienię.

– Przecież odsłużyłem całe lata. To wystarczy.

– Nie.

– Jak to nie?

– Bywaj z Panem Bogiem! – Zborowski trącił Pioruna ostrogami i poszedł gościńcem, skokiem; nie za szybko, ot tak, aby poczuć pod sobą rozkołysanego konia.

Hunia nie gonił pana.

Samuel zwolnił, gdy zjechał z góry na przeprawę przez San, za którym widać było Dubiecko – sygnaturkę, stromy dach i świeżo dobudowaną dzwonnice kościoła pod wezwaniem Podniesienia Krzyża Świętego, a bardziej w prawo zarysy bastei kryjącej zamek Krasickich i będącą właśnie w rozbiórce świątynię Świętych Mikołaja, Stanisława i Marcina.

Zborowski przejechał wolno rzekę, którą teraz, gdy panowały letnie gorąca, można było przejść bosą nogą po kamieniach, wjechał na wzniesienie i wreszcie zjawił się w mieście. Wjechał na obszerny rynek, wokół którego rozsiadły się szeroko – niczym przekupki – rozłożyste domy z ocienionymi sobotami.

Przebijał się przez targ, splątane kłębowisko kolas i chłopskich wasągów – kierował się do tego jednego jedyne go domu na południowej pierzei rynku, z którego ogrodu rozpościerał się widok na góry za rzeką płynącą obok miasta i wyniosłe Grodzisko.

Zdumiał się, kiedy zobaczył przed domostwem Krystyny kolasę i brodatego sługę, który skłonił się nisko. Zborowski przerzucił wodze Pioruna przez drewnianą barierkę i popędził do środka. Drzwi były otwarte. Wpadł

do sieni, z niej do komnaty i stanął w progu, zdyszany, ściągając czapkę z podgolonego łba.

W izbie był jego teść: beznogi Ambroży, medyk z miasteczka. Zakonnica w habitie benedyktynek i Krystyna. Ta jednak nie wstała na widok Zborowskiego; siedziała na zydlu, spoglądając w ścianę, na której wymalowano święty krzyż na szczycie stromej góry.

– Co się dzieje?! – zapytał, bo nastrój daleki był od sielanki. I wtedy Ambroży obrócił ku niemu poorane bruzdami oblicze. Dwie łzy staczały się po policzkach.

– Krystyna... – jęknął. – Waść wojażowałaś, a ona...

Samuel przemierzył komnatę, brzęcząc ostrogami, stanął przed ukochaną, ale ta nawet nie spoglądała na niego. Chciał wziąć ją w ramiona, ale się nie poruszyła, nie mógł – a raczej nie chciał podnosić jej siłą.

– Krystyna... Serce moje, co się dzieje?

Zakonnica była równie milcząca jak jego narieczona. Ojciec trząśł się od płaczu. Nadaremnie Zborowski zaglądał im w oblicza. Wreszcie Ambroży ujął go za rękę rozdygotaną dłonią.

– Proszę, panie zięciu, idźmy do sieni.

Niechętnie wyszedł, a za drzwiami stary załamał rękę, rozszlochał się, rozdygotał.

– Nieszczęście, mospanie! Tragedia! Ja sam nie mogę wierzyć.

– Ale co, do diabła, się stało?

– Posiedli ją gwałtem, pohańbili. U Bogusza... W karczmie. Popelnili usilstwo... Łotry, nikczemnicy... Moje biedne dziecko.

– Kto i kiedy?!

– Dziś rano.

– Pytam się: kto?

– Nie chce powiedzieć. – Stary przeżegnał się. I płakał. Zborowski wrócił do izby, ujął Krystynę za rękę, przymknął oczy.

– Zostawcie nas samych. Proszę...

Powiedział to takim tonem, że Ambroży nawet nie wychylił się z sieni. Zakonnica chwyciła modlitewnik i nie przerywając odmawiania różańca, ruszyła do drzwi. Samuel zamknął je z trzaskiem.

A potem ukląkł przy Krystynie.

– Moja umiłowana – wyszeptał – nie bój się, nic to nie zmienia między nami. Skrzywdzili cię, ale ja... – umilkł, jakby nie znajdował słów na to, co chciał przekazać. – Ślubuję, że uczynię wszystko, aby wymierzyć sprawiedliwość. Zabiję tego kurwego syna jak psa. Rzeknij mi tylko: kto to?

– Dajcie mi spokój! – krzyknęła Krystyna. Odrzuciła krzyżyk, który trzymała w rękę, zerwała się, strąciła z ramienia rękę Zborowskiego. Podbiegła do okna, zatrzymała się i ukryła oblicze w dłoniach. Dygotała i płakała, kiedy narzeczony objął ją z tyłu, gładził po ramionach, po włosach. Nagle chwyciła jego rękę i zatrzymała.

– Odejdź! Zostaw mnie!

– Krystyno – rzekł z bólem – ja muszę wiedzieć, kto to zrobił.

– Co ci po jego imieniu? Czy to coś odmieni?!

– Właśnie tak, nie odmieni niczego. Miłuję cię sercem i duszą, mój świetle księżycu. I dlatego obiecuję, że nie puszcze płazem zniewagi.

– To, co uczynił, zrobił tylko mnie.

– Czuję twój ból i jednam się z nim. – Powoli ujął Krystynę za ramiona i odwrócił. – Będziemy brać ślub,

ale... Skaza na moim honorze! Na Boga! Powiedz, błagam.

– Na twoim?! Czy się aby nie przestyszałam? Czy nie pohańbił przede wszystkim mnie?!

– Pohańbił moją żonę, a to nie może ująć bezkarnie. Muszę wiedzieć, kto to.

– Ciągłe go widzę. Czuję jego smród. Pił wino, tak samo jak ty! Tak samo był wstrętny. Odejdź!

– Jeśli nie możesz mówić, napisz.

Przymknęła oczy, rozgorączkowana, rozdygotana. Czekał na słowo, które miało odmienić cały świat.

– Miron Mohyła... gospodarski syn Domny Elżbiety... kniaziewicz z Uścia. A teraz zostaw mnie w spokoju. Słyszysz?! – krzyczała, nie pozwalając się dotknąć.

Na jej krzyk Ambroży i zakonnica załomotali do drzwi z taką siłą, że Zborowski bał się, iż rozwalą zasuwę.

Krystyna trzęsła się od spazmów, więc otworzył przejście. Zakonnica wparowała do komnaty jak duch, ojciec stanął w progu.

Siostrzyczka doskoczyła do narzeczonej. Zaczęła coś do niej szeptać. Krystyna płakała, coraz ciszej, milkła jak słowik w zimną noc, a Zborowski aż się zatoczył na ścianę.

– Opiekujcie się nią najlepiej jak się da – poprosił.

– A wy, panie zięciu? – zapytał stary. – Co chcecie...

– Wezwijcie woźnego i babę z grodu, niechaj obejrzą Krystynę i spiszą relację – mruknął Zborowski. – Resztę załatwię sam. Bądźcie z nią dzień i noc. Módl się za spokój jej duszy, siostró. Zapłacę ci dobrze, kiedy wrócę.

– A ty?

– Ja jadę.

– Co chcesz uczynić? Dokąd jechać?

- Po sprawiedliwość.
- Trzeba do sądów – wybąkał Ambroży. – Do ratusza, do grodu.
- Samuelu – to przemówiła Krystyna – Samuelu...
- Tak, miła?
- Zostań.
- Wrócę na ślub. Czyńcie przygotowania.

Wszedł do sieni i już chciał odejść, ale zawrócił na pięcie.

– Nie jesteś zbrukana – rzekł ponuro. – Biorę to wszystko na siebie. Zmyję mą hańbę krwią i nie będę zważał na ludzkie gadanie.

– Dokąd?! – zakrzyknął ojciec. – Dokąd chcesz iść? Szalona głowo, to trzeba sądu...

– Sam będę sądem – warknął Zborowski. – A jeśli trzeba, nawet katem.

### 3.

Z trudem wytoczyli się za próg karczmy na Hucisku, upojeni winem jak bąki. Na czele kniaź Miron, za nim kompania przypochlebców; w ciągu ostatnich dni znacznie ulżyli brzęczącej kabzie gospodarzyka. Wisieli nad nim jak cień, otaczali niby sępy.

– Jegomość, hej, jegomość – zagadał młody Marcinek, holując pijanego Mohylę przez błoto. – Czas wracać, pora późna, jejmość kniahini gospodarowa na was czeka!

– Przynajmniej wraca jako mężczyzna! – zahuczał Sącki.



– Noc zapada, a na traktach beskidnicy – mamrotał młody sługa.

– Furda mi beskidnicy! Na psa urok, tołhaje! – wykrztusił z trudem Grobicki, przeciągając po pijacku słowa. – Przecie my wszyscy do krwi ostatniej bronić kniazika... Własną pierś przed wrogiem zastawim.

Rozerwał żupicę, aż pagwiczki trysnęły na boki, wpadł na Mirona, a Szumski odepchnął go z całej siły.

– Będziemy bronić hospodara... prawego syna... mołdawskiej ziemi. – Czarnocki zatoczył się, o mało nie upadł; podparł się dobytą z pochwy szablą, wbijając ją w kupę końskiego łajna.

Wykorzystał to Marcinek, wyrwał Mirona z łap kompanionów, pociągnął do stajni i wozowni, która w tej karczynie miała osobne wejście obok furty wiodącej do sieni.

Kompanieźkowie wtoczyli się za nimi jak beki. Marcinek okrzyknął pachołka. W stajni było ciemno, słyszeli chrzęst koni żujących owies. W półmroku miauczał kot.

Zawieszona na zardzewiałym haku latarnia rzucała słabe, żółtawe światło.

I właśnie spoza kręgu tego światła wyszedł ktoś, kogo Marcinek wolałby nigdy nie zobaczyć. Wysoki, smutny, jakby pokutował za wszystkie grzechy swoich przodków.

– Miron Mohyla jest tu? Pytam!

– Kniaziewicz Mohyla, ciemiego! – Czarnocki wymachiwał ugnojoną szablą, omal nie obciął ucha Mironowi. – Nasz druh i brat. Jaśnie wielmożny pan.

– Nie pytam kpa, tylko sługi!

Miron zamarł. Coś było w głosie nieznanego; coś

tak niepokojącego, że nagle wino uleciało z głowy kniazia, a raczej opadło do nóg, bo zakołysał się, skulił niepewnie.

– Ja jestem Mohyła. O co waszmości...

Nieznajomy spadł na nich niczym krogulec w stado kur. Bijąc szablą, wałąc nadziakiem z lewej dłoni. Podniósł się wrzask, krzyk, jęki. Kompani stawili słaby opór. Pierwszy Czarnocki dostał płazem po rękę, wypuścił broń z jękiem; wtedy oberwał w skroń – padł jak spróchniały dąb. Atakujący zbił nadziakiem szablę Szumskiego, odrzucił na bok; odbił pchnięcie Sąckiego, zawinał ostrzem w piorunowym młyńcu. Zafiniszował starcie, punktując krótkim cięciem z nadgarstka w sam środek czoła Hryćki. To pokazało dobitnie, że mości panowie dobrodziejowie z karczmy miłowali swego Mironka tylko do linii wyznaczonej szablą nieznajomego. Uciekli w noc, krzycząc, złorzecząc, pozostawili gospodarzyka samego z mordercą.

Miron nie zdążył nawet wyciągnąć broni. Nieznajomy chwycił go za żupan na piersiach, wyciągnął spomiędzy pokrwawionych, jęczących ciał i jak szmacianą lalkę rzucił na ścianę karczmy.

– Jestem Samuel Zborowski, poznajesz mnie?

– Syn banity. Też Samuel. Wiesz, kto ja jestem?

– Czy wiesz, co mi uczyniłeś?

– Ja nic...

– Pamiętasz niewiastę z karczmy w Dubiecku?

Miron zamarł.

– Przecież ja jej... zapłaciłem.

– Zadałeś jej gwałt. I pohańbiłeś na oczach kompanów.

– Nie było usilstwa. Ja jej dałem, jegomość... Zapłaciłem wszystko, choć się wrywała. To ona nie

chciała dukatów, a ja... Ale jeśli coś nie tak, zapłacę wam jeszcze raz. Tak jak myślałem, nie oddała wam. Zatem po sprawie.

Zborowski rąbnął Mirona w głowę rękojeścią szabli – mocno, kapturkiem. Kniaź wrzasnął, krew pociekła z rany, która wykwitła na jego rumianym, pozbawionym zarostu policzku.

– Czy ty mnie, ścierwo, bierzesz za zwodnika? Zadałeś gwałt mojej narzeczonej. Złapałem cię *in recenti*. Dysponuj się na śmierć.

– Co za narzeczonej? Jakże to... Toż to murwa była. Waszmość nie dworuj. Wiesz, kto ja jestem?!

Tym razem Zborowski rąbnął go rękojeścią w łeb, z samej góry. W kniazika jakby piorun strzelił. Opadł w dół, szorując plecami o poczerniałe dyle karczmy.

– To była moja przyszła żona. Wyjmuj szablę i skończymy rzecz jak mężczyźni.

Zborowski zwolnił uścisk i odsunął się. Stał na wprost Mirona mroczny jak diabeł, dyszący zemstą.

Mohyla nawet nie sięgnął po broń. Dygotał i osuwał się coraz niżej.

Zborowski uniósł szablę, opuścił do pchnięcia, nastawił sztych, prowadząc tylec klingi między palcami lewej dłoni, aby trafić kniazika prosto w gardło lub oko.

Usłyszał szepty, chór głosów, który przeszedł w krzyk. Krzyk Krystyny, kiedy ten młody mołdawski szczeniak dał jej suknie. Kiedy z pomocą kompanów rozwierał nogi. I wreszcie czynił całą rzecz po rakarsku, przymknawszy oczy, spocony, zdyszany. I ponaglany przez pijanych kompanów jak mokry koń do galopu.

„Zabij” – szeptał w głowie ojciec. „Zabij, śmiało”.

Krzyk nie był Krystyny. To jęczał Miron. Żelazne

ręce Zborowskiego odarły go z dumy i fantazji jak ze starej opończy.

– Mospanie, nie... Nie, proszę, błagam. Pani matka... Ona tego nie przeżyje...

Zaniósł się krzykiem, osłonił gołymi rękoma.

I może dlatego szlachcic opuścił broń. Nie było pchnięcia.

– Jesteś kupą łajna, Mołyła – rzekł Samuel. – Nawóz wypłynie ci z żywota, kiedy mistrz małodobry poigra z tobą na deskach. A potem zetnie twoją śliczną główkę i pokaże światu.

Kniaź skulił się, odetchnął, ręce miał białe i rozdygotane, sine wory pod oczami, krew na policzku.

– Jako schwytanego na gorącym uczynku odstawię cię do Przemyśla, do sądu grodzkiego. Do pana starosty Krasickiego, który jedyny kocha sprawiedliwość. Nie rządęm Polska stoi, lecz prawem i... panem Marcinem.

Miron przestał dygotać, skulił się, spuścił głowę. Lecz gdyby Zborowski zajrzał mu w oblicze, zobaczyłby tam ulgę.

4.

Przemyśl powitał ich gorącym rozpalonych kamienic; woniał wszystkimi rodzajami odorów wydzielanych przez miasto. W letnim skwarze śmierdziała fosa otaczająca miasto od południa, cuchnęły przyziemia szerokiej bramy Wodnej. Zaciągał nędzą i zastarzałym brudem tłum dziadów, szelmów i żebraków przed bramą drewnianego domostwa i kaplicy sióstr benedyktynek z

Jarosławia.

Przejechali przez most, pod którym utknęły liczne łodzie, tratwy, galary i dubasy, bo San opadł nisko, odsłaniając kamieniste mielizny. W mieście poczuli żar słońca bijący z białych murów i czerwonych dachówek. I nowy smród – zgniłej rzepy, kapusty, śledzi, końskiego i krowiego łajna – odór godzący w cześć każdego herbowego człeka, przedkładającego miecz nad kupiecki łokieć.

Przez bramę Grodzką przedostali się na wzgórze, na którym wznosił się szeroki jak okręt, biały zamek starościński ozdobiony czterema basztami; ukoronowanymi podobnie do tych z Krasiczyna, jednak o wiele mniejszymi.

Burgrabia Zygmunt Cichowski przyjął ich w kancelarii grodzkiej. Chudy i ryży, z wąską gębą, niemal przechodzącą w trójkąt pod ustami. Chociaż nie woził przed sobą pękatego kałduna, nawet w jedwabnym letnim żupanie topił się niczym wosk od gorąca buchającego przez otwarte okna.

– Nie ma starosty, mospanie – wycharczał. – Za dwa dni przybędzie, pojechał na polowanie, na diabła teraz nagonka, w taką pogodę pieczone jarzabki same spadają z nieba.

– Prezentuję Mirona Mohylę – Zborowski popchnął więźnia, który postąpił naprzód z chmurnym obliczem – pojmany *in recenti crimine*. Na gorącym uczynku, usiłstwie, które zadał mojej lubej, sławetnej... – zgryzł to słowo jak orzech – Krystynie Oleckiej z Dubiecka.

– Młoda krew – wzruszył ramionami burgrabia. – To sprawa dla podstarościego.

– Dla sądu. Dlatego oddaję go wam.

– Zawsze można... – pokiwał głową burgrabia.

Zborowski stał tak blisko, że czuł ostry zapach jego potu. Burgrabia podniósł lewą dłoń; miał w niej chustę. Przycisnął jej zmięty róg do kącika warg, gdzie wykwitwała drobna, nabiegła ropą rana. – ...poczekać z sądem. Możny kniazik, jak widzę. Krew gorąca.

– Ochłonie w lochu.

– Czy to potrzebne? – zapytał cicho Miron. – Jegomość, moja matka...

– Milcz.

– Mało miejsca. Wszystkie łoże zajęte... – Zborowski nie wiedział, czy burgrabia drwi, czy też kręci głową, szukając najłżejszego powiewu wiatru. – Stańcie lepiej w mieście do powrotu ichmości pana przemyskiego.

Zborowski rąbnął pięścią w stół.

– Ja tylko – wycharczał – chcę wedle pospolitego prawa. Którego chyba nie macie w cenie... *Fur, latro, incendiarius, viarum depopulator – ubique capiatur.* [łac. – Złodziej, rozbójnik, podpalacz, grabieżca na drogach, wszędzie będzie chwytny.]

Burgrabia się nie poruszył. Przymknął oczy, przytknął chustę do oblicza, zgniótł ją i stał błyszczący pot.

– Paneeeeeek! Sam tu!

Minęła chwila, nim z bocznych drzwi wynurzył się utykający na lewą nogę staruch.

– Wpisz ichmościów do księgi. I przyjmij w depozyt mości Mirona Mohylę ze wszystkimi włościami.

– Mości burgrabio, ja wszystko wytłumaczę!

– I przynieś kwasu – wycharczał jakby nieobecny duchem Cichowski.

Zborowski zdzielił Mirona pięścią w ucho. Młodzieniec niemal padł na stół, zadygotał. Burgrabia

nawet się nie odezwał, a Samuel chwycił kniazika za ramię i popchnął za starym sługą.

– Jegomość! – jęknął Miron. – Będiesz za to odpowiadał.

– Na sądzie się spotkamy. Jednak nie u Pana. Na ratuszu!

Wyjście na dziedziniec było jak przestąpienie wrót piekła. Kulawy klucznik powiodł ich do bocznych drzwi; długo szukał klucza, wreszcie wyciągnął jeden, obejrzał z głupowatą miną, popluł na żelazne ząbki, wsadził w zamek, przekręcił. Ucho zrobiło pół obrotu i zamarło.

– Gamraćka mać.

Zborowski wyciągnął pomocną dłoń, ale drzwi puściły. Weszli schodami na wyprażoną słońcem galerię przy murze. Wąska furta prowadziła do wieży. A na drewnianych schodach czekała na nich przygoda. Pod butem Zborowskiego drewniany stopień pękł z trzaskiem. Szlachcic wyciągnął nogę, zaklął.

– Stary, stary! – pokiwał głową Panek. – Odnowić trzeba.

Załomotał pięścią w okutą żelazem, spróchniałą furkę.

– Czeczotka! – zakrzyknął. – Gdzie cię poniosło, gamoniu?!

Stary bił gołą dłonią w deski, aż sypało się próchno. Rozglądał się, mrużył oczy oślepione blaskiem słońca odbitym od pobielanych ścian wieży.

– Kto tu pilnuje więźniów? – zapytał Zborowski.

– Toż mówię: Czeczotka. Szelma, wor, pewnie pije!

Samuel nie spuszczał oczu z kniazika. Miron zhardział, bo wyprostował się, miał zagadkowe oblicze. Myślał o ucieczce? Zborowski rozszarpałby go wtedy na

kawałki, a te kawałki na jeszcze mniejsze części, aby tylko wydobyć z nich pożegnalny skowyt duszy Mohyły.

Na wołanie Panka przybiegło aż trzech pachołków.

O dziwo, dość młodych i rześkich. Jeden z nich – czarniawy, zarośnięty pod oczy – zlustrował Zborowskiego i Mirona. Kolejny klucz i kolejny zgrzyt. Na szczęście furta ustąpiła od razu – buchnął zza niej smród jak z prywetu, w którym umarł na puchlinę stary pijanica.

Miron zadygotał, wszyscy zasłonili nosy rękawami. Nawet Zborowski, choć miał nozdrza z żelaza, a w towarzystwie Kozaków i hultajstwa przywykł do gorszych fetorów, skrzywił się. Smród bił z dolnej kondygnacji wieży, gdzie odsiadawali karę zatwardziałe szelmy i najzawziętsi krzywdziciele.

Popchnął kniazika i rzekł, wskazując kratę w podłodze, którą opuszczano w dół skazańców:

– Tam go wsadźcie, *in fundo*.

– Nie może być – rzekł głucho Panek. – Nie godzi się szlachcica, herbowego.

– Zatem rzuć mu tam postaw czerwonego sukna.

– Jeszcze nie było wyroku sądu.

– Ja tutaj jestem najwyższym sędzią. Otwieraj!

– Najwyższym może być tylko Pan Zastępów – pokręcił głową Panek.

Zborowski spojrział przez kraty, bo z dołu, z czeluści wieży, doszedł doń odgłos kaszlu. Tam, poniżej normalnego świata, byli ludzie. Widział jakichś dziadów czy żebraków, pełzających wolno po ziemi.

Zaniepokojony zerknął na jeńca. Miron, skulony od smrodu, osłaniał nos rękawem żupana. Ale tuż obok przycupnął czarniawy hajduk. Słuchał, nadstawiał uszu, a kniazik nagle wyszeptał mu coś do ucha!



Zborowski wpadł między nich, z furją rąbnął zaskoczonego hajduka na odlew, prosto w gębę, aż poczuł na rękę wilgoć, pewnie krew.

– Ani się waż! – wybełkotał. – Nawet nie piśnij.

Hajducy skoczyli na pomoc kompanowi. Zatrzymał ich świst szabli, wąskie ostrze szerpenty w rękę Zborowskiego wytyczyło niewidzialną linię między panem a chamami.

Uderzony zajęczał, trzymając się za nos. Przez palce sączyła się krew, skapywała na zakurzone dechy podłogi.

– Jeśli któryś piśnie słowo, wytnę mu parszywy język razem z głową!

– Spokój! – zakrzyknął Panek. – Spokój!

Pociągnął Zborowskiego za połę żupana, Zborowski Mirona za ramię. Klucznik wepchnął ich razem na schody. Wstąpili na kolejne piętro i jeszcze na jedno. Tu Panek odemknął zasuwkę i otworzył drzwi w przepierzeniu z grubych, ale zmurszałych i pokrzywionych brusów. Ukazała się niewielka komora z zakratowanym okienkiem, zydlem i zasłanym słomą podwyższeniem.

– Tutaj będzie dobrze – mruknął Panek.

– Kto trzyma straż?!

Na czoło wystąpił czarniawy hajduk, ten sam, który dostał od Zborowskiego w gębę. Pociągnął nosem, otarł wąsy rękawem i uśmiechnął się zimno.

– Ja, wasza miłość. Jestem Czeczotka, dziesiętnik. Zadbam o wasze dobro jak o swoje. Nie bójcie się!

Zborowski poczuł się jak osaczony. Stara, sypiąca się wieża szlachecka, zmurszałe brusy izby, źli i obrażeni hajducy. Był w pułapce.

W Dubiecku czekała Krystyna. Sama ze starym ojcem.

Wybór mógł być tylko jeden.

Miron uśmiechał się, ale kiedy Samuel popchnął go w stronę drzwi, szybko wykrzywił usta.

– Zostaję tutaj. Na straży. Zamknijcie za nami drzwi.

Uśmiechy znikły z ust hajduków. Zborowski wprowadził jeńca do izby.

Kniazik siadł na jedynym zydłu, ale Samuel zepchnął go kopniakiem. Przeciągnął stołek pod drzwi i siadł na nim okrakiem, z szablą w garści – tak, by mieć na oku zarówno wejście do komnaty, jak i więźnia.

Zostali sami. Na szczęście w górnej wieży nie było ani gorąco, ani smrodliwie.

Zborowski poczuł, że jest mokry. Grube krople potu spływały na czoło spod kołpaka. Powstał zatem i zaczął rozpinać guzy, rozplątywać pas, rozpinać rapcie. Zrzucił żupan i kołpak, został w samej koszuli, z szablą.

– Jegomość, porozmawiajmy – jęknął Miron.

– Czego chcesz?

– To nie było tak, jak sądzisz. To w ogóle było inaczej. Myślałem...

– Myśl lepiej o zbawieniu.

– Byliśmy pijani. Ja się pomyliłem. Wziąłem ichmość panią za kur... tyzanę.

– To już nie ma znaczenia.

– Podpuścili mnie Czarnocki i Grobicki.

– Oni już dostali za swoje.

– Wszystko może być inaczej. Wszystko da się ułożyć. Jegomość, bój się Boga, nie chcesz mnie chyba przed sąd? Będzie nieszczęście, jak dowie się ichmość pani matka...

– Będzie nieszczęście. Sam się tego boję – kiwnął

głową Zborowski.

– To co, jegomość, dogadamy się?

– Klnę się na tego samego Boga, do którego się modlisz, aby cię natchnął i abyś był mężczyzną. Do diabła, zadałeś gwałt mojej przyszłej żonie i tym samym pohańbiłeś mnie jako szlachcica! Myślisz, że zapłacisz za to jak za jakąś starą kobyłę? Nie masz szczęścia, chłopaku, bo ja nie jestem psem, łyczkiem czy chłopem. Ja jestem Zborowski. Wiesz, kim był mój ojciec?

– Słyszałem...

– Stary Samuel nie bał się ani diabła, ani Boga, ani Zamoyskiego. A ja nie lękam się twojej matki.

– Odpuść mi, proszę. Ona tego nie przeżyje.

– To pewne, że przykro będzie oglądać syna na szafocie.

– Oni wszystko... Szydzili ze mnie, rozumiesz, mości panie Zborowski... Mówili, że ja... z żadną. Że wszystko matka... Zrozum!

– Stuł głowę, bo ci ją zamknę. Tą brechą. – Zborowski trącił nogą rozwaloną deskę leżącą na podłodze.

Młodzieniec umilkł. Samuel przymknął oczy. Ale nie na długo.

Nagle hajduk załomotał we drzwi. Bił i stukał, aż echo odzywało się w wieży.

– Przyjechali! – krzyczał wystraszony. – Proszę na słowo, na progu. I na spokojnie. Znaczy rozmówić się chcą.

A potem, kiedy wykrzyknął, kto przyjechał, Zborowski drgnął, bo prędzej spodziewałby się samej śmierci.

Tym, co go poruszyło, nie była kniahini. Znaczy – wdowa też była. Ale w doborowym towarzystwie.

Przyjechali Dydyńscy.

Czczotka wykrzykiwał to nazwisko długo i z całych sił, jakby na złość Samuelowi.

5.

Kiedy przed domem załomotały kopyta, poderwała głowę jak spłoszony ptak.

– Przyjechał – wyszeptał Ambroży. – Wrócił. Wszystko będzie dobrze.

Narzuciła na głowę ciemną chustę, jak niewiasta na targu. Otulona wyszła do sieni, powoli otworzyła drzwi na rynek...

Nadzieja runęła w pustkę. Nie było Zborowskiego. Zobaczyła najpierw dwa błyszczące od potu koniki wypasione na klasztorным owsie. Potem kolasę i brodatego chłopka w szarej świcie, który podawał rękę wychodzącej z wozu siostrze Małgorzacie. Zakonnica uśmiechnęła się szeroko.

A wtedy panna Olecka poczuła, że ziemia otwiera się pod nią po raz drugi.

Zborowski nie wracał.

6.

Przybyły ogary i wilczyca. Czekali na przygródku, przed bramą. Wszelaki ruch ustawał wokół nich. Brodaty stelmach tak się zagapił najeźdźców, że wypuścił z rąk koło, na którym kowal zakuwał żelazną obręcz. Kowal omal nie spuścił mu młota na rękę. Szare chłopki w

siermięgach, którzy przywieźli na zamek wory ze zbożem, przestali je nosić, a chudy starościński podpisek – zaprzestał ich rachowania.

Dydyńscy stanęli kupą. Wszyscy zbrojni i konni. W kolczugach, żelaznych pelerynkach i bechterach. W karwaszach. Jacek – w adamaszkowym żupanie i wilczej czapce, na dzielnej siwej, czarnookiej polskiej klaczy. Młodszy – Przeclaw – na srokatym turku. Największy – Mikołaj – na gniadym wałachu, Zygmunt na polskim koniu zdobionym sutym, złotolitym rzędem. Nie było nigdzie najmłodszego – Łukasza. W zamian za to za plecami Jacka czekało trzech pacholków z bandoletami i z tak srogimi minami, jakby poczęto ich w łonie matki za sprawą samego Marsa.

Ale nie Dydyńscy zajmowali uwagę pana Zborowskiego. Za bramą stał duży brożek z czwórką mokrych karych koni. Po schodkach schodziła matrona w staromodnej hiszpańskiej sukni, podwice i okrągłym czepcu, który wisiał nad jej głową niby męczeńska korona.

Domna Elżbieta Mohyła, wdowa po nieboszczyku Mohyle, gospodarze multańskim, z domu Csomortany de Losoncz, dobrego węgierskiego rodu, którego bogactwo dorównywało chyba tylko okrucieństwu.

Dydyński zamachał do Zborowskiego, ledwie ten pojawił się na murze koło bramy.

– Panie Samuelu, chodź, waszmość, pogadać. Nie będziemy zdzierać gardeł.

– Masz waść sprawę, to sam tu przyjdź!

– Żeby z waszmością dzielić celę? Jestem tu w księgach zapisany, złymi słowami. To by był gwałt na urządzie starościńskim, sroga *crimen* i jeszcze gorsza *poena*. – Dydyński złożył dwa palce prawej ręki, uniósł je

w górę i wyrecytował: – Wszystkich tu obecnych biorę na świadki, że na czas naszej rozmowy urodzonego pana Zborowskiego nie spotka żadna krzywda. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Trójca. Mospanie, chodź do nas. Przyjechaliśmy porozmawiać, a nie zamordować cię jak Moskale.

Zborowski odłożył szablę z rapciami i zszedł na dół. Położył dłoń na ramieniu starego wrotnego, kazał otwierać, a potem wyszedł na piekący skwar słońca.

Dydyński szedł do niego z wyciągniętą ręką, ale Domna Elżbieta była szybsza. Wcisnęła się między nich niczym dumna wilczyca, chwyciła Zborowskiego za ramię, przytrzymała.

– Mości panie Samuelu – wydyszała gorącym i nieświeżym oddechem prosto w oblicze szlachcica – wiem wszystko, straszna rzecz się stała. Klnę się na Pana w Trójcy Świętej Jedyne, że chociaż Miron uszedł spod mojej opieki, nie ujdzie kary.

– Dlatego jest tutaj, nie na zamku w Uściu.

Zborowski wyrwał rękaw koszuli z ręki Domny Elżbiety. Chociaż miał węch odporny na smród gościńca i karczmy, od niewiasty ciągnęło nader przykrą ostrą wonią zastarzałego potu.

– Ja właśnie chciałam cię prosić, błagać jak matka, abys po chrześcijańsku poniechał zemsty. Mówiąc krótko, mości Zborowski, chcę się pojednać, zapłacę wszystko, wynagrodzę po królewsku, bylebyś nie wydawał Mirona staroście Krasickiemu. To jeszcze dziecko, nie wiedział, co czyni, zresztą podmówili go. Wszystko dlatego, że uciekł spod mej opieki.

– On już pod boską opieką, mości pani księżno.

– Jak to? Nie możesz tak... okrutnie. O panie

Zborowski, gdybyś ty wiedział, co ja przesłałam. Bądź pewny, że boleję razem z tobą.

– Bolej raczej nad losem panny Krystyny – rzekł głucho. – Lecz choćby nawet ona wybaczyła, ja nie mogę jako polonus i nobilis.

– Na Boga żywego, nie pogrążaj syna! Czy ty wiesz, co to serce matki?! Patrz – wzięła z rąk sługi mały złoty chrest – to od jego ojca hospodara, dał mu to w dniu narodzin syna. Weź, weź go, mospanie...

Zborowski rozłożył ręce szerokim, pustym gestem.

– To są zabawki... Jego dziecinne. Szabla. – Wciskała mu w dłoń małą węgierską szerpentykę. – Serce mi krwawi, pęknie, mości panie Samuelu.

Zborowski wyciągnął dziecinną szabelkę z pochwy. Machnął nią ze świstem, trafiając w otwartą lewą dłoń.

– On ma dopiero siedemnaście wiosen.

– Zatem od roku jest mężczyzną. A każdy mąż musi stawić czoła własnym czynom.

– Panie Zborowski, czy mam ci paść do nóg?

– Padnijcie do nóg sądu grodzkiego, mości pani księżno. Może okaże miłosierdzie.

– Co ci po głowie mego syna?!

– Tu jest Rzeczpospolita, nie Multany, gdzie byle kniazik swadźbi wołoskie poddanki wedle swojej parszywej woli. Tu jest sprawiedliwość. A przynajmniej ja w nią wierzę!

– Panie Samuelu, wszystko wynagrodzę. Wesele wyprawię, a jeśli będzie, o dziecię zadbam jak o własne.

Zborowski zakołysał się, jakby za chwilę miała zwalić się cała góra razem z zamkiem.

– Idźcie do wszystkich diabłów!

Odwrócił się, chciał odejść, ale Domna Elżbieta

znowu wczepiła się w jego ramię z siłą dorodnego chłopca.

– Panie Zborowski! Zborowskiiii! Proszę!

Wyszarpnął się z jej rąk, aż trzasnęła koszula, i ruszył do bramy. Kniahini padła na kolana, jej czerwone, zakurzone oblicze przekreślały dwie strugi łez.

– Pozwól mi zobaczyć się z synem.

– Zobaczycie się w sądzie. Jeśli pozwoli starosta.

– Zostanę zakładnikiem za Mirona!

– Poślij lepiej po popa.

Zborowski szedł.

Dydyńscy, którzy w czasie tej rozmowy posiadali z koni, postępowali za nim krok w krok. Jacek zagroził mu drogę.

– Mości Zborowski, jak nie chcesz po dobroci, to bij się ze mną. Wygrasz, będzie po twojemu. Przegrasz, uwolnisz gospodarczyka.

– Będziemy się bić, ale po wyroku.

– Stój! – krzyknął Przeclaw, przepychając się do przodu. – Stój!

– Chcecie zarębać mnie tutaj? – zapytał Zborowski.

– Wbrew słowu waszego brata? To już, tniście! – Nadstawił im dziecinną szabelkę Mirona.

– Zabijcie go! – zawyła Domna Elżbieta. – Zarębcie syna banity! Na co czekacie?!

– Stójcie, głupcy! – Dydyński zdzielił Mikołaja kułakiem w pierś. – Co tak wytrzeszczacie gały?! Podnieść księżną, pochować szable.

– Dziękuję – wyszeptał Zborowski. – Powiedz, co ty byś zrobił na moim miejscu?!

– Właśnie robię – westchnął Jacek. – Wojewoda Golski zagiął parol na naszego Łukaszka. Kazał go wsadzić na zamek w Haliczu. Będzie bieda, jeśli nie pomożemy



kniahini. Przysługa za przysługę.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj, bo moje słowo obowiązuje tylko do bramy. Idź do wieży i przemyśl wszystko, bo nie odstępimy od zamku. Miron musi być cały i zdrowy w objęciach matki. Inaczej... – westchnął i otarł pot z czoła – inaczej nie doczekasz świtu, mości panie Zborowski.

7.

– Nie wrócił, pani córko – rzekł Ambroży, kołysząc się na drewnianej nodze. – Licho wie co z nim, a pewnie w sądzie zatrzymali.

Krystyna skuliła się na ławie obitej aksamitem, wtuliła w kąt pod obrazami, z których smutno spoglądali święci pańscy.

– Powinnaś wreszcie wyjść – mruknął ze złością. – Nie tobie jednej... – Chciał coś dodać, ale tylko bezgłośnie poruszył ustami. – Na targ. Albo za miasto.

– Dajcie jej spokój – odezwała się siostra Małgorzata. – Idźcie warzyć te wasze remedia, rozbijając w móżdzierzu driakwie i zioła. A niebogę zostawcie w spokoju.

Ambroży westchnął, przeżegnał się.

– Tak i pójdę. Czekają na mnie, rady chcą. Wojtasek z Przedmieścia na morzenie, parcie i krztuszenie, a Hryć Kierdas na boleści w boku. Jemu już Parki tną nić życia, a Pan nazaczył godzinę.

– Idź, idź, stary, tylko córce w głowie mieszasz.

Wyszedł. Krystyna siedziała jak posąg, wpatrując

się w przestrzeń.

– Pytasz o oblubieńca – wyszeptwała zakonnica – a przecież sama nie chciałaś go widzieć.

– Nie chcę patrzeć na mężczyzn, siostrzo. Przypominają mi o tamtym.

– Już ty w każdym chłopie będziesz widzieć kniazika. Jedyny, na którego lica wejrzysz, to Jezus Chrystus i Ojciec Niebieski.

– Pan Zborowski wróci.

– Nie tak prędko, córuchno moja. Pojechał na sąd. A tam różnie może być. Niezbadane są wyroki Opatrzności, jak niezgłębione szelmostwa chłopów.

– Co też mówicie?

– Mozyła może ujść kary, bo nie gniewaj się, córko, ale kto ty jesteś, uboga mieszczanica, a on hospodarski syn. Powie, żeś sama chciała, i jeszcze ciebie ukarzą.

– Co wy opowiadacie!?! – Krystyna zadygotała. – Jeśli ucieknie sprawiedliwości, nie ujdzie szabli mego Samuela. Tego jednego jestem bardziej pewna niż Sądu Ostatecznego.

– Może tak, może nie. Co jednak uczynisz, kiedy wróci?

– Będę go miłowała całym sercem, tak jak przedtem. Małgorzata objęła ją za głowę, utuliła jak dziecko.

– Biedne ty moje niebożę – wyszeptwała. – Myślisz, że będzie chciał pohańbioną? Pan z wielkiego rodu, szlachcic? A co, jeśli po latach przypomni sobie, co było? Znam ja mężczyzn gorzej niż złe szelągi. Wiem, co się dzieje nie miesiąc, ale lata po zaślubinach. Jak nagle brzydnie im niewiasta, jak szukają w niej wad. Wypominają wszystkie błahostki i błędy. A co, jeśli kiedyś zaczną widzieć w tobie nie koronę głowy, ale zwykłą

przechodkę? I karać za to, czemu nie byłaś winna?

– Nigdy tego nie zrobi!

– Powinnaś o tym pamiętać. Bo może – zakonnica prawie przytknęła usta do ucha Krystyny; niepostrzeżenie jej ręka przemknęła wzdłuż okrytych chustą pleców panny – powinnaś po tym wszystkim oddać się na służbę Bogu. Jako służebnica pańska w naszym klasztorze.

Z oczu Krystyny potoczyły się łzy.

– Zadbałabym o ciebie jak o źrenicę oka Pana – wyszeptwała Małgorzata, gładząc lica Krystyny. – Jestem w łaskach u sióstr, bez trudu miałabyś obłóczyny, potem złożyłabyś profesję. Byłybyśmy tylko my dwie. Wierne oblubienice Pana.

Pocałowała pannę Olecką, zbierając łzy z jej oblicza ustami.

8.

– Kazałem zamknąć bramę, podwoić strażę – wyliczał Panek.

– Ilu hajduków pilnuje wieży?

– Znaczy... dwóch.

– Bramy?

– Jest wrotny.

– Ten dziad?

– W razie czego sam stanę na straży.

– Co z resztą zamkowych ludzi?

– Czeczotka i Uhlik obchodzą mury.

– Zatem będzie nas pilnować góra sześciu ludzi?

Mało!

– Waszmość panie, nie szykujemy się do obrony przed Ordą.

– Dydyński zapowiedział, że odbije młodego Mohyłę. Jeśli ktoś kłamie, to na pewno nie on.

– Wasza mość zapomina, że to nie jest folwark ani byle wychodek. To zamek przemyski, urząd starościński, żaden paliwoda i warchoł, choćby nawet z Niewistki, nie porwie się na te mury! Boby przypłacił to srogim karaniem.

– Ten zamek jest równie bezpieczny, co kurnik. Wali się w gruzy, zwłaszcza wieża szlachecka.

– Ależ go broni sama powaga miejsca...

– Prowadźcie do burgrabiego!

– Jego miłość wyjechał.

– Dokąd?

– A... Do Medyki. Doglądać folwarku.

Zborowski zamilkł. No to koniec. Czuł, jak prawa ręka zaczyna dygotać mu coraz szybciej i mocniej. Zaciśnął dłoń w pięść, objął drugą ręką.

– Przynieście do wieży wieczerzę. Zapłacę.

Panek skinął głową. Zborowski otworzył drzwi celi. Miron nie modlił się ani nie żałował za grzechy. Gdy szlachcic wchodził, oderwał się od okienka, cofnął w panice aż pod ścianę, jak żak przyłapany na robieniu żartów z preceptora.

– Jegomość, czekają tam na ciebie.

Zborowski wyrzął przez okienko. Zobaczył opadające w dół zbocze góry, na którym wiła się droga do bramy Grodzkiej. Na ścieżce stali Dydyńscy razem z czeladzią. Jeden z pocztowych objeżdżał ich, coś mówił, a może przyjmował rozkazy, bo nagle puścił się galopem wzdłuż góry, zwolnił i zjeżdżał ostrożnie w dół, mijając zamek.

– Ty sam, a Dydyńskich ośmiu. Z czeladzią pani matki będzie do dwudziestu ludzi.

– I co?

– Nie wypuścisz mnie? – zapytał hardo Miron. – Nie musimy kończyć zwadą.

– To, co zacząłeś gwałtem, przypieczętujesz własną krwią.

– Myślisz, że wygrasz?

– Jestem pewien, że stracisz gardło.

– Akurat. Nie znasz pani matki.

– Zobaczę, czy będziesz taki hardy na sądzie.

– Sąd mnie uwolni.

– Niby dlaczego?

– Bo jestem *dux* [Łac. - książę.] mołdawski, syn Mohyły, o którym wie cała Rzeczpospolita. Za mną staną krewni: Wiśniowieccy, Koreccy i Potocki. A za tobą kto?

– Milcz.

– A wiesz, dlaczego sąd mnie uwolni? Bo to była dziewczka, nie panna. Nie ja zerwałem jej wianek... Niejednego już miała. Sama skusiła do grzechu. Zatem...

Aż pisnął, kiedy dopadł go Zborowski. Z rozmachu, jednym ruchem rąbnął kniazika pięścią w żywot, zginając w pół. Poprawił w gębę, aż trysnęła krew.

Miron wył, z pobitą gębą wił się na podłodze. Zborowski kopnął go raz, drugi, trzeci, aż tamten zwinął się w kłębek. Od jego wrzasku puchły uszy.

Trzask drzwi – wpadli hajducy z Czeczotką. Chwycili Zborowskiego, odciągnęli.

– Spokój, do diabłego syna! – ryczał dziesiętnik. – Waszmość opamiętaj się, bo cię wsadzę! Na sam dół pójdziesz!

– Ty mnie?! Pachołku, kurwi synu! – zagrzemiał

Zborowski. – Ja ciebie w gębę wytnę, szelmo! Ty mnie...  
Za co?!

– Milcz, waszmość. Bo wyrzucimy z wieży – rzekł stary i gruby hajduk. – Nie będzie tu takich ekscesów.

Samuel oklapł, zwiśł w ramionach sług.

– Nie będzie – rzekł przez zaciśnięte zęby. – On musi dożyć do powrotu starosty. Doczekać kata, szafotu i postawu sukna pod kolanem. Puśćcie mnie.

Stał i patrzył, jak opatrywali pobitego Mirona. Czeczotka spoglądał na niego złośliwie. Inni milczeli.

A potem zostawili go sam na sam z milczącym i obolałym kniazikiem. Zapadła noc. Dydyńscy warowali wokół zamku jak charty.

9.

– Wyjdźże na świat, dziecko – gderał Ambroży. – Siedzisz tu zamknięta jak w trumnie. Bez światła, bez ludzi.

Krystyna wpatrywała się w ścianę, w turecki czerwono-żółty kilim i wiszący na jego środku obrazek Matki Boskiej.

– Potrzebuję ałunu, tranu i oliwy. Nie zawadziłoby kupić choć pół pipy. Idź, bo ja z tą nogą... – Stuknął bezradnie drewnianym kulasem o deski podłogi.

– Kiedy ludzie, tatku...

– Jacy ludzie. Co ci tam ludzie. Albo to nas nie znają?

Krystyna ukryła oblicze w dłoniach, przeciągnęła nimi po twarzy. Wreszcie wstała, podniosła ze skrzyni

chustę, narzuciła ją sobie na głowę; skulona weszła do sieni, zabrała koszyk. Długo stała przed drzwiami.

– Idź, idź. – Ambroży popchnął ją lekko i odsunął zasuwę. – A nie bój się, moja niebogo. Tu cię nikt nie skrzywdzi.

Westchnęła i przestąpiła próg. Rynek w Dubiecku zalany był słońcem, pełen gwaru, barwny i ruchliwy jak chusta na wietrze. Krystyna skuliła się, bo była pewna, że całe miasto: przekupki, dziady, woźnice od podwód, chłopci, Węgrzy, Ormianie i Werhowyńcy, kramarze i żebracy, mieszczanie i rajcy wiedzą o jej hańbie. Niepewnie weszła między ławy, na których piętrzyły się postawy szarego brzezińskiego i wrocławskiego płótna. Leżały serwety, pasy i pasamony. Przeszła obok płóciennych bud, wymijając dwóch czarniawych chłopków w kapeluszach i guńkach, sączących gorzałkę z równym spokojem, z jakim ich konie – leniwe, kościste chabety – zajadały obrok z worków. Woźnice obrzucili ją spojrzeniami, które paliły jak ogień.

– Wiedzą o mnie – wyszeptwała bezgłośnie, ale szła dalej. Minęła worki z chmielem i pieprzem, ogromne fasy pełne liści bobkowych i imbiru. Cuchnące beczki stojące przy kramach ze śledziami i węgorzami. Wtedy zniecka ugodziło ją słowo, które doprowadziło do skrajnej rozpacz.

– Ladacznica, mówię ci, mojaż miła Kokoszko – gadała jedna gruba baba do chudej straganiarki sprzedającej śmierdzące wędzone śledzie. – Gadają, że sama zwodziła! Tylu chłopca...

Uciekała, przyśpieszyła kroku, nie patrząc, gdzie i dokąd. Potrafiła sprzedawcę garnków, wpadła na koszykarza, zgiętego pod ciężarem koszy przywiązanych

rzemieniami na plecach. Korce i korczyki potoczyły się po ziemi.

– Panna! Oj, panna! – zakrzyknął groźnie chłopiec o ciemnych, prawie zrosniętych brwiach i nagle jakby przejrzał na oczy. – A, to wy, panna Olecka. A może... pani!

Wnet wokół wszczął się ruch i rwetes.

– To ona, kumy, patrzajcie! – pisnęła chuda jak pogrzebacz baba zgięta pod ciężarem kosza z rzepą. – Jak to się pcha, wszetecznic!

Krystyna uciekła; wpadła w tłum, potracając wąsatego mieszczanina w giermaku i magierce, wybijając kufle z rąk parobka w siermiedze i niemal obalając dostojnego starca w czamarze, który z zajadłą zaciekłością klócił się z kupcem bławatnym o sztukę atlasu. Teraz wytrzeszczył na nią oczy, a w tyle rozlegały się krzyki, wyzwiska. Z jego ust poczuła woń wina... Jak od kniazika! O Boże!

Dwóch miejskich uliczników, bosych, z kołtunowymi łbami, pędziło za nią, dmąc w dłonie złożone jak trąbki.

– Przeskoczka! Przeskoczka idzie! – krzyczał piskliwie starszy. – Co przeskoczyła szóste przykazanie!

Krystyna uciekła do podsieni, zakrywając oblicze rąbkiem chusty. Słyszała za sobą śmiech i gwizdy, krzyki pełne złości. Rozdygotana, szlochająca, odszukała drzwi do rodzinnego domu, otworzyła je, wpadła do sieni, zaryglowała wrota za sobą jak przed nadchodzącymi Tatarami, oparła się plecami o deski obite żelazem i... rozplakała.

– Samuelu! – zawołała rozpaczliwie. – Samuelu!

Z izby doszedł odgłos kroków. To była siostra Małgorzata.



– Nie wrócił – powiedziała cicho. – Nie frasuj się, Pan cię pocieszy. Chodź do mnie, moja mała pokutnico. Daj rękę i módl się.

10.

Zborowski czuwał całą noc. Dydyńscy czekali. Nie podnieśli ręki na urząd, nie próbowali wdrzeć się do zamku. Warowali przed przygródkiem jak wilki, zmieniając się kilka razy od wieczora do świtu. Mogli sobie pozwolić na luksus snu, którego Samuel nie miał dosyć.

Świt wstał mglisty, pełen gęstych oparów znad Sanu. Zborowski tarł czerwone z niewyspania oczy, ścisnął szablę, sprawdzał zamki pistoletów, które kazał przynieść do izby razem z olstrami.

Czekał.

Nie trwało długo, kiedy Czeczotka załomotał w drzwi i okrzyknął kniahinię. Samuel zakazał wpuszczać ją do wieży. Domna Elżbieta czekała zatem przed bramą – tym razem w siodle, na karym polskim wierzchowcu, którego wodze dzierżył stary sługa z wąsiskami niczym wiehcie słomy.

– Mości panie Zborowski, miły przyjacielu nasz! – zawołała głosem bez śladu słabości. – Wysłuchaj mnie. Chcę ci przemówić do rozsądku.

– Wysłuchać zawsze mogę. Ale zdania i tak nie zmienię.

– Ile kosztuje twoje przebaczenie?

– Moje? Szkoda, że nie pytacie mej lubej.

– To ciebie zranił na honorze mój syn. Bądź

miłościwy. Bądź rozsądny. Przebacz, a odmienię twoje życie. Proś mnie, o co chcesz, w zamian za głowę Mirona.

– Mój honor nie jest do kupienia. Inaczej zwałbym się chamem, a nie Zborowskim.

Kniahini przez chwilę ważyła słowa. Lecz to, co odpowiedziała, wstrząsnęło Zborowskim jak uderzenie w głowę.

– Poświęciłeś fantazję dla ladacznicy. Dla zwykłej mieszczyki, córki łyeczka. Wielka to atencja dla potomkini aptekarza zostać panią Zborowską. Mój Samuelu, przejrzyj na oczy. Chcesz, to ci znajdę lepszą partię. Pannę z posagiem, sierotę, z kawałem ziemi. Z nazwiskiem. Niech się spotkają dwie herbowe tarcze, a nie żelazo z pachciarstwem...

Samuel milczał.

– Ta cała Olecka to ladacznica, przechodka! – wrzasnęła kniahini. – Murwa miejska. Sama za synem latała, nogi mu rozkładała! Wiesz, co ci powiem? Tak, musisz to usłyszeć, jestem dumna z Mironka. Dumna, bo nie pozwolił, aby Zborowski wziął sobie za żonę chamkę, prostaczkę, miejską dziewczkę! Co? Źle mówię, mości panie Samuelu?! Odpowiedz coś!

Samuel milczał. Nie było go na murze od długiej chwili. Słowa kniahini padały w pustkę.

11.

– Ruszaj! – krzyknął Jacek Dydziński do Przeclawa i wskoczył na kamienną podwalinę muru. Jego brat chlasnął nahajem srokatego turka, rumak poszedł rysią, ciągnąc

długaśną linę arkanu przewleczonego przez żelazną kunę do maźnic, dwanaście stóp nad ziemią. Na drugim jej końcu, w pętli biegnącej przez pierś, zwisał najstarszy z Dydyńskich. Sznur ciągnął go w górę, a Jacek zapierał się o kamienie, przebierał nogami, zdawało się, że biegnie po pionowej ścianie zamku. Tuż obok w podobny sposób windował się w górę Mikołaj.

Krótką chwilą, trzeszczenie sznura, łoskot kopyt. Dydyński był już na górze, machnął ręką do Przeclawa, który wstrzymał konia, zapał się w kulbace.

Dydyński chwycił ręką za kunę, drugą złapał się krawędzi murów, podciągnął się, podskoczył, gubiąc przy tym czapkę z rysim otokiem – i wylądował na blankach przemyskiego zamku.

– Bracie! – zakrzyknął obok Mikołaj. Wisiał pod żelaznym krukiem, nadaremnie szukając rękoma bezpiecznego oparcia. – Bracieeee!

Dydyński przyklęknął, chwycił go za rękę, stęknął, ale podciągnął w górę, podniósł – tak że Mikołaj mógł chwycić się kuny, zaprzeć o kamienie i gubiąc guzy z żupana, precisnąć między blankami.

Kiedy wstał, Jacka już nie było. Dydyński pomknął ku drzwiom do wieży, które – jak zapewniał Czeczotka – miały być tego poranka otwarte na oścież.

Stolnikowic pchnął furte, wpadł na drugie piętro, pomknął po drewnianych stopniach na wyższe, gdzie siedział kniazik Mohyla. Dopadł do przepierzenia z brusów, otworzył małe drzwiczki i...

Komnata była pusta! Ani kniazika, ani Zborowskiego! Jedyne w kątach snuły się smętnie pajęczyny.

Usłyszał sapanie Mikołaja i skoczył wyżej – na sam

szczyt szlacheckiej baszty, wydostał się na platformę otoczoną półkolistą attyką, zwieńczoną kamiennymi kulami, naszpikowaną okrągłymi strzelnicami, którą na wzór Krasiczyna ozdobił pan starosta Krasicki.

– Nie zapraszałem waści w gościnę!

Zborowski stał oparty plecami o mur, trzymał za gardło bladego ze strachu Mirona. W prawej dłoni dzierżył puffera z odwiedzionym kurkiem. Lufa dotykała podbródka gospodarczyka – skośnie, od dołu do góry. Nawet ktoś pozbawiony imaginacji mógł sobie łatwo wyobrazić, że w razie strzału kula uczyni z gęby młodego Mohyły pobojowisko po tatarskim najeździe.

– Puść kniazia – mruknął Jacek. – Jesteśmy we dwóch. Czeczotka zdradził... za darmo. Zemsta, mospanie, jest rozkoszą bogów. Hajducy są wszyscy w zamku, na śniadaniu.

– Zrobicie jeden krok, a strzelę. – Oczy Zborowskiego były puste. – A potem już mi wszystko jedno, czy mnie zrzucicie z wieży albo zarąbiecie.

Mikołaj, sapiący, błyszczący kropelkami potu na szerokim czole, precisiął się z trudem przez otwór. Widząc Mirona, uczynił jeden krok, drugi. Dydyński uderzył go po ramieniu, bo młodszy brat wyciągnął zza pasa własny pistolet.

– Nie radzę – rzekł zimno Zborowski. – Możemy się strzelać, wynik jest wątpliwy. Jeśli nawet traficie, zdołam pociągnąć za spust. Ręka mi drgnie w tył, przestrzelę gardło, będzie się męczył długo. Drgnie w przód, impet pójdzie po obliczu, kniazik przeżyje, ślepy, głuchy, bez nosa. Dostarczysz takiego kniahini, mości stolnikowicu?

– Stójcie! – wycharczał Miron. – On naprawdę strzeli. Strzeeeeeliiii!

– Z dwunastu kroków gaszę świecę – mruknął Mikołaj do brata. – Co radzisz?

Dydyński milczał, jakby zaskoczony.

– Hajducy zaraz wróca! – Mikołaj dołożył chrustu do ognia. – Prędkiej!

Miron chciał coś powiedzieć, ale Zborowski wetknął mu słowa lufą pistoletu z powrotem do gardła. Czekał.

I wtedy Dydyński niespodziewanie odrzucił szablę.

– Posłuchaj, bracie – rzekł spokojnie – idę do ciebie bez szabli. Potem powoli oddasz mi kniazia. Obaj jesteśmy bezbronni. Zabijesz, bracie, bezbronno człowieka?

– Zabiję!

– Zatem strzelaj, panie Samuelu! – zawyrokował Jacek i postąpił krok do przodu. – Pal, panie bracie, aby celnie. Tak, zabij go! – mówił, zbliżając się do Zborowskiego. – Sam bym to zrobił, gdyby mi zgwałcił żaloznicę, a co dopiero żonę. No, strzelaj! Dalejże!

Szedł i mówił, coraz szybciej, coraz mocniej, burząc krew.

– Myślisz, Samusiu, że mi zależy na tym parszywym kniaziku? Na Wołoszynku ze słomianych Jass?! Ja ciebie chcę dopaść. Tyś mi uczynił despekt, ty za to zapłacisz, choćbyś odstrzelił Mironowi pół łba!

Samuel uśmiechnął się zimno. Miron dygotał, jęczał – gdyby nie lufa pistoletu, zęby szczękałyby mu niczym kastaniety.

W przeciwieństwie do niego Dydyński śmiał się pod wąsem – wyciągnął rękę, aby ująć, a może odepchnąć Zborowskiego. Był o krok, może bliżej!

– Oddasz mi go – wydyszał – i rozstaniemy się bez krzywdy. Nie zabijesz wszak bezbronno człowieka.

Zborowski stał i myślał. I wtedy w jego głowie

odezwał się głos ojca. On mu powiedział, co czynić. Samuel posłuchał.

– Zabiję ciebie!

Oderwał puffera od szyi Mirona. Jednym szybkim ruchem przystawił go do łba stolnikowica.

– Spróbuj teraz odebrać mi jeńca. Życie za życie, mospanie!

Dydyński zamarł. Stał, jakby nie wiedząc, co począć. Samuel objął lewą ręką szyję kniazika, prawą miał wyciągniętą i naprężoną jak struna.

– Czekam responsu.

– Co mam uczynić? – stękał Mikołaj. – Bracie!? Dydyński milczał. Spoglądali sobie w oczy i nagle Samuel zorientował się, że Jacek drży.

– Dalej! – podszczywał Zborowski. – Gdzie waści fantazja?! Tylko piśniesz, a ustrzelę jak psa.

Dydyński przymknął oczy. Był blady, drżący...

A wtedy na dziedzińcu wszczął się jakiś ruch.

– Hajducy idą! – syknął Mikołaj. – Spóźniliśmy się! Jacek się nie ruszał.

Teraz uśmiechnął się Zborowski. Dydyński na długo miał zapamiętać jego wykrzywione wargi. Głos, zapach stali i nienawiści.

– On strzeli! Widzę to. – Mikołaj szarpnął brata za ramię, odciągnął do schodów. Samuel wciąż stał z wyciągniętym pufferem, szydził ze stolnikowica, śmiał się bezgłośnie.

Mikołaj wciągnął Jacka na schody i uszli.

Pod główną bramą rozległy się krzyki, nawoływania, brzęk podków, skrzypienie wrót.

Zborowski przymknął oczy.

Miron płakał. Łzy spływały po jego bladym, nieco

krostowatym, młodzieńczym i przerażonym obliczu.

12.

Dydyński rąbnął czekanem w stół, wbił ostrze w deski z hukiem, od którego miał zadrzeć w posadach cały Przemyśl, jednak spłoszyło się tylko stado kur bez przerwy włączających do gościnnych izb karczmy.

– Zabiję z kurwy syna! – ryknął. – Czegoś mnie odciągnął, już bym go miał!

– Zastrzeliliby cię z zimną krwią – mruknął spokojnie Mikołaj. – Widziałem to w jego wzroku. Ten człek jest szalony. Nie chce jednania, nie przyjmie mediacji!

Jacek chciał wyrwać czekan, ale ostrze wbiło się zbyt głęboko. Walnął zatem pięścią.

– To co robimy, brat?! – zapytał cicho Przeclaw. – Czasu jest coraz mniej.

– Mamy się porwać na zamek starościński?

– To kurnik! – warknął Jacek. – Dość kunktatorstwa. Pojedziemy tam, wysadzimy bramę petardą i zabijemy Zborowskiego jak psa.

– Aby przywieźć naszej pani trupa ukochanego syna? Samuel prędzej go zaszlachtuje, niż stanie do walki. Poza tym, brat – zaśmiał się bezgłośnie Przeclaw – gdzie masz szablę? Czyś nie zostawił jej na wieży? Jak chcesz bez niej dobywać zamku?

– Milcz! – Jacek zamierzył się pięścią na Przeclawa. – W rzyci mam kniazika i tę starą małpę!

Mikołaj chwycił go za ramię.

– Nie gadaj głupstw, braciszku. Od tej, jak mówisz, mały, zależy gardło Łukasza i nasza przyszłość.

– To co mam zrobić? Dać się skazać za gospodarczyka?

– Siłą nic nie wskóramy – mruknął Przeclaw. – Mam lepszy plan...

– Twoje plany – ryknął Dydyński – to same wyroki. I jeszcze gorsze pozwy! Do turmy z takimi planami!

– Jest jeszcze szansa, jak wyjść z tego na tarczy. O ile mnie posłuchasz, brat, przymkniesz gębę i dasz się wysławić zgodnie z zasadami gramatyki. Po polsku, nie po łacinie, której nie znasz!

– Mów, kpie!

– A więc – Przeclaw uśmiechnął się pod rzadkim wąsem – uważaj, brat, zrobimy właśnie tak...

13.

Zborowski śnił na jawie. Oto ze skrzypieniem otwierają się koślawe drzwi izby, powiew wiatru wzrusza zatechłe, rozgrzane powietrze. Oto światło rozjaśnia mroki przemyskiej wieży... Samuel słyszy... Kroki, kroki, coraz bliższe kroki.

Przebudził się niemal z krzykiem. Siedział na zydłu z nagą szablą na kolanach, niemal jak Stefan Batory pod Pskowem. Był wieczór, a Miron, zdradliwy gospodarski syn, podkradał się do drzwi, kładł rękę na klamce. Głowę miał skrytą w kapturze.

Samuel poderwał się z wrzaskiem, dopadł mrocznej postaci. Szarpnął za ramię, odciągnął od drzwi. Kaptur



spadł z głowy, odsłaniając bujne jasne włosy spływające falami do stóp Zborowskiego. Krystyna!

O Boże!

Otworzył oczy, nie wiedząc, czy to sen, czy jawa. Zapadał zmrok, cienie zaległy w kątach izby. Miron leżał na drewnianym podwyższeniu, na słomie, z ręką pod głową, i spał z uchylonymi ustami. Zborowski poczuł, że jest na pograniczu piekła i czyśćca, był tak zmęczony czuwaniem przez dwie noce, że nie odróżniał majaków od zwykłego życia.

Ile to jeszcze będzie trwać?

Kiedy zadał sobie to pytanie, usłyszał jakiś hałas na dziedzińcu. Postawił wszystko na jedną kartę i zaryzykował. Narzucił żupan, zabrał puffery i szablę. Cicho, nie budząc kniazika, wyszedł z izby, zamykając ją na zewnętrzną zasuwę. Pchnął drzwi na mury i wyrztał za próg.

Na dziedzińcu zamku, pod bramą i wieżą biskupią, stały konie, kolasy i gdańska kareta zaprzęzona w czwórkę koni. Panował gwar – hajducy w czerwono-białych żupanach i czamarach wnosili skrzynie i pakunki do komnat, rżały, przestępowały z nogi na nogę dorodne tureckie wierzchowce i śmigłe polskie konie, trzymane przez pacholęta w krasnych kubrakach.

Zborowski poczuł, że leci na skrzydłach. Starosta! Wrócił Marcin Krasicki.

Zbiegł na dół, potykając się i zataczając. Szedł, wymijając hajduków, do miejsca, gdzie stał możny i starszy pan z sumiastym wąsem. W szamerowanym złotem żupanie i ogromnej czapie z jeszcze większym trzęsieniem wetkniętej na wygolony łeb. Z czerwonawym, ogorzałym obliczem, lekko zmrużonym lewym okiem. Od razu dojrzał

niski pokłon Samuela, ujął się pod boki, kiedy szlachcic wydyszał:

– Miłościwy panie starosto, dobrodzieju...  
Czekałem...

– Niechaj twoja cierpliwość otworzy ci drogę do królestwa małżeńskiego. – Krasicki rozłożył ręce. Objął Samuela jak syna, poklepał jowialnie w policzek, potarł nos za wąsa. – Wszystko będzie dobrze, nie będziesz musiał tu warować. Nikt ci nie będzie groził, wydierał siłą więźnia. Nikt, daję słowo, nie waży się już w mej obecności cię obmawiać. Wszystko powiedział mi burgrabia. Także i o tym, jak splugawiono koronę twej głowy.

– Krystynę?

– Mąż żony głową, żona męża głową koroną. Nie patrz tak na mnie, my rządymy światem, a nami kobiety! Oby dawały nam potomstwo, jak Pan Bóg przykazał.

Starosta był w serdecznym nastroju, odwrotnie niż Zborowski. Obaj mieli za sobą nieprzespane noce, jakże jednak różne były ich humory. Kiedy Samuel pilnował więźnia jak brytan, Krasicki zdobył szturmem szaniec cnoty sławetnej pani Katarzyny, młodej i świeżej wdóweczki po lwowskim rajcy Podkotku; laurowy wieniec, który do tej pory uważany był za równie niedostępny, co góra Olimp. I równie obronny jak Kamieniec Podolski. Zborowski bił się z myślami, jak po tym wszystkim wyglądać będzie jego życie z Krystyną. Krasicki zaś: czy koszenie niebiańskiej łączki i zaplatanie bujnej grzywy Wenery narzędziem mowy, nie zaś rodowym klejnotem, nie spadnie zbyt ciężkim grzechem na jego starzejącą się głowę. A nade wszystko – czy i kiedy dowie się o tym małżonka.

– Zwalniam cię z obowiązku straży, mości panie Zborowski. Panie Franciszku, co my tam mamy na Mirona zełganego gospodarczyka i jego rodzinę? Jakies straszne chyba *crimena*, pozwy i protestacji stos, na chłopca wysoki? Czy mnie pamięć nie myli?

– Jakżeby was miała mylić – odezwał się wąsaty podstarość, na którego gębie każdy przemyski pozew wycisnął głęboką zmarszczkę, każda rumacja bliznę, banicja zaś pozostawiła obiatę w formie szczyby. – Mohyłko, gospodarzyk, taki sam szelma jak jego ojciec, co dusił gospodarstwo mołdawskie, póki go nie wygnali Turcy. Teraz jego matka, Domna Elżbieta, tak samo łupi Uście z okolicznymi wsiami. Jej żołnierz rabuje szlachtę, bierze bydło od chłopów i tym się różni od Tatara, że nie bierze ludzi w jasyr i nie pali wiosek. Teraz dojdzie jej jeszcze gwałt synalka.

– Wiem, wiem – urwał Krasicki. – Gardłowa sprawa, jawna napaść, schwytany *in recenti*. Zwołam sąd i rzucę kośćmi. Obaczymy, czy wypadną mu szóstki. Bardzo wątpię, prawda, mości Dąbrowski?

– Co komu pisane, to go nie ominie.

– Panie Dąbrowski, daję ci więźnia. Wsadź go na zamek, nie do tej starej wieży, otocz strażami, bo mury niewysokie, jeszcze nam ptaszek wyfrunie.

– Na jednej nodze, dobrodzieju.

– A waść – Krasicki nie puszczał rękawa Zborowskiego – wyśpij się wreszcie, bo upir z ciebie będzie. Śmierć z kościelnej chorągwi. Wszystkich nas ona... w tany. Ale ciebie jeszcze szkoda.

Zborowski odetchnął. Nie dlatego, że mógł wreszcie iść spać. Franciszek Dąbrowski miał odpowiadać za Mirona. Podstarość przemyski był to w respektowaniu

prawa w całości drugi tom Krasickiego.

14.

I stał się sąd.

Nadeszło prawo.

Kniahini była spokojna; czarna wdowa na sali pełnej żółci i karmazynów. Patrzyła częściej na Zborowskiego niż na syna. Samuel nie oczekiwał niczego poza nienawiścią, a jednak wdowa sama pierwsza słała mu pokłony. Szeptwała coś do syna cicho, lecz stanowczo. Wbijała go w dumę, która uszła zeń jak powietrze z przekłutego rybiego pęcherza.

Korowód osób, służby domu Mohylów. Błada, milcząca Krystyna, którą tu, na tej sali, posiedli wszyscy – gospodarczyk, palestranci, sąd grodzki, instygator, podpisek, podstarości. Zadali kolejny gwałt pytaniami, bezwzględny roztrząsaniem sprawy – kiedy? gdzie? jak to czynił i czy kompani patrzyli?

Wyszła błada jak chusta, nawet nie spojrzała na Zborowskiego. Samuel kazał wieźć ją zaraz do Dubiecka, czekać na jego przyjazd (ile jeszcze?!).

Miron trzymał się dzielnie, choć były chwile, kiedy ukrywał oblicze w dłoniach, dygotał, prawie płakał. Matka przysłała dwóch patronów; gdyby ich usta były ze srebra, a słowa ze złota, największa sala przemyskiego ratusza błyszczałaby niczym carskie wrota w cerkwi, a mysie łajna lśniłyby jak święte ikony.

Lecz w sali był ponury głaz, sarmacki Katon, pan Krasicki.

Sąd sądził: sędzia słuchał, pisarz zapisywał. Wyrok wydał starosta przemyski.

W imieniu Boga, który tego dnia zdawał się być niczym więcej niż tylko krzyżem w ręku Krasickiego.

– Woźny, otwórz drzwi! – zadekretował starosta.

Stary Damazy zatrzasnął wrota z hukiem.

– Woźny, zamknij drzwi!

Skrzyp, hurgot uchylanej furty, powiał lekki wietrzyk.

– Woźny, otwórz drzwi!

Znowu trzaśnięcie okutej żelazem furty o ościeżnicę.

Wszyscy wiedzieli, co się stanie.

– W imię Boga w Trójcy Świętej jedynego – rzekł starosta. – Dekretem sądu grodzkiego przemyskiego Mirona z Uścia Mohyle, syna Domny Elżbiety Mohylanki *de domo* Csomortany de Losoncz... za usiłstwo popełnione na osobie sławetnej Krystyny Oleckiej z Dubiecka, ja, Marcin z Krasieczyna Krasicki, starosta przemyski, bolimowski i lubomski, kasztelan lwowski, pan na Krasieczynie, skazuję na utratę gardła. Będiesz waszmość wywiedziony jutro na rynek, gdzie wedle artykułów konstytucji anno tysiąc sześćset jednaście to jest *Postępuku prawnego skróconego*, dasz gardło na czerwonym kobiercu!

Zborowski szukał wzrokiem kniahini. Nie było jej na sali. Nie widział Dydyńskich, widać przed urzędem grodzkim ciężar ich wyroków i pozwów stałby się niezmiernie uciążliwy.

– Obwiniony ma głos.

Miron nie płakał. Trzymał się prosto jak topola. Spoglądał na sąd, na ludzi, na Zborowskiego jakby z

niedowierzaniem.

– Tak szybko? – spytał głucho. – Za jedno przewinienie, w jednej chwili wszystko ma się skończyć?! Co ja uczyniłem, po co, na co?! Mości sędziowie, wybaczcie! I ty mi przebac, panie Zborowski.

Usiadł na ławie, lecz nie uronił ani jednej łzy do chwili, kiedy hajducy wyprowadzili go do kolasy, by powieźć wprost do przemyskiego zamku. Ksiądz bernardyn gładził jego młodą głowę.

Zborowski mógł wracać... do domu.

15.

Wyszła poza ciężkie, nabijane bretnalami, okute drzwi archikatedry, niosąc na barkach matczyną żalność i ból. W postrzępionej czarnej kaczce, z gołą głową obsypaną szarym popiołem. Stała przed kamiennym przedmurzem, wzniesionym dla odparcia licznych najazdów Tatarów, na wprost tłumu mieszczan, franciszkanów, karmelitów, księży, żebraków i dziadów kulających się w błocie pod starymi armatami.

Jednym ruchem zdarła z szyi sznur pereł, cisnęła szelmom. Ściągnęła dwa pierścienie – jeden z szafirem, drugi z rubinem jak orzech włoski – rzuciła je w tłum.

– Zacni i miłosierni mieszczanie przemyscy! Ludzie wszystkich obrządków i stanów. Módlcie się, błagam, za duszę mego Mirona, co będzie niewinnie ścięty na rynku! Za sprawą przechodki i diabelskiego bękarta Zborowskich!

Raz po raz sięgała do kalety i rozrzucała złoto w tłum. Deszcz ortów, szóstaków, ciężkich groszy i cienkich

szelągów spadał na głowy przybrane kapeluszami, czapkami, kapuzami i kołpakami. Na podwiki i czepce, kołpaczki i kaptury.

Szlochając tak, że kamienie miękły, wdowa ujęła czarny krzyż i zgięta w pół rozpoczęła drogę krzyżową. Z łacińskiej katedry pomimo biskupiego domu i szkoły – wprost do drewnianego kościółka Świętego Piotra u jezuitów. A potem – do Świętej Marii Magdaleny u franciszkanów, ozdobionej drewnianą dzwonnica.

I potem w miasto – korowodem, który nie miał końca – do prawosławnej katedry zwieńczonej wysoką sygnaturką nieopodal bramy Lwowskiej, ku cerkwi Świętej Trójcy i z powrotem – do kościoła parafialnego Świętego Rocha ze szpitalem. Najpierw łkająca wdowa dźwigająca krzyż, rwąca na sobie szaty, tak że już na zbiegu Lwowskiej i Grodzkiej niewiele różniło ją od szpitalnej baby.

A jednak szła otoczona szpalerem służby w bławatach, aksamitach, w karmazynowych i żółtych barwach, niewolnica pańska, żebraczka i służebnica w kondukcie, jakiego pozazdrościć mógł senator. Za nią postępowali Dydyńscy – niosący prostą dębową trumnę okrytą czerwoną kitajką – na znak przelania krwi, choć przecież Miron siedział jeszcze zdrów i cały na zamku. Z tyłu podążali słudzy, rozrzucający w tłum pieniądze, nawołujący do modłów, rozdający różańce i święte obrazki.

Przemysł huczał. Na razie jeszcze cicho.

– Sławetni mieszczanie, urodzeni i ucziwi! – krzyczał Przeclaw Dydyński na środku placu targowego. – Wstawcie się za niewinnym Mironem Mołyą!

– Bierzcie, bierzcie, dobrzy ludzie! Zaproszenia na ścięcie niewinnego. Od murwy i bękarta niesłusznie

skazanego! – Wraz z pachółkiem rozdawali jak leci druki i mokre od farby drukarskiej płachty, na których uwidoczniiony był niezdarnie wąsaty szlachcic ścinający na katowskim pieńku nieszczęsnego młodzieniaszka. Młodzieniaszek miał oblicze cherubina, przymknięte oczy i dłonie złożone do modlitwy. Aby zaś nikt nie miał wątpliwości, że ma tu miejsce gwałt na obywatelskich cnotach, polskich wolnościach i niewinnym więźniu, napis nad okrutnym szlachetką głosił:

SAMVEL ZBOROWSKI

MAŁODOBRY

Nad gospodarczykiem zaś:

MIRON INNOCENS[Łac. - niewinny]

Obok miecza katowskiego tkwiły jak wół litery:

VIOLENTIA IURIDICA [Łac. - przemoc sądowa.]

– Niewinnego będą ścinać, o zacni i sławetni mieszczanie cudnego królewskiego grodu nadsańskiego! – wołał Przeclaw, krzywiąc nazbyt czuły nos od smrodu zgniłej rzepy, brukwi i rybich głów, które wyrzucano do bram i rynsztoków. – Mironka cnotliwego, gospodarskiego syna! Przychodźcie tłumnie na plac, o zacni, przesławni, módlcie się za duszę!

– Stary Zborowski był łotr nad pospolite szelmy, warchoł ponad wywołańce! – Mikołaj Dydyński tłumaczył dwóm szlachetkom z gór zawilości polityki powiatowej i



województwie. – Ojciec ciemnił chłopów, znieważał szlachtę i nie bał się gniewu Bożego! Kalwin, szoldra bez krzty sumienia, dysy... bent diabelski! A jego syn... Co mówię, bękart, pogrobowiec, dziś ścina młodź szlachecką, a jutro na wiarę katolicką się porwie!

– Żaden tam gwałt był! – krzyczał Przeclaw, bijąc się w piersi, jak na pokucie po spowiedzi – żebym tak trupem padł na miejscu. Murwiła się Krystyna Olecka po całym Dubiecku, Rzeszowie i Sanoku, dawała, co po matce miała, że i woźnice z nią obcowali. Sama ochotnie piczę Mironowi nadstawiała, snuła na niego sieci diabelskie, a kiedy przejrzał na oczy, znalazła sobie patrona banitę, okrutnika, syna ojca ściętego pod Lubranką w Krakowie...

– Bo sami przyznajcie, waszmościowie – tokował Mikołaj Dydyński do dwóch bojarzynek z Halicza – czy ze starego Zborowskiego mógłby wyrosnąć anioł? Nie! Jeszcze większy hultaj, gwałtownik, pospolitego prawa gwałciciel... I nieprzyjaciel waszej starej błahoczystej wiary prawosławnej. Ten, co cerkwie chce waszym księżom odbierać i dawać je unitom!

– Starosta okrutnik, tyran, kat na stan mieszczański – gadał Jacek Dydyński do kupca bławatnego i dwóch mistrzów ślusarskich z Grodzkiej. – Rządzi się w Przemyślu jak w udzielnym księstwie, a to przecież królewski gród. Wolności wam odbiera, o sławetni i przezacni – cedził słowa przez zęby jak przez gęste sito, zapominając o całej swej szlacheckiej pogardzie dla łockia i dratwy. A także o tym, że ledwie w zeszłym miesiącu „wybadał” obuszkim w Sanoku dwóch miejskich łyżków, rymarza i szewca, za zbyt wysokie wedle jego mniemania ceny uzd i baczmagów. – Przyjdźcie więc jutro na kaźń i pokażcie swoje nieukontentowanie.

16.

– Waszmość pan wyjeżdżasz?

Zborowski puścił uparty popręg, który za nic nie dawał się zapiąć na ostatnią dziurkę. Podniósł wzrok. Starosta przemyski siedział na karym turku otoczony przez hajduków i sabatów. Z tyłu, z bramy zamku, wyjeżdżał paradny brożek i kolasy naładowane skrzyniami.

– Wracam do Dubiecka, do Krystyny.

– Nie zaczekasz na ścięcie?

– Nie szukałem zemsty, ale sprawiedliwości.

– Ja wracam do Krasiczyna. Trzeba pokazać się małżonce, pocieszyć, to może Bóg nam wreszcie pobłogosławi w dzieciach. Jadąc do narzeczonej, zajdź, waszmość, do mnie po drodze. Zapraszam i nalegam.

– Poważna sprawa?

– Tak ważna jak roczki grodzkie sądowe, które przyspieszyłem specjalnie dla waści.

Zatem dlatego wydałeś surowy wyrok, pomyślał Zborowski. Aby mieć we mnie sprzymierzeńca, a kto wie – może i klienta. Jest tak, jak myślałem – możni tego świata nie dają nic za darmo, zwłaszcza maluczkim.

– Przyjadę oczywiście, skoro trzeba. – Pokiwał głową. – Mości panie starosto, pozwólcie spytać...

– Słucham?

– Kto w waszym imieniu będzie obecny przy egzekucji? Jegomość pan podstarości?

– Nie, skąd. – Starosta podkreślił węża. – Nie bój nic, panie Zborowski. Zostawiam więźnia pod opieką mego

najlepszego sługi, dziesiętnika Czeczotki. On go dowiezie jutro na plac i odda w ręce kata. Co, boisz się Dydyńskich? Chyba nie ma ich w mieście.

Zborowski przymknął oczy.

– Co, co waści się stało? – zapytał starosta. – Driakwi, medykamentów? A może wina?

– Nic, dziękuję waszej miłości.

– Bywaj zdrów.

Samuel został sam na rozpalonym placu Przygródka.

– Jeden dzień – wyszeptał do Krystyny, od której dzieliło go cztery mile. – Wytrzymaj jeszcze tylko tę noc i dzień!

Obrócił się do Pioruna, rozpiął napiersień, po czym zdjął kulbakę z grzbietu konia.

17.

– Cóż ty chcesz czynić z sobą, moje drogie dziecko? – spytała Małgorzata. – Długo będziesz tak siedzieć w zamknięciu? Toż moje siostry z Jarosławia mają więcej słońca i wolności.

– Czekam na Samuela.

Ambroży pokiwał smętnie siwą głową.

– Skąd wiesz, że wróci?

Krystyna poderwała głowę jak spłoszony ptak.

– Samuel? Jak by nie wrócił... Jak możecie...

– Nie chcę ci sprawiać bólu, córko, lecz ktoś musi ci chyba rzec prawdę. Zborowski nie przyjedzie.

Tym razem poderwał się Ambroży, zamachał gwałtownie ręką.

– Et, powiedziała! – zamruczał. – Jakżeby to nie wrócić! Alboż to nie mają brać ślubu?

– Gdyby chciał zobaczyć narzeczoną, już by tu był. A kiedyby chciał brać ślub, już by dał u księdza Glińskiego na zapowiedzi.

– Nieprawda – powiedziała Krystyna. – On mnie miłuje do głębi serca, do ostatniego tchu. Dla mnie schwytał kniazika, dla mnie narażał życie w starciu z najezdnikiem Dydyńskim. Dla mnie dopilnował, aby zapadł sprawiedliwy wyrok.

– Jesteś pewna, że dla ciebie, a nie dla własnej zranionej dumy?

– Wróci.

– Moje biedne dziecko – ręka zakonnicy szukała dłoni dziewczyny, wiła się po ławie niczym wielki i śliski robak – ty nie znasz mężczyzn, nie wiesz, jak oni potrafią być podli. Jak obiecują nieszczęsnym dziewczkom złote góry, aby namówić je do grzechu, a potem odrzucić ze wzgardą, jak starą onucę! Ty też chcesz być taką onucą? Powiedz mi prawdę, maleńka?

– Nie rozumiem, do czego zmierzacie.

– Jak ty chcesz żyć tutaj po tym wszystkim, co cię spotkało? Wszyscy wiedzą, jak było, będą cię obgadywać, obmawiać. Nie schowasz się przed wzrokiem bab, przed oślizłymi językami wiejskich dzierlatek. Co z tego, że weźmiecie ślub, skoro cały czas będziesz czuła ich wzrok? A kto wie, może i twemu mężowi kiedyś przypomni się to wszystko, co z tobą uczyniono i, nie daj Bóg, nazwie cię wszetecnicą?! Co wtedy uczynisz, będziesz połykać słone łzy? Odpowiedz, córko moja, kiedy pytam.

– Zborowski nie robi czegoś takiego! – jęknęła wstrząśnięta Krystyna. – Nie on, nigdy!

– A co innego, droga siostró, ma uczynić, jak tylko czekać?! – zapytał Ambroży. – Jeśli to ma być twoje pocieszenie dla niej, to nic dodać, nic ująć: wielkie dzięki!

– Jedyne Pan Bóg zdolny jest ją pocieszyć! – wypaliła Małgorzata. – Twoje miejsce, córuchno najmilsza, jest w klasztorze, i nie mówię tego, aby cię jeszcze bardziej pograżyć, ale...

– Nie pójdę do klasztoru! – krzyknęła Krystyna. – Dręczycie mnie gorzej niż sam kniazik! Jestem przyobiecana ziemskiemu oblubieńcowi, co pewnie zrozumie Ten, który jest na niebiosach! Nie pójdę z tobą nigdzie, nie porzucę obranej drogi. Chcę dzielić życie z moim Samuelem!

– Wytykana palcami, jak zwykła gamratka?!

– Jeśli chcesz mnie dręczyć, siostró, opuść ten dom.

Ambroży podniósł wzrok, przebierał palcami, składał dłonie jak do modlitwy.

– Kraczesz jak kruk, Małgorzato! – krzyknęła Krystyna, przeobrażając się w istne wcielenie furii. – Natychmiast stąd idź, bo nie chcę cię słuchać! Wynoś się, mówię ci po raz ostatni! Mam dość twoich słów, a już nie mogę znieść dotyku i pocałunków!

Małgorzata wstała, strącając na podłogę modlitewnik, który potoczył się po wzorzystych kobiercach.

– Kto zamyka uszy na głos Boży, jest niczym drewno rzucone na opał. Niczym latorośl, co nie trwa w winnym stadzie... Szatan przemawia przez twoje usta, dziecko!

– Wyjdz!

– Krystyno! – zakrzyknął Ambroży.

– Chcesz, zatem wyjdę! – wysyczała zakonnica ze

złością. – Ale opowiem wszystko... ludziom. O twojej pysze i lubieżności. O zdradzie i wszetecznych postępkach. Niechaj gadają, niech całe Dubiecko, Dynów, Bachórzec, Krasiczyn, ba! Rzeszów i Sanok rozprawiają, żeś sama chciała Mohyły! Leciałaś do niego niczym ćma do świecy! A wianek i tak ofiarowałaś wcześniej bękartowi Zborowskiemu!

– Idź precz! – Krystyna wybuchła płaczem. – Nie dręcz mnie dłużej, szatanie!

Zakonnica przeżegnała się znakiem krzyża, splunęła i ruszyła do drzwi. Pozostawiła je otwarte, podobnie jak te w sieni. Gwar rynku rozległ się głośniejsz, osaczał ich. Skrzypiały nienasmarowane osie wozów, brzęczały miedziane kotły, dudniły beczki, łomotały w pyle podkowy.

– Krystyno – Ambroży złapał się za głowę – coś ty uczyniła? Toż ona nie da ci żyć! Nastawi przeciwko tobie księdza, wikarego, panów Krasickich z zamku! Oni wszyscy będą o tobie rozpowiadać, szeptać, obmawiać?! Dziecko moje?! Toż będzie teraz hańba i sromota! I za co, i przez co?!

– Wiem dobrze – rzekła przez łzy – ale nie bójcie się, nie będę wam przynosiła wstydu... Panie Zborowski – wyszeptwała bezgłośnie – gdzieś ty?!

18.

Zborowski wchodził właśnie do baszty szlacheckiej przemyskiego zamku. Tym razem nie pilnował jej już wiatr. Na schodach przed wrotami stali hajducy starosty.

- Panie Czeczotka, już czas.
- Wiem to ja sam, proszę waszmości.

Dziesiątnik niechętnie uchylił drzwi, okrzyknął swoich, a wtedy Zborowski zanurzył się w smrodliwą ciemność wieży. Dopiero kiedy wszedł na piętro, odetchnął pełną piersią.

Miron klęczał pod oknem, na wprost analogionu okrytego złotogłowiem, na którym ułożono Biblię Ostrogskich i ewangeliarz. Brodaty, zadumany pop wysłuchiwał jego spowiedzi, a może modlitwy, okrywając głowę Mohyły długim złocistym epitachelionem. Kiedy go ściągnął, Zborowski zmartwiało. Miron posiwał; przez tę jedną noc spędzoną na modlitwach razem z popem i małodobrym.

– Mości kniaziu, czas już – rzekł ochryple Czeczotka. – Kolasa czeka.

Miron skinął siwą głową. Nie stawiał oporu, ale nie dał się szarpać jak pies. Czeczotka zarzucił mu na ramiona aksamitną delię z mieniącymi się od złota potrzebami. Chciał dać kołpak, ale Mohyła go odtrącił. Poszedł z gołą głową.

– Masz waść, co chciałeś – rzekł do Zborowskiego. – Kończmy to wreszcie.

Zszedł na dół, wskoczył na kolasę zaprzężoną w dwa pogrzebowe woźniki – okryte czarnymi czaprakami, z pióropuszcami ciemnych strusich piór nad łbami. Kniahini zadbała o oprawę kaźni. Książ miał pojechać na plac straceń od razu w pogrzebowym kondukcje. Cóż za oszczędność kosztów przewozu.

Miron stanął dumnie na środku kolasy, skrzyżował ręce na piersi. Zborowski dosiadł Pioruna, ustawił się z boku, z ręką na szabli. Czterech hajduków wskoczyło na

wóz, pozostali uformowali dwa szeregi z obu burt. Wszyscy uzbrojeni w rusznice – starosta przed odjazdem nie zaniedbał środków ostrożności.

Ruszyli. Najpierw konni sabaci z nahajami w dłoniach, za nimi kolasa z popem, skazańcem i hajdukami. Potem Zborowski na karym ogierze. Następnie drugi wóz z Czeczotką, pisarzem grodzkim i katem. Za nimi dziesięciu konnych sabatów. Z tyłu postępowała czeladź zamkowa, plebs i pospólstwo.

Zjechali wolno ze wzgórza przez wrota Przygródka prosto do bramy Grodzkiej – wysokiej na dwa piętra, okrytej czterospadowym ołowianym dachem. Zborowski schylił odruchowo głowę, przekraczając przejazd, zaraz potem oślepił go blask słońca na ulicy, a w uszy uderzył gwar i ryk tłumów, które zgromadziły się między kamienicami i u wrót klasztoru Sióstr Dominikanek. Samuel dojrzał wąty szpaler strażników miejskich, napierających na tłum halabardami, i morze ludzkich głów wylewające się ze stromych uliczek.

- Wiozą go! Wiozą! – ryczeli zgromadzeni.
- Niebożątko, niewinnego tracą!
- Jaki młody!
- Posiwiął, patrzcie!
- Toż on sam?! Książę gospodarczyk?!
- Który to, który?

Jechali dalej, wśród tłumów, prosto na ratusz ozdobiony piękną, smukłą wieżyczką z gankiem. Na rynek, opadający stromo ku bramie Wodnej, wyległy tłumy mieszczan, czeladzi, pospólstwa, Kozaków, chłopów, Żydów. Szary i zielonkawy tłum przetykany gdzieniegdzie błękitnym czy żółtym kaftanem mieszczanina albo sługi. W podcieniach ratusza i na gankach kamienic czerwieniły się i



zółciły ferezje, żupany zgromadzonej szlachty. Skręcili ostro za samym ratuszem, nieopodal kamienicy bononowskiej zjechali w dół, aby zatoczyć rundę honorową wokół ratusza. Mijali smukłe, murowane, ozdobione atykami gmachy – Elesza, szlachecką, Krzysztofory, adrianowską i inne, mniej okazałe, bo murowane tylko na parterze. Witała ich wrzawa, okrzyki, płacz dzieci, które rodzice i piastunowie podnosili nad głowami – aby dokładnie mogły przypatrzeć się szczegółom egzekucji. Wszak lepsze bite, jak zdechłe, a czego Jaś nie nauczy się w dzieciństwie, tego Jan nie będzie umiał.

– Tatko, tatko, a jak on będzie żył bez głowy?

– Nie będzie i o to chodzi, córuchno! Pójdzie do piekła, między diabły. Zedrą mu skórę hakami, wywleką wąpia ze środka, jak mistrz Jakub zbója Sałatę w Barze, pamiętacie?

Pamiętały, bo smutno kiwały główkami.

– A głowa? – Przerażony chłopczyk trząśł się jak osika na wietrze. – Głowa mnie nie ugryzie, tatuńciu?

– He, he, nie bój się, dzieciно. Niewinnych Pan Jezus miłosiernie chroni. A i mistrz Jakub będzie czuwał, aby nie było ci szkody.

I wreszcie stanęli przed szafotem, gdzie strażnicy pospołu z hajdukami odpierali wyjący, rozkrzyczany tłum bab, czeladników, oberwańców, chłopów i dziadów.

– Szybciej! – Zakrzyknął hutman, wąsaty jegomość na koniu i w zardzewiałej misiurce nieczyszczonej od ostatniego najazdu Wołochów. – Was tylko po śmierć posłać! Toż widzicie, co się dzieje!

Czczotka już biegł do pierwszej kolasy – krzyczał do hajduków, aby prowadzili kniazia na podwyższenie.

Zborowski usłyszał w tłumie swoje nazwisko. Do tej

pory wypatrywał głównie Dydyńskich i ciągle myślał, czy i jak spróbują odbić więźnia. Teraz jednak dojrzał w tłumie czarny brożek i stojącą na jego stopniach postać w okrągłym kołpaku.

Kniahini! Już wskazywała na niego ręką, krzyczała słowa, które podchwytywały wszystkie gardła na rynku:

– Zborowski! To jest Zborowski! Morderca syna! Bękart diabła!

– Z gamratką usidlili Mirona! – wykrzykiwał Przeclaw. – Bijcie go, dobrzy ludzie! Pomścicie śmierć niewinnego!

– Zborowski! Diabeł! Szelma! Wor! – buchnęły okrzyki.

Tłum zahuczał, a potem zaatakował. Tuż koło uszu Zborowskiego świsnęły kamienie, poleciały bryły błota, kapuściane głąby, śmieci i kule końskiego nawozu. Wielka pecyna błota rąbnęła Pioruna w łeb, aż koń cofnął się, parsknął, przysiadł na zadzie. A wtedy kamień podniesiony z bruku uderzył Zborowskiego w twarz, pod lewym okiem.

Świat zaszumiał dokoła, jakby San wystąpił z brzegów, czerwone gęby, wytrzeszczone oczy, ręce zaciskające się na kamieniach, kłonicach i kijach zamieniły się w szarą, drgającą masę.

Zborowski widział wrzeszczącego Czeczotkę, który tłukł pięścią po karkach hajduków wiodących Mirona na stopnie szafotu. Oglądał strażników miejskich spychanych prawie do samych kolas. Miotającego się rozpaczliwie hutmana, którego pięć par rąk ściągało z konia.

Pospólstwo waliło kupą do stopni, rozrywało kordon strażników, zagradzało hajdukom i Mironowi drogę na podwyższenie. Starościńcy nie strzelali, ale prali, odpędzali plebs kolbami rusznic, Czeczotka walił nahajem gdzie

popadnie.

I wtedy, kiedy byli już osaczeni ze wszystkich stron, kiedy zdawało się, że dziesiątki rąk wyciągną się po Mirona, aby wyrzeć go z rąk sprawiedliwości i przywieść do zapłakanej matki, Zborowski dobył szabli!

Uderzył ostrogami Pioruna! Koń wpadł w najgęstszy tłum, rzucił łbem, stratował dwóch czeladników w kaftanach, odtrącił grubego opoja w wamsie, strzelił z zadu, obalając dziadów i wsiowe baby.

Zborowski obrócił go w miejscu jak na paradyżu albo w bitwie, rąbnął szablą raz, drugi, trzeci, rozbijając podcięte na donice łby, tnąc po kapeluszach i czapkach, po rękach nadaremnie zasłaniających się przed ostrzem.

– Diabeł! Zborowski diabeł! – ryczało pospólstwo.

– Czart! Charakternik!

Pomoc przyszła jak grom z jasnego nieba. Czeczotka pozbierał swoich, popchnął Mirona w stronę szafotu. Wbiegli kupą na podwyższenie, potykając się i przewracając na schodach. Strażnicy zastawili za nimi przejście halabardami, odegnali krzykaczy na zasięg broni.

Miron szedł po śmierć powoli, spokojnie i dostojnie, jak narzeczony po oblubienicę. Nie było w nim ani krzty z młodzieniaszka. Kiedy przymusił gwałtem Krystynę, wyglądał bardzo młodo, ale na szafot wstępował jak dojrzały mężczyzna. Niestety, lekcję daną od życia przypieczętować musiał własną głową.

Zborowski podjechał do podwyższenia, zeskoczył z kulbaki wprost na deski, przerzucił wodze Pioruna przez pionowy drag, stanął za plecami Mirona i kata, rozglądał się czujnie dokoła, szukając nowych podstępów Dydyńskich, nie słysząc obelg, które spadały na jego głowę jak grad.

Zadudniły bębny, zagrały trąby, kiedy na przód wystąpił pisarz grodzki z sentencją wyroku zawartą w złożonym kilkakrotnie liście. Tłum nie uspokoił się od razu. Nawet gdy w pobliżu miejsca straceń zapadła cisza, słyszeli gwar i okrzyki dochodzące z podsieni ratusza i z bocznych uliczek przy rynku.

– Przejrawszy się we wspomnianym prawie ziemskim i artykułach sejmowych, z wyroku sądu grodu w Przemyślu – zaintonował głuchym głosem pisarz – urodzonego kniazia Mirona Mohyłę, syna Jeremiego, nieboszczyka, ongiś gospodarza multańskiego... za usilstwo popełnione na osobie sławetnej Krystyny Oleckiej z Dubiecka, jako schwytanemu *in recenti* na miejscu zbrodni... mieczem go skazać umyśliliśmy i do ukarania tego sprowadzonemu na to miejsce mistrzowi, aby sentencji naszej na niego ferowanej uczynił zadość, oddajemy pod miecz.

Obrócił się do Mirona i skinął głową.

– Proś Boga o przebaczenie, panie. A wy, mistrzu, poczynajcie!

– Łaski! – zakrzyknął niewieści głos. – On niewinny!

– Niewinny! Niewinny!

– Widział to kto za murwę ślachcica tracić!

Pomruk tłumu rozrósł się do pogłosu gromu. Uderzył we wszystkich niczym lawina, zatrzęsł szafotem:

– Łaski, zmiłowania!

– Litości!

– Puście go wolno!

Pisarz skinął na kata, ten na popa, pop na Mirona. Mohyła przymknął oczy, pozwolił, aby duchowny pobłogosławił go krzyżem.

I choć do tej pory zachowywał powagę, zadygotał.

– Matko, o matko! – wyszeptał. – Co teraz... Szybciej... Szybciej.

– Oduść nam, mospanie – rzekł pisarz – jako Chrystus darował swoim ciemężycielom. – My nie ze złego serca, lecz z nakazu prawa...

– Odpuszczam, odpuszczam! – kiwał głową Miron. – Wszystkim wam, dobrzy ludzie. Poza... Poza panem Zborowskim. Zborowski! – niemal krzyknął, obracając się w stronę Samuela – pozywam cię na straszny sąd Boży po śmierci. Tam się spotkamy, a Pan nas osądzi!

– Zborowski! – krzyczała kniahini. Jej głos wwiercał się w uszy Samuela, wibrował jak brzęk miedzianych pawęży. – Przeklęty! Bądź przeklęty na wieki, chodząc, robiąc, stojąc, śpiąc, w kościele, w łóżnicy, w karczmie, w podróży, w modlitwie! Robactwo niechaj pożre twoje ciało, kruki rozdziobią, diabeł niech ci kamienie pod nogi podstawia! Bodajbyś pomału konał, bodaj cię pioruny rozdarły, bodaj plagi egipskie na ciebie spadły! Przeklęty! Po trzykroć przeklęty!

Kat położył rękę na ramieniu skazańca – chciał zmusić go, aby ukląkł, ale Miron posłusznie zwałił się na kolana, złożył ręce do modlitwy.

– Szybciej! Szybciej – bełkotał. – Śpieszcie się!

Kat ujął błyszczący, ciężki miecz, ścięty płasko, przewiercony po trzykroć, aby nikt nigdy nie uczynił z niego broni odbierającej życie w honorowej walce. Przeżegnał się, wziął zamach – szeroki, od lewej.

Tłum rzucił się na szafot z tyłu, strażnicy walczyli z desperacją o każdy krok wolnego miejsca.

– Jezus! Jezus Mario! – zakrzyknął Mohyla.

I Jezus go chyba usłuchał, bo kat chybił! Mistrz

małodobry przeciął mieczem powietrze o dobry cal nad głową gospodarczyka. Ryk tłumu był tak ogromny, że podwyższenie zatrzęsło się w posadach.

– Co to ma być?! – wrzasnął pisarz. – Chcesz, żeby nas tu żywcem rozszarpali?! Ścinaj go zaraz, już!

Kat kiwał głową całkiem jak wisielec, podniósł miecz, ujął oburącz, skulił się, zamierzył.

Ciął z takim świstem, że nawet Zborowski przymknął oczy. Usłyszał przeraźliwy wrzask tłumu, jęk dobyty z tysięcy gardel, układający się w gromowy okrzyk:

– Łaski!

Otworzył oczy. Miron ciągle klęczał. Na jego karku perliła się krew z niewielkiej szramy.

Rozwścieczony pisarz grodzki popchnął kata, o mało go nie przewrócił. Czeczotka zdzielił małodobrego rękojeścią nahaja w plecy.

– Na szubienicę cię wysłę, hultaju! – krzyczał pisarz. – Jeśli go zaraz nie zetniesz, tu, teraz! W tej jednej chwili!

Kat podniósł ręce do twarzy zasłoniętej sukiennym kapturem, opadł na kolana całkiem jak skazaniec. Ujął miecz, powstał, dygocąc.

– Szybciej! – jęczał Miron. – Nie każcie mi czekać, ojcowie.

– Łaski! – huczał tłum.

Miecz z brzękiem potoczył się po deskach szafotu. Kat załkał, rzucił się na kolana przed pisarzem.

– Jak pragnę zdrowia, na Boga żywego w Trójcy jedyne, nie mogę, ojczulku! Diabeł mi ręce poczarował, miecz wykręca! Wezwijcie ojców dominikanów, niechaj odprawią egzorcyzmy, a nas pokropią święconą wodą.

Tłum krzyczał, tłum wiwatował, domagał się łaski.

– Dwa razy dowiódł niewinności!

– Uwolnijcie go!

I nagle, jak na komendę, poleciały na nich kamienie, błoto i łajno. Czeczotka zasłonił twarz łokciem, pisarz skulił się, kat zrejterował.

Podkupili małodobrego!

Wtedy Zborowski...

Ręka podnosząca miecz, szybko i zdecydowanie.

Błyszcząca klinga z lewej strony ciała. Szeroki zamach na rozstawionych nogach.

Zapadła cisza, kiedy ciał, a ostrze zdobione znakiem szubienicy zakreśliło w powietrzu półkole. Płynęło wolno ku plecóm Mirona w ostatnim, pożegnálnym tańcu żelaza.

Ciał z całej mocy – po szyi gospodarczyka, po żyłach i tętnicach, po mięśniach. Z chrzęstem ustąpił kręgosłup, poddały się ścięgna.

Katowski miecz przeciał skórę i ciało, wszedł skośnie, nieco od góry...

I w jednej chwili odwalił Mironowi całą głowę wraz z częścią ramienia i pleców.

Krew siknęła w górę z przeciętych naczyń, szeroką strugą, zrosiła czerwone sukno pod stopami.

Głuchy łoskot – ciało przewróciło się na bok.

Zborowski stał z zakrwawionym mieczem. Oddychał ciężko – to on dokończył dzieła.

Spojrzał na miotające się w drgawkach zwłoki kniazika, a potem odwrócił się i odszedł powoli.

Na rynku panowała cisza.

Samuel podszedł do krawędzi szafotu, ujął wodze Pioruna, wskoczył na grzbiet i obrócił się w lewo, w uliczkę wiodącą ku bramie Wodnej. Ruszył stępą, potem rysią. Tłum już ochłonał, chciał zastąpić mu drogę;

wówczas szlachcic wzniosł katowski miecz, z którego skapywały czerwone krople, zamierzył się na plebs i... plebs uszedł. Pospólstwo rozstało się na boki w niemej grozie, która spętała nie tylko nogi i ręce, ale zamknęła nienawistne usta i języki.

Zborowski jechał precz z miasta. Przed bramą odwrócił się jeszcze, wziął zamach i cisnął katowski miecz za siebie. Szerokie ostrze zabłysło w słońcu, zafurkotało, spadło w sam środek tłumu, który rozbiegł się jak przed gładem spadającym z nieba.

I zaraz zaczął krzyczeć, złorzeczyć. Znow poleciały kamienie, grudy ziemi, śmieci, śnięte ryby.

– Morderca, szelma, łotr!

– Bękart.

Nie zważał na to, choć nieczystości spadały na niego jak deszcz, odbijały się od kołpaka, delii, uderzały w konia.

Wyjechał z miasta niewzruszony jak spizowany pomnik cnoty, rzymski senator, ocierając krew płynącą spod oka. Zabrał ze sobą swoją dumę i skrzywdzony honor.

A zemstę pozostawił w grubych, dygocących rękach Domny Elżbiety.

Długo w noc w kamienicy pod Krzysztoforami, dokąd Dydyńscy przynieśli w dębowej trumnie ciało kniazia, na drewnianym stole zszywała lnianą nicią ciało ukochanego syna. Łączyła na nowo szyję z głową, a ramię z plecami. Lecz nie zraszała synowskich ran matczynymi łzami.

A potem kazała posadzić Mirona na krześle, aby raz jeszcze wejrzeć w jego oblicze. A kiedy nie dało się tego uczynić – bo już zeszywniał – kazała włożyć go do trumny z małą szybką nad głową. I powieźć zwłoki do Uścia.

Zborowski pojechał do Dubiecka.



Przed domem Ambrożego Oleckiego było wielkie zgromadzenie. Kupcy i chłopci w siermięgach i huniach tłoczyli się wokół podsieni, aby zobaczyć coś, co leżało pod drzwiami. A kiedy już to zobaczyli, ściągali z gorzką chłopską zadumą czapki i kapelusze.

Zborowski szedł, prowadząc Pioruna za uzdę. Rozepchnął gawiedź, przepchał się do przodu, używając łokci, i zatrzymał się przed płachtą grubego szarego płótna, na którym leżała Krystyna. Najpierw pomyślał, że zasłabła, potem dostrzegł wodorosty wplątane we włosy, otwarte usta i blade oblicze.

Ambroży klęczał, trzymając bezwładną dłoń jedynej córki – pociechy. Ta scena była jak z greckiej tragedii, niestety, Zborowski miał odegrać w niej rolę fatum.

– Ze stawu pod zamkiem wyciągnęliśmy – rzekł spocony chłopiec o brudnych włosach przyklejonych niemal na stałe do pobrużdżonego czoła. – Musi rzuciła się z mostku. Taka młoda, Panie Wszechmocny, miejże ją w opiece.

Zborowski roztrącił chłopów, podszedł do narzeczonej, ukląkł, otoczył jej głowę ramieniem, wsunął pod talię drugą rękę i usiłował unieść.

Nie mógł, nagle opuściły go wszystkie siły, pozostał bezradny, otoczony kręgiem ciekawskich, nie miał tyle mocy, aby dźwignąć ukochaną z szarej płachty płótna, przenieść ociekającą wodą do izby, zabrać ją sprzed wścibskich oczu, które tyle razy świdrowały ją na targu czy

spacerze.

Ktoś przyszedł mu z pomocą. Uchwycił za rogi płachty. Wspólnie podźwignęli ciało, ponieśli do sieni, a potem do izby. Gdy kładli nieboszczkę na łożu, Zborowski podniósł wzrok i wówczas napotkał złe oczy Huni.

– Uczyniła to rano – rzekł sługa cicho. – Wyszła z domu nie wiadomo kiedy. Szukali pół dnia. Ktoś widział ją na grobli... Ot, tyle.

– Ty ją widziałeś! – mruknął głucho Zborowski. – I nic nie uczyniłeś!

– Tym razem to nieprawda. Choć byłem w pobliżu.

– Więc po co przyjechałeś?

– Po ciebie. Bo słowo jest święte, a nie zwolniłeś mnie od niego. Bohusz też jest. Czeka z końmi na gościńcu, niedaleko Nienadowej.

Zborowski ukląkł, pocałował dłoń narzeczonej.

– Co ja narobiłem?! – powiedział rozpaczliwie. – Po co to wszystko?! Za co?! Jak mogłem...

Wsparł się o łożo, bo poczuł zawrót głowy.

– Jak mogłeś – mruknął Ambroży – zostawić ją samą? Tyś to wszystko sprawił. Boże, Boże, Boże! Mogłeś być moim zięciem, a jesteś wrogiem. Idź stąd, mości Zborowski, wracaj na gościniec. Przynosisz tylko śmierć.

Złapał się za głowę.

– Miłowała cię do końca... Do ostatniego tchu. I ciągle wierzyła, że wrócisz... Dlaczego tak późno?!

– Zawsze jest za późno – mruknął Hunia. – Ale nie dla nas. Sławetny Mikołaj mówi prawdę. Chodź ze mną do Bohusza. Myślałeś, że mi się wymkniesz? Nie, mój panie wielmożny. Tobie pisana jest wieczna wędrówka. Ruszajmy!

Pociągnął Zborowskiego za sobą. Samuel wyrwał

się jeszcze, dopadł ukochanej i... Wyjął spomiędzy splecionych włosów mały, zwykły krzyżyk, zerwał go z szyi nieboszczki i ścisnął w dłoni. Na wieczną pamiątkę złamanego żywota.

Hunia czekał, niecierpliwił się, stukał podkówkami o próg.

Samuel chciał mu dać w pysk; nie zrobił tego. Wszak byli złączeni jak dwa bratanki: anioł i demon.

## **Panowie Krechowieccy**

Krasiczyn przesiąknięty był zapachem wapna i żywicy. Spowity w las rusztowań piękniał z każdym dniem, białął z daleka nieskazitelny jak płótno, na którym boska natura wypisać miała nowy kształt architektonicznej doskonałości.

Wjechał na dziedziniec sam. Ponury, zarośnięty, w postrzępionej delii, na spienionym koniu. Odróżniał się od gładkich dworaków jak pokrwawiony wilk od panięńskich perlusiów.

Przyskoczyło ich dwóch – hajduk w srebrze i czerwieni odprowadził konia do stajni. Starszy sługa w czamarze wyciągnął rękę po wypchany worek zwieszający się z przedniego łęku kulbaki, ale szlachcic uderzył go po ramieniu. Sam zabrał kłopotliwe brzemię. Trzymając worek daleko od siebie – wkroczył na krużganki, gdzie rozbrzmiewał stukot kamieniarskich młotków, szuranie i plusk zaprawy mieszanej przez pomocników w drewnianych fasach. Idąc – mijał czeladź krzątającą się jak w ukropie, czeladników, mularzy i uczniów niosących drewniane bele, kamienie i wywalających ceglany gruz.

Starosta już czekał. Zasiadał w małym, zacisznym gabinecie obok Sali Królewskiej, przy kominku, za stołem zawalonym rulonami map, księgami o postrzępionych brzegach i oczywiście flaszami wina, bez którego nikt w Rzeczypospolitej nie śmiał załatwić żadnego poważnego interesu.

Wraz z panem Krasickim nad planami zamku

pochylali się dwaj sfatygowani cudzoziemcy w pludrach i koronkach. Starosta zaś perorował niczym ksiądz z ambony:

– W dolnym rzędzie chcę mieć samych cesarzy. Kogo, pytacie? Ano Klaudiusza, Quintillusa i Karusa, nie zawadziłyby też Dioklecjana, choć wielki był z niego niedowiarak. Zaczniemy zaś od Filipa, po nim niechaj idą Decjusz, Trebonian, Emilian *et cetera*. Proszę mi ich ładnie imaginować na murze, aby było tak, jak powiem po waszemu: *Molto diletta algusto intero e sano, l'opra della prima arte, che nassembra!* Witajże, mości panie Zborowski! – zakrzyknął, widząc nowo przybyłego, i zaraz poderwał się zza stołu. Podszedł do Samuela, poklepał go lewą ręką w policzek, nie omieszkując jednocześnie wyciągnąć prawej do ucałowania.

Zborowski nie wyglądał dziś jak Zborowski; prędzej jak siromacha. Błady, zarośnięty, z ponurem wzrokiem.

– Co przywiozłeś?

Samuel uniósł worek i potrząsnął znacząco.

– A, widzę. Zostawcie nas samych! – Mocne klaśnięcie sprawiło, że obaj Włosi znikli jak zdmuchnięci. Zborowski i starosta zostali sami.

– Posłałem ich precz – rzekł Krasicki, jakby się tłumaczył – bo to pludraczy, ludzie niewojenni, nie znają naszych obyczajów. Jeszcze by któryś omdlał i poszłaby plotka, że starosta przemyski barbarus, że dziki człowiek Wschodu i inne tam *mendacia*. [Łac. - łgarstwa.] Oni są czuli na takie rzeczy, bo z innej gliny ulepieni, panie bracie, nie to, co my, Polacy. Pokaż, co tam masz.

Zborowski postawił worek na planach, szkicach i sztychach, tak mocno, aż gruchnęło. Rozsupłał węzeł, po czym wy dobył z wnętrza ludzką głowę. Sądząc po

podgolonych włosach, należała do szlachcica. Gdyby powiedzieć teraz, że przedstawiała uduchowiony widok, jak oblicze Chrystusa na świętych obrazach, byłoby to stwierdzenie o wiele na wyrost. Prawy policzek martwego przecinała głęboka bruzda, krew zastygła w kącikach ust.

– Proszę! – prychnął Marcin Krasicki zwany w swoim rodzie Il Magnifico. – Młody Popiel jak żywy, toczka w toczkę, nawet po śmierci tak samo gęba naznaczona szelmstwem jak za życia. Tak jest, wreszcie będzie spokój. Nie będzie nikt strzelał do mieszczan w Przeworsku ani krzywdził im córek, a mnie przestanie księżna Zofia Ostrogska wiercić dziurę w brzuchu o tego hultaja. Płacę oczywiście, panie bracie, jak się umawialiśmy, sto złotych. U mnie jak w kantorze u Fukierów. A co tam masz jeszcze?

Druga głowa była łatwiejsza do wyciągnięcia, bo zamiast czupryny wystrzyżona w długi oseledec, za który Samuel podniósł ją bez wahania.

– Uhruski, atamańczyk zelgany! – zarechotał starosta. – Nosił wilk razy kilka, przynieśli mi łeb wilka. A jego bracia, mołojcy? Azaliż gryzą ziemię czy jeszcze panoszą się po świecie?

– Bracia cisi jak trusie – zapewnił Zborowski. – Wszyscy trzej, jak kocham Ojca Pana, mości dobrodzieju.

– Płacę, płacę. A cóż tam jeszcze macie, panie kochanku?

Zborowski wyciągnął trzecią, ostatnią głowę. Ta z kolei do posiwiąłego męża podstrzyżonego chłopskim i mieszczańskim obyczajem na donicę. W przeciwieństwie do poprzednich szczątków ta miała otwarte oczy, które zdawały się wskazywać i oskarżać. Oczywiście nieszczęsnego Samuela. I w rzeczy samej

niebezpiecznie, on to bowiem na zlecenie starosty zakończył doczesną niedolę kilku hultajów i grasantów, których łby pospolite prawo koronne taksowało na sto do dwustu złotych. Plus oczywiście gratis to, co dorzucał starosta.

– Terlecki – mruknął Krasicki.

– W rzeczy samej, wasza miłość, najtrudniejszą z nim miałem sprawę.

– Zapłacę ci za dwie głowy. Za Popiela i Uhruskiego.

– Terlecki nic niewart?

– Zabiłeś niewinnego człowieka.

– I coś takiego mówi mi pan starosta, grzmiąca sprawiedliwość Ziemi Przemyskiej? – Zborowski uniósł wzrok. – Mam jednak wierzyć, że prawo polskie jest jak pajęczyna, bąk się przebija, a na muchę wina?

– Nie był taki możny, ale z liczego rodu. Rodzina i krewni ci nie przepuszczą.

– Wasza miłość kazał mi go zabić, więc jego krew spadnie na waści głowę.

– Chciałem sprawdzić, czy nie zadrzy ci ręka, mości Zborowski.

– I uczyniłeś mnie mordercą?!

– Nie sumuj tego i nie trwóż się, mospanie. Terlecki też nie był bez winy. Najeżdżał, palił, może i kogoś ubił. Jak twój ojciec, którego ścięto za grzech, jakiego nie popełnił, z powodu gniewu króla Stefana. A jednak, mówiąc prawdę między oczy, Samuel starszy nawet przywiedziony do kata miał na rękach krew kasztelana Wapowskiego.

Z głuchym hukiem Zborowski położył głowę Terleckiego wprost na plan zamku, na którym odznaczały

się kolejne baszty: Szlachecka, Królewska, Papieska i Boska, wyznaczające jedyny i ostateczny porządek świata.

– Nie spodziewałem się tego po was, mości panie starosto.

– Zatem myślałeś, że można zdusić gada i nie ubabrać palców krwią? Gasić pochodnię i się nie sparzyć? Panie Zborowski, dumam, że człowiek z twoim nazwiskiem stracił pacholecą niewinność, jeszcze nim wyszedł z łona matki! Jak i czym mam zwalczać zło, warcholstwo, jak nie samym złem.

– Ja nie zabijam dla pieniędzy jak Dydyński!

– Biorę twój grzech na moje stare barki, bo miłuję cię jak syna, którego Najwyższy poskapił mi w swej mądrości – rzekł Krasicki.

I dobrze, bo jeszcze poszedłby w twoje ślady, powiedział Zborowski, oczywiście w myślach, bo nie chciał, aby jego głowa dołączyła do trzech pozostałych.

– Panie Zborowski, nie trwóż się. – Starosta poklepał Samuela po ramieniu. – Nie będzie z tego sprawy, jeśli odwdzięczysz się mi do końca.

– Za co – zapytał głucho Zborowski – mam się odwdzięczyć? A może prościej, kogo zamordować?

– Za to, że wymierzyłem słuszną karę Mironowi Mohyle. Niechaj ci przypomnę, mospanie, skazałem na śmierć możnego panoszę, nie bacząc na krewnych, rodzinę i jego koligacje. Wszak to syn gospodarza. Dał gardło za zniewagę, jaką popełnił na honorze chudopachołka, choć szlachcica, ale nieosiadłego. A uczyniłem to, aby pokazać, że dla mnie polonus nobilis zawsze znaczy więcej niż multański magnificus!

– Myślałem, że to wasz obowiązek, mości panie Krasicki. Zatem trzy łby w worku to cena waszej



sprawiedliwości?

– Ty mi nic nie mów, synu banity! – zagrmiał starosta. – Kim ty właściwie jesteś, katem? Parweniuszem, co nosi nazwisko wybitniejsze niż twój marny żywot? I ty chcesz sądzić mnie, pana na Krasicy, wojewodę, starostę?! Ty bękarcie!

– Pogrobowcu – rzekł zimno Zborowski – a jeśli już, jestem nikczemnym bękartem, poczętym przez przekłętą ojca na dwie niedziele przed jego śmiercią... Po ślubie, w który nikt nie chce uwierzyć... To jednak nie znaczy, że jestem bez czci i sumienia.

Starosta unikał wzroku Zborowskiego.

– Ja też jestem w położeniu bez wyjścia – powiedział cicho. – Gram tymi kartami, które dał mi los do ręki. Zatem decyduj, czy zostaniesz tu jako przyjaciel!

– Zgaduję, że jeśli teraz wyjadę, to tylko jako wróg.

– Dobrze... zgadłeś. Nie chcę od ciebie nic więcej poza ostatnią sprawą, mości Zborowski.

– Co mam zrobić?

– Dla mnie? Nic! Dla moich wiernych sług o wiele więcej. Potrzebują pomocy.

– Cóż to za kłopot, z którym nie może dać sobie rady cały urząd grodzki?

– Sami ci powiedzą. – Starosta zagarnął Samuela szerokim ruchem do bocznych drzwi.

– Zatem czekają?

– Zatem chodźmy.

2.

W komnacie siedziało na ławie dwóch wąsatych, spalonych słońcem mężczyzn o szerokich karkach. Nosili szlacheckie sygnety i podgolone łby, ale wyglądali jak chamy oderwane najemem od sochy. Szerokie, czerwone oblicza, czarne, nasmołowane wąsiska, grube brzuchy, spękane dłonie, które co chwila wyciągali ku misie z owocami. Trudno uwierzyć, ale wyjedli prawie wszystkie jabłka i winne grona, pozostawiając pestki na blacie stołu. Zborowski nie mógł pojąć, że to słudzy, a może i przyjaciele karmazyna – starosty. A jednak na widok Krasickiego wstali i – wyszedłszy zza stołu – padli na kolana. Młodszy z nich, mniej brzuchaty, zwałiby się plackiem, gdyby nie powstrzymał go pan Marcin, jak to miał w zwyczaju – chwytając za ramię i poklepując po policzku.

– Wielmożny panie starosto – wystękał starszy – dobrodzieju nasz umiłowany. Do nówek padamy, do rąk się kłaniamy!

– Powstańcie, mości panowie Krechowieccy – zawołał Krasicki – moi umiłowani słudzy, a jeśli Bóg poszczęści, kiedyś swaki i krewni!

Tak, pan Zborowski się nie przestyszał. Marcin Krasicki z Krasiczyna nazywał tych dwóch zaściankowych wiechetków krewnymi. *O tempora, o mores!* [Łac. – *Co za czasy, co za obyczaje!*] Te słowa sprawiły, że Samuel uśmiechnął się bodaj pierwszy raz od dnia, w którym zobaczył ciało Krystyny wyciągnięte ze stawu.

– Widzicie, mospankowie – ciągnął pan z Krasiczyna, wskazując na Samuela. – Oto jest ten człowiek.

Zborowski przedstawił się. Choć był z niego chudopacholek, tamci prawie przypadli mu do ręki. Widać

od niedawna przywdziali żupany, a wcześniej służyli na dworze, bo zachowali giętkie karki, a hajdawery mieli wytarte na kolanach od bicia pokłonów.

– Ja was zostawię. – Starosta uczynił ruch, jakby umywał ręce. – To trudna sprawa, mości kawalerze. Prawem nie do załatwienia, bo nasze sądy dziwnie są w takich kwestiach pobłażliwe, co pokazuje choćby przypadek pana Samuela Pawłowskiego i Halszki Lutosławskiej. A nader dobitnie rapt, jakiego dopuścił się Jan Ramułt na synowicy Samuela Trojeckiego.

– Oczywiście.

– Ja idę – mruknął starosta – nic nie widziałem, nic nie słyszałem.

I zaraz boczkiem odszedł, pozostawiając Zborowskiego samego z sapiącymi i wielkogębymi jegomościami.

– Tak, waszmość pan, słuchaj – rzekł starszy z braci.

– Ja jestem Atanazy, a to Prandota, mój braciak.

– Bo my zza Buga, z Żuraków – uzupełnił drugi.

– Tak i... No co będę czekał, krzywda nam się stała.

Wielka, okrutna, że nie uwierzysz pan, panie Samuś. Siostrę naszą, Eufrozyne, uwiódł szelma Jakub Bzowski. Porwał spod dworu, kiedy wyszła na łąkę z dworskimi dziewczkami, i powiózł hen, do Krzeczkowej, za San.

– Żeby to, pomnisz pan, szlachcic był, bogaty, możny, dostoyny, tak byśmy ręką machnęli, a i jeszcze do rodziny przyjęli. A on sam jeden posag zabrał!

– Szelma, gwałtownik, hultaj, wywołaniec! Ba, więcej powiem, bękart własny! – uzupełnił Prandota.

– Skąd wiecie?

– A jakżeby inaczej – rozłożył ręce Atanazy – tak my się zaraz o wszystkim zwiedzieli. Jakub, syn księdza,

co w Janowicach mieszkał pod Zakliczynem. Tego bękartą, że bękatą rósł, zwali: bęben. Miała go matka, chłopska dziewczka, z proboszczem Burzyńskim, jego, jak i starszego, Miśka, znaczy Michała.

– Tę mać kurewnicę krzywą – uzupełnił Prandota – pojął był kmieć zwyczajny Wojciech Swacha z Jadownik, wsi królewskiej.

– A ksiądz Burzyński dał swoich dwóch bękartów do szkół, a potem starszego posłał na Litwę, do wojska, młodszego przy sobie chował. Tego pierwszego, kiedy spanoszył się i spieniżył na wojnach moskiewskich, zabili chłopci pod Tyczynem, kiedy na targ jechał kolasą z góry. Rzekł im: Zstępujcie, chłopci! Oni mu na to: Żeś i ty sam chłop! Tak on do korda, oni do kijów i zabili go.

– Złożył Pan Bóg pysznego plebeja z urzędu ziemskiego. – Prandota przeżegnał się wielkimi łapskami.

– Ten drugi, znaczy się nasz Jakub, kupił szlachectwo od Bzowskich. Ci wynajęci czynili świadectwo w grodzie krakowskim roku tysiąc sześćset piętnastego, że to jest ich brat. Kupił im za to beczkę piwa i na buty dał! Ale ślachectwo bękartia krew zepsuje. Ten Bzowski zalecał się potem pannie Pszonce pod Lublinem, ale dowiedziano się, że bękart, i odgromiono go.

– Ryśno i bławatno na wesele przyjechał, taka go mać – uzupełnił Prandota – ale krewni panny przeczuli pismo nosem i popędzili precz! Powinien się potem nazwać nie Bzowskim, ale Bierzmanowskim, od bierzmania kijami.

– Da Pan Bóg, będzie on teraz Zabitowski od waszmości szabli, bo niegodzien chłop, taki lada jaki chłop, naszej szlacheckiej dziewczki i jeszcze posagu!

– Chcecie, abym go zabił?

– Z ust nam to wyjąłeś, panie Samusiu złoty!  
– I siostrę abyś nam przywiódł – uzupełnił Prandota.  
– Siostra w tym wszystkim najważniejsza jest!  
– A po co jej chcecie?  
– Zmyć hańbę na rodzie! – rzekł twardo starszy. –  
Aby nam szlachta spod Żuraków nie świeciła w oczy, że  
bękart pohańbił nasze imię.

– A co, jeśli – uśmiechnął się Zborowski – ona go  
chciała? Jeśli wzięli ślub, albo i bez ślubu ją sprofanował,  
to co wam po siostrze? Kto weźmie pannę bez wianka, a  
tym bardziej bez posagu? Wzięli ślub? Mówcie!

Bracia spuścili wzrok, milczeli chwilę.

– A niechaj waści będzie – mruknął starszy – wzięli.  
Ale pod szablą i bez nijakiej woli Eufrozyny! To on ją  
przymusił, bękart diabelski!

– Co Pan złączył, człowiek niech nie rozłącza.

– My właśnie chcemy, aby waśc ich rozłączył –  
rzekł ponuro młodszy. – Zapłacimy.

– Ile?

Popatrzyli na siebie, jakby żądał gwiazdki z nieba.

– Osiem. Znaczy...

– Znaczy sto złotych.

– Panie Krechowiecki, za sto złotych to ja mu mogę  
pozew doręczyć. Z łuku. A sprawa jest gardłowa.

– Jak to gardłowa?

– Mam ich rozłączyć, to znaczy uczynić waszą  
siostrę wdową?

Pokiwali ponuro głowami.

– To warte okrağły tysiąc.

Mało nie pękli z wrazenia albo złości, że żąda się od  
nich czegokolwiek poza spoconym uściskiem dłoni. Kiwali  
z niedowierzaniem głowami.

– Jak nie, to ja idę. Do starosty!

Był już przy drzwiach, kiedy starszy z Krechowieckich rzucił się jak ranny tur. Zasłonił przejście własnym ciałem.

– Panie Samuś, zlitujże się nad nami nieszczęsnymi. Szarańcza była, ptaki nam plony wydziobały! A tu i jeszcze hańba domowa! Posag wzięty, siostra porwana! A my ją chcieli dobrze za mąż wydać, za pana wielkiego... Spuśćże, zmiłuj się, a dobijemy targu. Całą czeladź z wami wyślemy...

Zborowski odwrócił się; z zimnym uśmiechem popatrzył na młodszego z braci.

– Zabiję dla was tego bękarta za siedemset złotych polskich. I ani grosza mniej.

Pokiwali głowami wyraźnie uradowani.

– Ale odpowiedź na jedno pytanie.

– Pytaj, waść.

– Jaką partię macie dla siostry, kiedy ją wam oddam?

Spojrzeli na siebie z wahaniem. Zborowski ruszył ku drugim drzwiom.

I znów, jak w kiepskiej farsie, starszy Krechowiecki rzucił się niczym wściekły, aby zasłonić przejście.

– Za pana... starostę – wybąkał, patrząc w ziemię.

– Wiedziałem – uśmiechnął się Samuel. – Wołajcie czeladź. Jedziemy do Krzeczkowej.

3.

Do bramy w parkanie okalającym dwór zastukał

proszalny dziad – pątnik, w porwanej opończy, z wielkim krzyżem na szyi i drewnianą puszką na piersi. W ręku niósł dziadowski kij zaopatrzony na końcu w kolczastą skórkę jeża dla odganiania psów. Przy boku miał torbę, a na gębie wesoły, kpiący uśmiech. Walił we wrota, jakby kołatał do świętego Piotra, i cały czas wołał:

– Otwórzcie, otwórzcie, dobrzy chrześcijanie, słudzy boży. Wpuśćcie mnie, biednego Rufina, co z Ziemi Świętej idzie, a ofiarował się boso do Jeruzalem za grzechy młodości, chuć wszeteczną i zbytnią gorącość serca. Puszczajcie, zacni ludzie, panowie i słudzy, powiem wam, jak sławny jest Loret w sąsiedztwie Ankony, piękny Monserrat blisko Barcinony, Aprykol, Halle, sławna Polska owa i jej Częstochowa.

Walił, aż echo odzywało się po drugiej stronie wrót.

– A wspomóżecie nieszczęsnego sługę, najdziecie u mnie więcej cnót niżli przy krynicy samarytańskiej. Każdej godziny powiem wam z Anglij i Turek nowiny! Umiem na pamięć świętą Ewangelią, wiem też, jak nad umarłym śpiewają wigilią! Gdy ja we wsi niewiastom opowiadam o niebie, to mnie każda chce chować do śmierci u siebie! Otwierać, otwierać! – krzyczał, choć już po drugiej stronie zaszurały zapory. – Mam ja cuda wszelakie, pamiątki, szkaplerzyki, piąty członek świętego Franciszka, co umarł w Asyżu, łzę, co ją poroniła Maria Magdalena, kiedy murwą jeszcze była! Paznokiec Sykstusa papieża świątobliwego, wersety z Biblii Chińskiej, z dalekiego Kitaju, które tylko żonatym pokazywać można!

Walił w grube dębowe brusy nawet wtedy, gdy otwierały się drzwi i zaciekawieni pachołkowie w zielonych giermaczkach wpuścili go na dziedziniec, przed dwór ozdobiony strzelistym gankiem, umieszczonym

jednak nie na środku, ale nieco z prawej strony budowli.

Natychmiast rozdał im woreczki, wcisnął krzyżyki wyrzeżane tego ranka z pnia brzozy w lesie za Iskaniem.

– Oto moi mili – zagadał – piasek z drogi krzyżowej Chrystusa. Pan nasz po nim stąpał, zajrzyjcie, czy nie ujrzycie śladów z Jego stóp.

I rzeczywiście jeden z hajduków był tak głupi i durnowaty, że natychmiast rozsznurował woreczek, jakby spodziewał się, że ujrzy w nim nie tylko odcisk, ale całą stopę Zbawiciela. A dziad pątnik pędził już pod ganek, krzycząc i zwołując dworskich ludzi.

– Chodźcie, chodźcie! Mam ja tu dla was dobre nowiny i święte relikwie. Wspomóżcie datkiem dziada biednego, a nie pożałujecie.

Otworzyły się drzwi i na ganek wyszedł sam pan gospodarstwa. Mężczyzna młody, smukły, w kołpaku ozdobionym złotym trzęsieniem. Zaciekawiony, uśmiechnięty, podkręcił wąsa, zszedł w dół, do pielgrzyma. Taki był bowiem w Polsce obyczaj, że chłopca – gdyby przyszedł do dworu po prośbie – odpędzano nahajem, Żyda szczerzo psami, a świętego pielgrzyma podejmowano niczym równego sobie.

Co niezwykle wprost wpływało na rozmnożenie się dziadowskiego rodzaju.

– Teraz! – syknął Zborowski i polechtał konia ostrogami.

Piorun i Bohiń ruszyły rysią, ciągnąc uwiązane do łąków i kulbak liny – przerzucone przez sterczące w górę bale – aby na sposób Dydyńskiego wciągnąć na górę dwóch Kozaków z czeladzi Krechowickich. Pięli się w górę jak żbiki, chwycili dachówek na górze parkanu, znikli jak duchy po drugiej stronie.



A potem skoczyli do wrót zwolnić rygle, odciągając kuny i zapory. Dojrzano ich z gromady otaczającej pielgrzymy, ktoś krzyknął:

– Do wrót! Bywaj!

Za późno!

Przejście otwarło się ze skrzypieniem. Z łoskotem, krzykiem, hałłakując po tatarsku, na dworski majdan wpadli: Zborowski i Hunia, za nimi konni semeni. Runęli na czeladź i służbę, na dworskich hajduków. Stratowali ich, odepchnęli, rozegnali na cztery strony świata.

Nie żartowali, cięli szablami raz, drugi, huknęły strzały. Zakotłowało się wokół ganku. Kto nie uciekł, padł z rozwaloną głową lub stratowały go podkowy. Chwila długa jak wieczność i było po wszystkim.

– Panie Bohosiewicz! – zakrzyczał bladej jak śmierć dziedzic. – Bywaj...

Nie zdążył domówić tych słów, kiedy proszalny dziad – dotąd skulony i drżący – gruchnął go w łeb z taką siłą, że kij pękł na dwie części. Szlachcic zatoczył się i... wpadł prosto w grube łapska semenów. Szarpał się, krzyczał, pomstował, dopóki jeden z Kozaków nie wcisnął mu w zęby własnej czapki. Dziad zaś, zrzuciwszy kaptur opończy, ukazał światu wesołe oblicze Bohusza.

I zaraz zanurkował między ciała, aby wymacać sakwy i brzęczące kalety, otaksować pasy i szkaplerze.

Zborowski, ponury jak zimowa noc, podjechał rysią do ganku, zmierzył obojętnym spojrzeniem przerażonego szlachcica, jakby oceniał wołu na targu.

– Waść jesteś Jakub Bzowski? – zapytał.

Pojmany nie odpowiedział – z przyczyn oczywistych – miał w gębie kozacką czapkę. Na znak Samuela semen wyrwał mu knebel. Dziedzic krzyknął,

splunął.

– Będziecie za to odpowiadać! Przed mistrzem i na szubienicy!

– O, na pewno! – roześmiał się Zborowski. – Ale najpierw waść odpowiesz przede mną. Za zajazd i porwanie panny Eufrozyny Krechowickiej.

– Co?! – zakrzyknął Bzowski. – Co waszmość gadasz?

– Prawdę! – huknął Hunia, który jak wierny pies przecisnął się przez tłumek Kozaków i dla wagi swych słów dał w gębę szlachcicowi. Bzowski zaszarpał się w mocarnych ramionach, zacharczał, dławiąc krwią.

– Dajcie mu szablę. – Zborowski zeskoczył z konia, rzucił postrzępioną delię, odpiął pas z rapcami. – Puście go! Już!

Hunia cisnął pod nogi Bzowskiego własną szerpentynę. Zborowski szedł na dziedzica jak burza, dobywał w biegu szabli. A potem cisnął mu w twarz zimne jak lód słowo:

– Stawaj! Przyszedłem cię zabić.

Bzowski, puszczony przez semenów, zakołysał się na nogach. Wszystko toczyło się wokół w oszałamiającym tempie. Zborowski kopnął szablę Huni, aż obila się o baczmagi dziedzica.

– Zróbcie miejsce! – krzyknął. – Stawaj, psi synu!

Bzowski wpatrywał się w szablę leżącą w błocie.

– Wstawaj i walcz! – darł się Zborowski. – Bierz broń, bękartie!

Szlachcic chwycił broń – razem z błotem, poderwał się na nogi.

– Coś powiedział?

– Żeś bękart francowatej gamratki, diabelskim

godmiszem poczęty! Bij się ze mną, Bzowski, nie może być inaczej.

Dziedzic wyprostował się, uniósł szablę. Zborowski krążył wokół niego, przypatrywał się zimno, z wyrachowaniem, którego nigdy wcześniej u siebie nie czuł. Oceniał rywala po postawie, uchwycie, sylwetce. Oceniał jego umiejętności – źle, coraz gorzej.

Bzowski trzymał szablę za wysoko, za daleko od siebie, nie jak spokojny gracz na ostrza, który podnosił brzeszczot dopiero w chwili ostatecznego zagrożenia.

Samuel skoczył w przód, do wroga, ciął z góry, w łeb, zwykłą primą, krótką, bo z nadgarstka. W zasadzie nie miał szans, by dosięgnąć rywala, lecz Bzowski uniósł ostrze do zastawy.

Zborowski przeszedł w młyniec, zafurkotał przed obliczem szlachcica, a tamten cofnął się, pośliznął w błocie, pokazując aż nadto wyraźnie, że każdy, kto oddaje pole z byle powodu, nie jest do końca pewien swych zamiarów.

Samuel ciął na głowę, z nadgarstka, Bzowski zasłonił się, biorąc cięcie na zastawę – tuż przed własnym czołem. I z tego położenia szabli uderzył na odlew, w stronę piersi Samuela. Ten, widząc, co się święci, przysiadł jeszcze niżej na nogach, odchylając jednocześnie tułów jakby w odwrotnym ukłonie. Szabla szlachetki przeleciała przed piersią i wylądowała w błocie tuż przed prawą nogą Zborowskiego. Wydawało się, że odpowiedź Samuela będzie ostateczna. Uderzył w lewą stronę głowy, lecz pióro szabli trafiło w trzęsień, przecinając go na pół, co osłabiło siłę, ratując Bzowskiego.

Krzyk i wrzawa wśród semenów!

Już teraz wiedział, że ma nietęgiego przeciwnika.

Obchodził tamtego z lewa, z prawa, bawił się jak kot myszą. Opuszczał szablę i nagle, niespodziewanym ruchem ją podnosił – jakby chcąc ciąć tylcem pióra. Za pierwszym razem Bzowski odskoczył, za drugim już tylko drgnął; uczył się poskramiać złe odruchy, ale prawda o jego zdolnościach wyłaziła na wierzch jak szydło z worka.

Zborowski chlasnął raz, drugi, przyparł Bzowskiego do kręgu Kozaków, którzy wcale nie cofnęli się przed walczącym – przeciwnie – wypchnęli dziedzica do przodu, prosto pod szablę Samuela.

Wtedy zaświecił bękartowi sztychem w oczy. Staął, pokazując Bzowskiemu, gdzie miejsce chłopskich synów i nieprawych baków, odpowiedział ciosem z zamachu, a Bzowski uderzył z góry – próbując zbić ostrze.

Nie wyszło; Samuel wykpił się obejściem – półksiężycem w lewo i zaraz, kiedy przeciwnik poprawił drugim zamachem – półkolistym ruchem w prawo. Wychodząc półmłyńcem od dołu, rąbnął rywala z lewej strony, na wysokości lewego oka...

Bzowski wrzasnął! Za późno złożył się do zastawy, cięcie z nadgarstka trafiło w rękę trzymającą broń – nie! – w sam migdał węgierskiej szabli. Od razu odpowiedział cięciem na głowę, ale niezręcznie, marnując czas i siły na niepotrzebny zamach. Zborowski zbił cios, wykorzystując jelec swojej szerpenty – na który celowo złowił ześlizgującą się główkę szabli wroga. Odbił ją w bok i zaraz chlasnął krótko – podlewem od dołu, wedle maksymy, że dobry syn Korony Polskiej czyni swą powinność na krzyż, a nie leżąc krzyżem.

Ciął Bzowskiego przez pachwinę, szamerowanie żupana, przejechał z rozpędu końcem pióra po podbródku.

Skończył sprawę, ale bez podpisu – nie zabił.

Bzowski nawet nie pisnął, padł w błoto, na kolana, chwytając się za udo, z którego jucha sikała niczym z wieprzka.

– Zborowski! – wycharczał. – Ty szelmo! Masz katowską wprawę. Widziałem... w Przemyślu.

Samuel uniósł szablę.

– Przekazać coś komuś? Jakieś ostatnie słowo?

– Bękart zabija bękartą, jak na jasełkach we Lwowie. I sam zginie...

– Nie tak zaraz. Na pewno nie dziś.

– Bracia żony mnie pomszczą... Panowie Krehowieccy... Wyciągną cię choćby spod ziemi, hultaju.

– Bracia Krehowieccy kazali mi ciebie zabić, pachółku.

– Co? Jak to... Sami... Dali ją mi...

– Co tak długo?! – zawrzasnął Hunia. I zanim ktokolwiek zdołał się zorientować, co zamierza, przyskoczył do zakrwawionego Bzowskiego, szarpnął mu głowę w tył i przejechał... szerokim ostrzem kindżału po zakrwawionej szyi. Zakończył sprawę raz, okrutnie i na zawsze. Kozackim trybem, bez zbędnych bagateli.

– Nieee! – cienki krzyk rozdarł powietrze. Ciało Bzowskiego opadło w błoto, ale nim pograżyło się w mokrym piachu, ktoś chwycił go za ramiona, próbował przytrzymać. Z kręgu semenów wyrwała się jak wilczyca młoda pani w strojnej sukni, o jasnych włosach nieprzykrytych podwiką ani czepcem.

– Krystyna?! – wrzasnął Samuel, chwycił ją za ramię, ale strąciła jego rękę w szale. Nie, to nie była jego oblubienica. Dumna, piękna i subtelna...

Jej rysy rozmyły się. To chyba... Eufrozyna Krehowiecka. Nic już nie mogła uczynić. Bzowski osunął

się na nią, oblał krwią, padł na twarz, dygotał. A jego żona, rzekoma porwana panna, klęczała nad trupem; krzyczała, wyła, darła sobie włosy z głowy.

Nic tu nie układało się w logiczną całość, ale Zborowski nie zaprzętał sobie tym głowy. Czuł tylko zimno i pustkę. Zaśmiał się drewnianym, nieswoim śmiechem.

– Panna, jesteś wolna. Zabiorę cię... do braci.

– Przekłęci! Przekłęci niech będą! – krzyczała z całych sił. – Przekłęci, chodząc i śpiąc, jedząc i siedząc, w łaźni, w kościele... Larwy niech toczą ich dusze, robaki zeżrą ciała...

– Hunia, semeni! – zakrzyknął i szarpnął Eufrozyne, próbując poderwać ją na nogi. – Wsadzić ją na wóz, szukać posagu! Brać co popadnie!

Eufrozyna zadygotała w rękach Zborowskiego. Krzyknęła cienko, przyciskając ręce do – zobaczył dopiero teraz – nabrzmiałego, napiętego brzucha. Ujrzał bladłość na jej obliczu, kiedy osunęła się w błoto obok umierającego męża.

– Wreszcie będzie cicho! – zagrzmiął Hunia. – Mołojcy, na wóz z nią, sianem podścielić.

I nagle coś zakotłowało się wokół nóg Zborowskiego jak mały orkan, poczuł jeden cios w nogę, drugi w kolano; dostał w słabiznę, aż jęknął, mdły hak bólu rozpruł go na strzępy.

Coś małego wskoczyło między niego i Eufrozyne. Kopało, gryzło, biło semenów, nie dopuszczając ich do panny.

– Sobaka! – świsnął przez zęby Hunia. Z trudem, krzywiąc się, wywlókł z kłębowiska dziewczynkę... Nie! Karliczkę, dorosłą niewiastę o wzroście dwóch, może

dwóch i pół łokcia. Szamotała się wściekle, szarpała, biła głową o pierś Kozaka.

– Trastia tebe mordowała! Idźże na hier! – wysyczał Hunia. – Patrzcie, co mamy!

– Zabij kurwę! – stęknął Zborowski, zgięty wpół z bólu. – Urwij łeb suczy!

Łatwiej to było powiedzieć, trudniej zrobić. Karliczka wiała się jak piskorz, zatopiła białe zęby w rękę Huni. I dziwna rzecz – puścił ją zaskoczony. Potem skoczyła między semenów dźwigających omdlałą Eufrozyne, wczepiła się w suknie pani, że aż musieli przystanąć, bo kopała ich po nogach, krzyczała, gryzła.

– Czort z tobą! – ryknął Hunia. Porwał za kindżał, skoczył na małą; wtedy zaczęła krzyczeć coś, co sprawiło, że Zborowski zapomniał o bólu.

– Nie zabierajcie jej! Słyszycie, szelmy?! Ona rodzi! Uroni dziecko!

Eufrozyna jęczała, krzyczała cicho z zamkniętymi oczyma. Jej suknia na dole była splamiona krwią – nie wiedzieć – męża czy własną.

Semeni zawahali się. A wtedy Zborowski dokuśtykał do Huni, chwycił go za uzbrojoną rękę, przytrzymał.

– Do dworu – wyjęczał – zabrać. A ty weź małą, pilnuj jej...

Kozacy spełnili rozkaz. We dworze trwał rabunek. Wpadli z łoskotem do sieni obwieszanej porożami jeleni, wielkimi łbami wilków, turów i niedźwiedzi. Ponieśli pannę na prawo, wlokąc za nią służkę karlicę. Zborowski szedł za nimi chmurny, wściekły, zaskoczony niespodziewanym obrotem sprawy.

Pchnął drzwi i wkroczył na lewo, do izby stołowej,

po której uwijali się Kozacy rozbijający czekanami skrzynie, zrywający ze ścian makaty i broń, wyłamujący drzwiczki do sekretarzyka, znęcający się nad wielką gdańską szafą.

Dwór był urządzony z przepychem, o jaki Samuel nigdy nie podejrzewałby księzego syna. Ściany obito brytami aksamitu, obwieszono dywańskimi kobiercami i gobelinami. Na zydlach i ławach leżały kosztowne makaty, w skrzyniach i na półkach lśniły srebrne i złote naczynia. Ogromny kafłowy piec dawał ciepło, jakiego nigdy nie było dane zażyć Zborowskiemu.

A potem poczuł skurcz boleśniejszy od cierpienia zadanego piąstką karliczki. Wszedł do alkierza i zobaczył wielkie małżeńskie łożo, na którym kwitła miłość Eufrozyny i Jakuba... Przymknął oczy, bo nagle tknęło go, że zwykły, parszywy bękart miał więcej szczęścia niż on sam. Spojrzał na sekretarzyk w kącie, kabinet, fotel, zobaczył pięknie rzeźbioną kołyskę, dziecięce sprzęty – konia na biegunach, kukielki, armatkę, rzeźbionego w drewnie Kozaka na pokracznym kucu. Zabawki patrzyły smutnym okiem na Samuela.

– Koniec! – rzekł sam do siebie. – Koniec szczęścia. Skończyło się! Nie będzie!

Z furią kopnął drewnianego konika, aż ten poleciał na ścianę, a odłamany łeppek – pod łożo. Rąbał szablą kukielki i pacynki, przerąbał sznury kołyski, aż spadła z hukiem na podłogę.

– Hunia! – wykrzyknął. – Bywaj!

– Jestem!

– Podpał wszystko! Zbieramy się!

Kozak usłużnie wetknął szlachcicowi w dłoń pochodnię. Zborowski podsunął ją pod zasłony zwieszające



się z górnej części łoża. Od razu zajęły się ogniem, płomienie zapulsowały nieśmiało.

Zborowski podłożył ogień pod łożę, przez chwilę patrzył, jak żywioł zmienia cudze szczęście na popiół i węgle, potem wrócił do izby stołowej, roztrącił Kozaków, podłożył ogień pod ławy okryte kobiercami, kopnął w wypięty zad Bohusza, który bobrował w skrzyni pełnej strojów i futer.

– Kozojebcy! – darł się ile sił w piersi. – Zbierać się wszyscy, uchodzimy! Pannę na wóz i do Żuraków! Spalcie to wszystko do gołej ziemi.

Mołojcy poczęli się miotać, bić – każdy chciał wyjść i nie stracić, zabrać co swoje ze dworu, wynieść okruchy szczęścia z izby, w której szalał Zborowski. Szaleństwo udzieliło się pozostałym semenom. Ktoś na dworze przytknął pochodnię do gontów dworu, inni podpalali gumna i stajnię, wyprowadzali rżące, wyrrywające się niespokojnie konie dworskie, zaprzęgali kolasy.

Płomienie strzeliły w górę, powiało w nich gorącym, dymem i trzaskiem ognia. Hunia gdzieś znikł, Bohusz pomagał dźwigać z łoża bladą, jęczącą Eufrozyne.

– Panna okrwawiona, iść nie może! – krzyczał przez wrzawę Hniłko, starszy nad Kozakami. – Karliczka puścić jej nie chce!

I przez drzwi wzbil się lament, płacz, szloch małej służki. Zborowski usłyszał go wyraźnie i przygryzł wargi, bo zabolalo.

– Uroniła! – grzmiało mu w uszach. – Poroniła...

Wrzucił pochodnię przez otwarte drzwi – prosto na stolik w drugiej izbie.

– Zawleczcie obie do wozu! – rozkazał. – Zanieście, jak się nie da inaczej. Podajcie konia, zbieramy dupy w

troki!

4.

– Jegomość, to jest sprawa śmierdząca jak kozacka onuca! – Bohusz unikał wzroku Samuela. – Wypada na to, że ci Krehowieccy sami i z dobrej woli wydali siostrę za bękartą Bzowskiego.

– O, proszę, panie kochanku, czyżby w końcu obudziło się w tobie sumienie?

– Uczyniliśmy straszną rzecz, jegomość. – Spojrzał na wyłożoną słomą kolasę, na której leżała podobna do trupa Eufrozyna, obok zaś przycupnęła jej mała służka. – Nie to, że sumienie, ale...

– Aleś go nie miał w ich dworze, kiedy na wyścigi bebeszyliście skrzynie i kredens! Czemu nie budzi się w tobie, kiedy okradasz mnie z każdego szeląga, którego akurat zostawiam na widoku?! Czemuś nie przeszkodził Huni urezać gardła Bzowskiemu? Może powiedziałby nam coś ciekawego do tej historii!

– Huni się boję, jegomość – wyszeptał sługa. – On jeszcze sprowadzi na nas nieszczęście. I przepadnie moje trzysta dukatów, co je nam obiecałeś, panie, jeszcze w Jazłowcu.

– Co się stało, to się nie odstanie. Nie mój grzech, nie ja go będę niósł na barkach. Mam ją dowieźć do Żuraków, to dowiozę, choćby się niebo miało zapaść, a Chrystus płakał krwawymi łzami. Ja już nic nie mam, wszystko mi jedno.

– Ale ja mam, jegomość, o wiele więcej do

stracenia.

– Ty się wywiniesz, bo jesteś frant, chociaż szelma.  
Skąd wiesz o tym ożenku?

– Od służki.

– Od tej karlicy?

– Ta karlica ma imię. To Oksa Wiszowata. Rodem z Niebiesczan.

Zborowski stuknął konia ostrogą, aż Piorun zbliżył się rysią do kolasy otoczonej przez semenów. Wojownicza karliczka podniosła głowę, Zborowski zobaczył w jej oczach wrogość i pogardę, ale uśmiechnął się do złej gry, bo przecież na trakcie do Medyki to on rozdawał wszystkie karty.

– Żyje?

– Nie przeżyje podróży.

– Masz się nią zając, mała zwodnico. Jeśli pani będzie gorzej, dojdiesz do Żuraków na własnych nogach. Wleczona na arkanie za moim koniem. Wiesz, co się stanie z tobą po czterech milach drogi? Dziś jesteś pokraka, po tym nadawać się będziesz tylko dla rakarza.

– Przymilacie się, bo lubicie karliczki, panie? Chcielibyście mnie przechędożyć, prawda? To wam powiem, że za mały kuś Zborowskich na taką przygodę.

– Milcz, bo cię uciszę nahajem!

– Nie zmilczę, póki nie dacie jej spokoju.

– Komu?

– Pannie Eufrozynie.

– Kto ma dać? Niby ja?

– Wy i panowie Krechowieccy. Trzy razy wydawali ją za mąż jak... – przez chwilę szukała słowa – niewolnicę pohańską! A wam ile obiecali?

– Siedemset. Pójdą z torbami szaraczkowie.

– Oni już karmazynowi. Pewnie nie wiecie, że stary Atanazy i młody Prandota budują pałac w Żurakach. Za każdym razem, kiedy widzieli pustki w skrzyni, przypominali sobie o siostrze. Dawali za mąż, aby potem uczynić wdową i przejąć włości.

– I niby po co opowiadasz mi to wszystko? Aby zmiękczyć moje serce? Ja jestem Samuel Zborowski, przeklęty za życia, droga kurduplico. Nie będę płakał, bo wypłakałem oczy, nie będę się modlił, bo i tak jestem potępiony.

– Będę się modlić, abyście jak najszybciej zaznali piekła.

– Nie życz bliźniemu, co tobie niemiłe, bo sama zaznasz tego za życia. – Wskazał Hunię.

– Wołaj go, strachu na stare baby!

– Ej, bo popamiętasz!

Oksa nawet nie patrzyła na niego. Jej oczy rozszerzyły się, kiedy spoglądała na panią. Zajrzała pod derkę, którą Eufrozyna była okryta, i krzyknęła przeraźliwie.

– Pani! Pani! Moja pani krwawi.

– To ją opatruj!

– Na drodze? Jedźcie do karczmy! Błagam!

Zborowski skinął na Hunię, a ten poprowadził cały pochód w lewo, w pełną drogę do wsi. Samuel nie słyszał i nie chciał słuchać ostatnich krzyków i pretensji Oksy, które być może wstrząsnęłyby zwykłym człowiekiem.

– Pospieszajcie! Przecież ona poroniła we dworze! Lecz on, Samuel, nie przerażał się nimi, bo już nie wątpił, że po tym wszystkim był potępiony ze szczętem.

5.

– Mów, co chcesz, ale nie ma sprawiedliwości dla takich jak my. A żeby tak murwa moja mać żywcem do nieba poszła, jeśli lżę.

– Czy my, Hunia, paśliśmy razem świnie, że mówisz do mnie jak do równego sobie?!

– Mówię samą prawdę, raczcie wybaczyć, jaśnie oświecony urodzony mości panie Zborowski, podnóżku mój najuniżeński.

– Chciałeś chyba powiedzieć: bękartcie i wywołańcu?

– Nie pochlebij sobie, pane szlachtycz. Wywołańcem to ty dopiero będziesz, a i to tylko jeśli pani Eufrozyna albo Mohyłowice złożą na ciebie protestacje. Bękartem nie jesteś, bo w przeciwieństwie do mnie znałeś swojego ojca, chociaż słabo, bo go zabrali od żony jeszcze w noc poślubną w Piekarach. Jesteś za to najwyżej pogrobowcem, jak wasz niejeden król czy książę.

– Co mi tu gadasz?

– Abyś się, panie wielmożny, przestał bić z myślami. To nic nie da. Zrobiono ci krzywdę, to ją pomścij. Nie możesz zapomnieć, to się upij.

– Wypatruj lepiej karczmy, Hunia.

– Nic tam nie zwojujemy, mospanie. Karczma w szwach trzeszczy od ludzi.

– Skąd wiesz, skoro jej nie widać?

– Kościół blisko, słyszałem, jak dzwonili na podniesienie, a dziś niedziela. To gdzie po kościele idzie społeczeństwo naród szlachecki i plebejski? Do karczmy!

Kozak miał rację. Szynek był pełen ludzi. Pijani,

czerstwi chłopci zataczali się pod podsieniami, z daleka grała muzyka, czerniały konie przy kolasach, zajadające obrok z worków.

Zborowski podjechał pod wrota wiodące do przejazdowej sieni i stanu na tyłach karczmy. Okrzyknął karczmarza, aby, do diabła, ktoś przyszedł po konie, a kiedy z wrót wyłonił się pacholek, prawie najechał na niego Piorunem.

– Opróżnij izbę, zajmujemy całą!

– Izba zajęta, panie – wymamrotał sługa. – Nie można, bo jarmark. Wielgomożni panowie piją!

– Nie widzisz, suczy synu, że mamy tu chorą?!

– Stodółka wolna, na sianie można...

– Na jakim sianie, ciemiego! Ona ledwie dycha.

– Hryć! – ryczał ktoś przez okno. – Gdzieś ty!

Panom piwa utocz!

– Nie lzia w izbie. To ja... po gospodarza.

– Stój!

Bosy pacholek nie zastosował się do tego polecenia. Chciał przemknąć między końmi semenów. Złe zrobił, bo Bohiń Huni zagroził mu drogę. Sługa Zborowskiego wznosił rękę; nahaj świsnęła, chlasnęła chłopaka przez ramię, pierś, odrzucił jak kukłę między wierzchowce, szybko schwytało go tam kilka mocnych ramion.

– Semeni, za mną! – zakrzyknął Zborowski, zeskakując z Pioruna, przerzucił wodze przez płot, wyszarpnął z tulei nadziei.

I ruszył do karczmy, rozeźlony, brzęcząc ostrogami.

Wpadł do sieni zastawionej beczkami, zadymionej, parnej, wyminął pijanych chłopów i hajduka, który nieporadnie gramolił się przez próg, wszedł do izby karczemnej; w uszy uderzył go gwar głosów, krzyki,

śpiewy, w nozdrza wwiercił się szpetny swąd przypalonego sadła, dym i woń spoconych ciał. Na ławach bawiła się szlachta, same szare i zielonkawe typy nader podlej kondycji, z zaścianków, dworzków i gościńca. Panowie Wiechcińscy, synowie Wiehcia, a pewno i paru sołtysów, młynarzy – wiejscy patrycjusze spod znaku strzechy, cepa i sztachety.

Przepchnął się do szynkwasu, za którym stał posiwiasty chłop w siermiędze i skórzanym fartuchu, nalewający piwa z beczki w takim skupieniu, w jakim pracować musiał Pan Bóg rzeźbiący w glinie biblijnego Adama.

Zborowski odepchnął szlachetkę w postrzępionym żupanie, stanął przed karczmarzem.

– Potrzebujemy izby! Mamy chorą niewiastę!

Karczmarz nawet nie podniósł głowy. Ciągłe nalewał piwo cienką strużką do cynowego kufła.

– Chcemy izby!

– Słyszałem waszą mość! – odparł karczmarz, nie przerywając nalewania.

– Dawaj komnatę!

– Widzicie, że nalewam. To chyba... nie da rady.

I wtedy dostał nadziakiem w łeb, odleciał aż pod ścianę; czerwona posoka trysnęła pod powalę zawieszoną pękami ziół. Ciężar padającego ciała wyrwał broń z ręki Zborowskiego, nadziak poleciał na szynkwasa. We wściekłości i szaleństwie Samuel nie uderzył obuchem, ale zagiętym ostrzem!

W izbie wstał wrzask, hurgot. Wtedy Samuel odwrócił się do swoich i krzyknął:

– Semeni! Prać!

Kozakom nie trzeba było dwa razy powtarzać.

Wpadli w dziesięciu do izby; zabłysły dobyte szable, zagrały do taktu nahaje, zafurkotały czekany. Rzucili się na pijanych szlachetków – bo chłopci, widząc, co się święci, od razu zapadli pod stoły, pouciekali do okien. W izbie nastał sądny dzień. Kozacy wyli, smagali batami, chwyтали rozwrzeszczanych szaraczaków i wlekli ich do drzwi, wyrzucali oknem lub posyłali w stronę wyjścia celnymi kopniakami, zanim nieszczęśni zdołali złożyć protestację od takiego traktowania. Zborowski wpadł z szablą na jakiegoś warchoła, zbił ostrze, rąbnął go ręką między oczy, kopnął drugiego, powalił do spółki z Hunią trzeciego.

Nagle w izbie zrobiło się pusto.

– Wyrzucić wszystkich! – ryczał Zborowski. – Zrobić miejsce! Nieście tu panią Eufrozynę!

Wir przeszedł, bójka się skończyła, ze dworu dochodziły jeszcze wrzaski i urągania gości gnanych batogiem precz od karczmy. A na pobojowisko karczemnej izby wkroczyło czterech mołojców dzwigających derkę z błądą, zamarłą Krystyną. Wyglądała tak pięknie, że Zborowski aż pochylił się nad nią...

I wtedy uświadomił sobie, że widzi nie narzeczoną, ale panią Bzowską, eks-Krechowiecką. A teraz tak naprawdę wdowę u bram zaświatów. Oksa dreptała z przodu, przytrzymując głowę.

Złożyli Eufrozynę na największym stole. Karlica rzuciła się do nóg pani, Samuel śledził jej poczynania z niepokojem.

– Żyje? – zapytał ochryple. – Ratuj ją albo nie dożyjesz nocy!

– Prawda, tu leży twoje siedemset złotych! – pisnęła. – Nisko oszacowałeś głowę pana Bzowskiego. Jak myślisz, na ile wyceni cię małodobry?



– Milcz i ją ratuj! Umrze, pójdziesz do piekła w strzepach, diabelskie nasienie!

– Nie będzie chciała żyć.

– Też nie chcę, ale muszę. – Rozłożył ręce. – Rób swoje!

Odciągnęła spód sukni w górę. Szarpie i lniane ręczniki były przesiąknięte świeżą krwią. Karliczka szepotała coś do pani, wyjęła flakon, wlała coś w usta omdlałej Eufrozyny.

I dziwna rzecz, ale pani wdowa się przebudziła. Otworzyła oczy i zaraz zamknęła, widząc dzikie oblicza Kozaków i jeszcze gorsze – mroczne i nieprzeniknione Zborowskiego.

– Oksa! – Palce Eufrozyny szarpały sukienną opone i brzeg derki. – Gdzie dziecko?!

– Nie myśl o tym – jęknął Samuel jakby dźgnięty sztyletem. – Musisz żyć. Czekaają na ciebie...

– Dziecko urodziło się martwe – rzekł Hunia, jakby delektując się okrucieństwem własnych słów. – Chłopiec. Podobny do Bzowskiego. Bękart spłodził arcybękartą!

– Boże jedyny – wyglądało na to, że słowa Kozaka docierały do Eufrozyny, jakby ktoś wołał z dalekiej góry – gdzie moje dzieciątko?! Przynieście je... Proszę, błagam...

– Dzieciątko zostało w Krzeczkowej. Pan kazał je pogrzebać pod krzyżem, jako niechrzczone...

– Zawrzyj gębę! – rozdarł się Zborowski. – Albo zamilknie na zawsze.

Do diaska, dlaczego nie miał w ręku nadziei... Zgubił go gdzieś w izbie w zamęcie, pierwszy chyba raz w życiu.

– Moje dziecko... Oksa... ratuj!

Eufrozyna zamknęła oczy i nagle stała się biała,

biała jak chusta.

Zborowski chciał chwycić karliczkę za kark, wymknęła mu się zwinna jak łasica.

– Ratuj ją! Do wszystkich diabłów!

Oksa poczęła potrząsać panną, policzkować policzki, szlochać, lać w usta tajemniczy eliksir.

– Odchodzi! – zaszlochała. – Potrzeba cyrulika, wołajcie go, szybko! Och, coście uczynili!

– Gdzie go szukać?!

– W Tarnawcach, odnajdźcie Jewłaszewicza, Ormianina. Poślijcie po niego albo się módlcie!

Zborowski strącił kapuzę ze łba Huni, uchwycił Kozaka za oseledec, przyciągnął do siebie.

– Pojedziesz ze mną, synu ruskiej małpy! Sam jeden! Zbieraj się.

Hunia uklonił się, ale z ust nie schodził mu szydery uśmiech.

– Bohusz, przejmiesz komendę! Postaw strażę przy oknach, każ nabić rusznice! Pilnuj panny jak oka w głowie, bo jeśli ją stracisz, wydrę ci oba ślepia! Dawajcie konia!

– Twój nadzieiak, panie. – Hunia wyskoczył jak zwykle niczym diabełek z pudełka i wręczył Zborowskiemu okrwawione, choć ozdobne żelazo. – Piękny i srogi cios. Stary chamisko już nigdy nie wstanie! Tylko – ściszył głos – pacholeta płaczą. Też je uciszyć?

Zborowski popatrzył na ostrze pokryte zakrzepłą posoką. Hunia miał rację. Cios okazał się śmiertelny. Z czarnej izby niósł się cichy, przytłumiony szloch dzieci karczmarza.

6.

Kiedy w godzinę później wrócili na spienionych koniach, wlokąc na luzaku wystraszonego cyrulika, karczma była ciemna i wyludniona. W Tarnawcach Zborowski nie bawił się w żadne gadki ani bagatele. Dał Ormianinowi do wyboru sto złotych za życie panny Eufrozyny albo kulę w łeb, a potem wsadził siłą na konia i uwiózł na oczach mieszczan i chłopów prosto do karczmy, w której spoczywała bardziej umarła niż żywa wdowa. Zborowski pierwszy zsiadł z konia, a Hunia, choć nie wielkolud, podskoczył do Jewłaszewicza i ściągnął go z podjezdka tak, że nieszczęsny cyrulik spoczął na jego ramieniu, przewieszony w pół jak młodocia. Hunia poklepał go czule po plecach i ruszył żwawo za panem.

– Bohuuusz! – okrzyknął Samuel sługę. – Pani Krechowiecka żywa? Wszystko dobrze?

– Żyje, żyje! – ozwał się ponury głos sługi. – Ledwie dycha.

– Otwierajcie!

Zaszurały żelazne zasuwę i drzwi do sieni przejazdowej otwały się na tyle, aby Zborowski mógł precyzyjnie się do środka. Wszedł do wnętrza, prowadząc za sobą Pioruna; zobaczył się skąpo rozświetloną żółtawym blaskiem latarni. I długi rząd powiązanych w kij postaci pod ścianami. Semeni! To była pierwsza jego myśl. Druga że Bohusz zdradził albo został przymuszony do zdrady.

Trzeciej myśli nie było. Coś ciężkiego spadło mu na łeb, zanim zdołał chwycić szablę, obaliło w dół, wciągnęło

w lepki mrok. Czyjeś ręce przytrzymały go niczym kleszcze. Usłyszał jeszcze krzyki Huni, jęk nieszczęsnego cyrulika, jakiś wrzask i hurgot – jakby ktoś wywalił stos beczek. Powinien krzyczeć, ale nie mógł. W ogóle nie poczuł strachu; bo w sumie było mu wszystko jedno, co się z nim stanie.

7.

Powlekli go gdzieś obok karczmy, zerwali delię, kołpak, odebrali szablę, obdarli do koszuli i obalili na ziemię, nie żałując kopniaków ani kułaków. Te uderzenia przypominały mu czasy nauki w kolegium, kiedy blady i głodny, obdarzony przez księdza rektora mało szlachetnym mianem „bąka”, służył za popychadło możniejszym kolegom. Ot, zwykły pacholik do noszenia drew do pieca i nadstawiania pleców pedlowi w zamian za jaśnie oświecone zadki Zborowskich, Sobieskich i Lubomirskich. Równych, lecz lepszych od pogrobowca, nie do końca uznawanego przez własny ród.

Przewrócili go, krępując wcześniej mocno ręce za plecami. Poczuł pętlę zaciskającą się na szyi i sznury na nogach. Chcieli go wieszać, to była jakaś odmiana, bo do tej pory groziła mu głównie śmierć od kuli i żelaza.

Zobaczył niebo nad sobą i posępne oblicze naznaczone blizną. Chudy, siwy szlachetka o zaciętej gębie pochylał się nad nim, przygryzając wąsa.

– Zborowski, bój się Pana Boga – rzekł. – Tylko on może się nad tobą zmiłować. Ja nie zamierzam.

– Grzeszysz pychą, bracie. Pospołu będziemy w

piekle.

– Wygrzejesz mi miejsce w diabelskim kotle. Za to, coś uczynił. Jesteś czartem, poganinem, bestyją. Usiekłeś bez przyczyny dobrego pana, co nawet na chłopą nigdy nie podnosił ręki.

– Sam był z chamów. Chłop miałby chłopą batożyć?

– Jak dawno służysz tym diabłom z Żuraków? Gadaj, bo każę cię osmagać! Jak długo zabijasz dla Krehowieckich? Ty zamordowałeś Konstantego Zgłobickiego?

– Wy mi powiecie, kto to.

– Jej poprzedni mąż.

– Czyj?

– Nie zgrywaj głupka, bo i tak się nie wywiniesz.

Poprzedni mąż Eufrozyny. Mój synowiec.

– To ona miała jakichś mężów przed Bzowskim? Ciekawe.

– Zaprawdę tak tobą gardzę, Zborowski, że zadławię cię niczym hycła. Nieszczęsna poroniła przez ciebie, martwego syna. Kazałeś go w polu pogrzebać, ludzi pobieść, karczmarzowi wbiłeś żelazo do łba. A lata wcześniej zabiłeś jej dwóch poprzednich mężów: Zgłobickiego i Dębskiego. Zabiłeś... Gdyby to w równej walce! Ty ich zamordowałeś skrytobójczo dla Krehowieckich.

– Tak jest, a przy okazji sprowadziłem potop, szarańczę oraz ukrzyżowałem Chrystusa – prychnął Zborowski, bo było mu wszystko jedno.

– Nieważne, jak było. Dąbski dał głowę na polowaniu. Postrzał, niby przez przypadek. Ale ja wiem dobrze, jak było, bo zaraz Krehowieccy wzięli pannę pod opiekę, a razem z nią dobry spadek. Potem wydali

Eufrozynę za mego krewniaka. Temu zadali nieszlachectwo, drwili, wykończyli pozwami. Właśni słudzy zarabali go w końcu obuchami i rzucili w gnojowicę, potem uciekli. Teraz już wiem, kto to sprawił!

– Pomścisz krewniaka? A może zabijesz żal, że nie dali Eufrozyny właśnie tobie?!

– To nie ma znaczenia. Takich jak ty wbijaliśmy na pale na Dzikich Polach, gdzie trzymałem straż.

– Waść kwarciany? Niechaj zgadnę, byłeś za czeladnika czy psiarczyka w poczcie?

– Ukażę cię po żołniersku. Za Konstantego.

Stary pokazał coś za nogami Zborowskiego, a szlachcic na chwilę oderwał głowę od ziemi. To, co zobaczył, nie wyglądało zachęcająco.

Od jego nóg szedł sznur zwinięty kilkakrotnie w pętlę na trawie. Drugi koniec przywiązany był do łuku kulbaki na grzbiecie Pioruna, przytrzymywanego przez dwóch ludzi w siermięgach. Co gorsza – Zborowski czuł za plecami drugi sznur – uwiązany do jego skrępowanych rąk, biegnący do drzewa albo słupka.

– Twój własny koń – wycharczał siwy i mało dobry nieznajomy – powyrywa ci ze stawów kulasy, połamie kości i ramiona. Przeżyjesz, powlecziemy cię do starosty. Zginiesz, zakopimy w dole jak psa.

– Bez świętego sakramentu, mój ty rycerzu niepokalanej dziewicy?

Zgłobicki splunął Zborowskiemu w twarz.

– Masz tutaj absolicję, dytczy synu! Reszta zależy od twego konia. Zobaczymy, jaki jest wspaniały. Semko, Łeśko, puszczajcie!

Samuel poczuł, że robi mu się zimno.

„Tuś mi, Samusiu, dasz gardło” – szeptał mu w ucho

głos ojca. „Nie ma sprawiedliwości ani sumienia, nie mieli jej dla mnie, nie będą mieć dla ciebie. Broń się, synu! Nie bądź jak baran w rzeźni. Cała nadzieja w koniu. Podchodziłeś do niego jak przyjaciel? Pieściłeś żrebca? To teraz wołaj go!”

Wszystko potoczyło się szybciej niż uderzenie kopią w cwale. Twarde chłopskie graby wypuszczające wodze Pioruna, Zgłobicki klaszczący w dłonie, zniecierpliwiony koń opuszczający łeb, ruszający do przodu.

Sznur naprężył się!

– Piorun, stóóój! Stóój! – zawołał Zborowski. – Stawaaaaj!

Koń strzygł uszami, podgiął łeb, oglądał się, szukając pana. Ruszył, ale zatrzymał się, podskoczył.

– Hejże ha! Ruszaj! – zakrzyczał Zgłobicki.

– Stój! – zakomenderował Zborowski. – Piorun! Ani mi się waż!

I nagle ręka siwego szlachcica chwyta za nahaj, świst bicia w powietrzu, cienka jak wąż pleciona skóra opada na zad konia!

Piorun wyrzuca przednie kopyta do góry, przysiada na zadzie, skacze w przód, ciągnąc linę...

– Stóóóój! – krzyknął Zborowski. – Czekaaaaaj!

Drygant wyciągnął łeb w górę, kiwnął nim ze złością, a wtedy Zgłobicki znów chlasnął go po zadzie niczym pijany woźnica, karząc biedne zwierzę za wszystkie grzechy Zborowskiego.

– Czekaaaaaj! – rzucił komendę Samuel. – Stóóój!

– Hajda! Ruszaj się, bydlę śmierdzące!

Koń szalał. Za każdym razem wspinał się w górę, czynił krok, dwa w przód, cofał się, rzucał łbem. Wściekły Zgłobicki wyrwał rusznicę najbliższemu chłopu i zamierzył

się do...

– Nie rób tego! – zakrzyknął Zborowski.

Stary żołnierz wcale nie mierzył do konia. Nacisnął spust, kołowy zamek sypnął iskrami, huk wstrząsnął powietrzem. Kula przeszła tuż obok kosmatych uszu konia.

Ale drygant był ostrzelany jak stary puszczał i wbrew ognistej naturze nie ruszył się z miejsca.

Bohosiewicz wściekły, spocony złapał za szablę. Może i pokroiłby jeńca, gdyby nie fakt, że w tej samej chwili Zborowski krzyknął coś, co sprawiło, że wszyscy drgnęli.

– Piorun! Leć!

Koń zerwał się do galopu. Skoczył, pochylając łeb, pociągnął zwój sznura, który błyskawicznie zaczął rozwijać się z pętli!

Stary żołnierz uniósł brwi ze zdumienia, ale Samuel nie zamierzał zadawać sobie śmierci. Z okrzykiem bóleści naprężył ramiona tak, że zatrzeszczały więzy. I nagle, drwiąc sobie z Boga, zemsty i Zgłobickiego, rozerwał sznur jednym krwawym ruchem.

Wyswobodził ramiona, podniósł się i nim ktokolwiek zdołał choćby pisnąć, chwycił sznur uwiązany do nóg, owinął wokół ręki i przewrócił się na brzuch.

Koń szarpnął liną, w jednej chwili powlókł go za sobą, na gościniec.

– Dokąd!? – wrzasnął siwy szlachcic. I dodał cicho, zbity z pantaląku: – Jak to?!

Chłopi wrzasnęli, rzucili się za Zborowskim bezładną gromadą, nie ma wszak rzeczy dorównującej chłopu chytrą. A jednak przechytzyli!

Ledwie Piorun wyciągnął zabłoconego Zborowskiego na niedalekie pole, szlachcic okrzyknął go



rozpaczliwie, szarpnął się uczepony sznura, zakolebał.

Koń zwolnił, zastrygł uszami, zatrzymał się, podnosząc łeb, a wtedy Samuel podciągnął się na linie, skoczył na nogi. Stopy miał związane, więc dał jednego rozpaczliwego susa, potem drugiego, trzeciego; zatrzymał się za końskim zadem, sięgnął ręką, z której przegubu sączyła się krew, pod tylną ławkę tureckiej kulbaki, tam gdzie pod skórzaną terlicę wetknięty był krótki wenecki sztylet.

Zborowski wyrwał go, przeciął sznur kępujący nogi przy kostkach, a potem, zamiast się odwracać, skoczył na kulbakę, łapiąc lewą dłonią za przednią kulę łęku.

Piorun zawrócił na zadzie, prawie w miejscu. I prowadzony pewną ręką runął galopem prosto na nadbiegających chłopów.

Przywitali go wrzaskiem i obelgami. Największy rezun nadstawił spisę, inny zamachnął siekierą, ale rozpędzony drygant wpadł w nich jak wichler, rozproszył, przebił się jak przez młody las. Zborowski przygiął się do kulbaki, schował za mocnym grzbietem Pioruna, przeleciał przez podwórzec i wpadł prosto na podsienia karczmy. Osadził konia i przerzucając prawą nogę nad szyją Pioruna, zeskoczył wprost na Zgłobickiego.

Stary okrzyknął chłopów, podniósł do oka rusznicę, wymierzył w pierś Samuela.

Szlachcic wpadł nań jak burza, porwał zakrwawionymi rękoma za lufę. Zgłobicki nacisnął na spust!

Strzał nie padł!

Zborowski wyrwał rusznicę jednym ruchem, szarpnął ku sobie i zanim szlachcic zdołał dobyć ormianki, rąbnął w łeb kolbą. Poprawił jeden raz, drugi... Nie było

trzeciego, bo stary gruchnął na deski podsieni jak pień.

– Mówiłem, żebyś nie strzelał! – zakrzyknął z furią Samuel i rzucił się do wrót. Zamarł w pół kroku, bo dojrzał zarys ręki wyciągającej półhaka! Z tyłu słyszał krzyk nadciągającej czeredy chłopów, sapanie, wrzaski i wyzywanie od matek.

Urodził się w czepku, bo nagle za srogim, wąsatym chłopem, który wymierzył w Samuela, wyrósł dobrze znajomy zły cień, nieodstępny duch, kozacki czart...

Nikifor Hunia!

Otoczył lewym ramieniem łeb gorliwego poddanego Zgłobickich, prawą wbił kindżał w plecy, nieco poniżej krzyża, w słabiznę, którą miało w tym miejscu każde boże stworzenie.

O rety! On to wszystko zrobił w biegu. W jednej chwili chłop unosił półhaka, w drugiej już konał, a w trzeciej Hunia pędził w swoją stronę.

I tu rozminęli się ze Zborowskim. Samuel krzyczał, Kozak nie słuchał.

– Do wrót! – ryknął szlachcic. – Uwolnimy semenów. Nikifooooor!

Hunia przeskoczył chruściany płot, wpadł między dynie i słoneczniki, marchew i pietruczę, pognął za karczmę, znikł...

Zborowski nadaremnie szarpał się z drzwiami. Były zamknięte od wewnątrz, zaryglowane sztabami. Do kroćset fur diabłów, w środku byli jego ludzie!

Za późno! Usłyszał za sobą łoskot kroków, sapanie. Gdy on mocował się z drzwiami, chłopci zbliżyli się do podsieni. Szli ławą, jak tatarski zagon, niby osacznicy w puszczy, kiedy wytropili zwierza. Wilk był sam, bez broni.

Nie śpieszyli się.

Szlachcic obrócił się ku nim z gołymi rękoma. Zgubił gdzieś sztylet. Był zabłocony, pokrwawiony. Zobaczył uniesione topory, kordy, kiścienie, szable, drągi, a nawet sztachety.

– Brać go, chłopy! – zakrzyknął jeden, brodaty, tak zarośnięty, że na jego gębie widoczne były tylko czarne, błyszczące oczy. – Bić czym popadnie! Za pana!

Dwudziestu na jednego.

Zborowski przymknął oczy. Hunia go zdradził, opuścił w chwili próby.

Stał i czekał na pierwszy cios. Nie chciał ich prosić o łaskę, nie bronił się. Może nie zabiją od razu, może w poturbowanym ciele zachowa się choć ostatek duszy?

– Huniaaaa! – wrzasnął. – Do dytka!

To było dziwne, ale cios nie padał.

Otworzył oczy i nagle zobaczył, że nie jest sam. Drzwi otwierały się coraz szerzej, a z karczmy wysypywali się semeni Krehowieckich, pokryci świeżymi ranami, poobdzierani ze świt i butów, a jednak zbrojni w szable i rusznice.

Huk omal nie urwał mu głowy, gdy lufy plunęły ogniem. Otworzył usta, ale to nie pomogło. Kłęby dusznego, siarkowego dymu spowiły podsienia. Kiedy zrzedły, zobaczył tylko migające bosc pięty uchodzących chłopów. Semeni popędzili za nimi, niesyci zemsty. Zborowski wszedł do sieni, napotykając na progu szydercze spojrzenie Huni.

– Nikifor, dziękuję.

– To nie dlatego. Po prostu... Ja sam kiedyś cię zabiję, tymi rękoma. – Podniósł smukłe, śniade dłonie. – Klnę się na duszę nieznanego mi ojca, że kiedyś to uczynię. Jeszcze nie dziś, nie jutro.

Roześmiał się złym śmiechem, który brzęczał w uszach Zborowskiego, kiedy szlachcic szedł do gościnnej izby, z niej zaś do alkierzyka, gdzie złożono Eufrozyne.

Spoczywała na stosie futer, a jej pierś podnosiła się i opadała spazmatycznie.

Przy posłaniu klęczała Oksa i... wolny, nieskrępowany Bohusz.

– Sława Bohu, żyje! – rzekł, widząc Samuela, ale nie podniósł wzroku.

– Chwała Najwyższemu, nie tobie. Byłeś w łaskach u Zgłobickiego, że nie leżysz związany w kij?!

– Cyrulik zginął, kiedy Hunię brali. Kozak zasłonił się nim i Ormianin dostał kulę zamiast niego. Ktoś musiał czuwać przy pani...

– Tymczasem pana rozrywali końmi.

– A wyglądam wam na Zawiszę? Przecie – Bohusz smakował słowa jak piołun – nie rozerwali.

– Jeszcze rozerwą – uśmiechnął się Zborowski. – Ale nie tego, co trzeba.

8.

– Raz na wozie, raz pod wozem, to znaczy pod koniem – rzekł Zborowski do Zgłobickiego, którego rozebranego do koszuli przywiązano do własnego konia, narowistego, gniadego turka o suchym łbie. – Jak zdechniesz, pozdrów szatana w piekle.

– Zaczekam! – zawył szlachcic. – Będę czekał na ciebie choćby sto lat, psi synu!

– Poczynajcie.

Hunia świsnął nahajem, bat wbił się w zad turka. Wierzchowiec szarpnął się na wodzach – przytrzymywanych przez trzech semenów.

Drugi był Hniłko. Ciął batem z całych sił, koń wierzgnął, strzelił z tylnych kopyt, szarpał się i pienił.

Okładali go ze świstem, raz, drugi, trzeci, czwarty, do granic bólu, do szaleństwa!

– Dość! Puszczaj!

Spieniony, oszalały z bólu rumak skoczył przed siebie, wlokąc wrzeszczącego, związanego szlachcica po kamieniach, wykrotach i korzeniach. Wpadł na pole, z niego na rżysko. Tam dojechali go konni semeni, dopadli boków, chlaszcząc nahajami, gwizdząc, pohukując.

– Pogoniaj go aż do Sambora! – ucieszył się Hunia. – Haj, mięso od kości odejdzie!

– Patrzcie i pamiętajcie! – rzekł Zborowski do pozostałych. – A zwłaszcza ty, mała wiedźmo. Jedziemy teraz do Krechowieckich i jeśli któryś z was puści parę z ust, że panna poroniła, zrobię z nim to samo co ze Zgłobickim. Patrz. – Chwycił Bohusza za tłusty podbródek i zmusił go, aby spojrział za uciekającym turkiem i starym kwarcianym, którego krzyk cichł w oddali. – Ty nie wytrzymasz tak długo.

Hunia śmiał się złośliwie, zacierał ręce jak po dobrym *theatrum*.

– Brać panią na wóz. Ruszamy!

9.

Krechowieccy czekali na nich w Żurakach, wiosce,

a raczej zaścianku, jakieś trzy mile od Włodzimierza, w niewielkiej dolince, którą wyrzezał Bug toczący błękitne wody wśród lasów i ukwieconych łąk. Bracia z czeladzią zgromadzili się przed dworem, a raczej chałupą awansowaną na szlachecką siedzibę przez dobudowę krzywego ganku krytego dranicą. Gospodarstwo tonęło w błocie i składało się jeszcze ze stodół, krzywych kleci i szop, między którymi przechadzały się gęsi, gdakały kury, wałęsały się psy.

Nieopodal domostwa, wśród zaściankowych chat, wznosiły się ni stąd, ni zowąd niedokończone ściany ogromnego pałacu – kamienne, nieotynkowane, wzmocnione ceglami. Pałac proporcje miał stałe i dobre, okna wszystkie równe, wejście do sieni i piętro. Śmieszne jednak, że był ściśnięty między drewnianymi budowlami jak szczupak w beczce śledzi. Z obu rzędów okien rozpościerałby się zatem widok na obórki i chlewy, a nie na ogród, drogę obsadzoną lipami i podjazd, na którym stawałyby karety i kolasy. Tutaj w ogóle nie było na niego miejsca.

Cóż, co zaścianek, to obyczaj.

– Panu Zborowskiemu cześć i chwała! – zawołał Atanazy, kiwając ręką z daleka. – Wszystko, jak widzę, poszło niby z płatka!

– Nie wszystko! – odgryźł się Zborowski. – Były komplikacje, wystąpiły errorry i konwenanse, ale nie będę was w to wszystko mieszał.

– Pani siostra?! – zachłysnął się Atanazy. – Żywa?

– Żywa, choć chora. Da Pan Bóg, wydobrzeje!

– To bierzcie ją żwawo!

Semeni do spółki ze służbą dworską dźwignęli Eufrozyne z kolasy, ale Zborowski zagroził im drogę.

– Ja pannę przywiozłem, wy się rozliczajcie. Z rączki do rączki, jak Żydzi.

– Prawda, prawda. – Starszy pacnął się z rozmachem w czoło. – Na ile to myśmy się umawiali, a?!

– Na całe siedemset złotych. W dobrej monecie.

– Siedemset, siedemset – zamruczał starszy. – Murwa palica, chodź pan z nami, panie Samuś, służba gorzałki przyniesie.

– Służba przyniesie pełną kabzę. A ja napiję się za wasze zdrowie w zajezdnej karczmie.

Bracia spojrzeli na siebie smutno, ale Zborowski tylko się uśmiechnął i położył dłoń na szabli.

– Panie Samuś, czekajże trochę, przecie my biedni ludzie.

A młodszy zaskrzeczał grubo, paskudnie:

– A skądże my mamy wiedzieć, czy bękart ubity? A jak tu wróci i nas zajedzie?!

Zborowski rozłożył ręce, zacisnął je w pięści, bo brała go coraz większa złość.

– Nie wróci – odezwał się Hunia. – Masz...

Cisnął do Prandoty wypchany worek.

– ... panie bracie! Sprawdź, czy nie ma go w środku.

Krechowiecki młodszy pociągnął za sznur, rozsypał i...

Wrzasnął, wypuścił sakwę z rąk. Uderzyła z głuchym stukiem o ziemię. Tam była głowa Jakuba Bzowskiego.

W innych okolicznościach Zborowski przekląłby Hunię aż do ostatniego pokolenia. Teraz jednak, w obecności dwóch wzbogaconych famulusów, sługa spełnił zadanie co do joty.

– Zabierzcie to! – jęknął starszy Krechowiecki. –

Nie stóście tak, waszmościowie!

Zborowski dał znak. Hunia podniósł worek i odszedł. Wtedy Atanazy skinął na brata.

– To idź!

– Sam idź!

– A może ja pójdę. – Samuel wyciągnął szablę na trzy palce z pochwy.

Starszy westchnął i odszedł. Wrócił po długiej chwili, przynosząc wypchany, brzęczący trzos. Zborowski cisnął go Bohuszowi.

– Coś brakuje?!

Bohusz zważył go w dłoni. Chwilę trząstł przy uchu.

– Całych piętnastu złotych.

– No to nie ma panny Krechowieckiej. – Zborowski odepchnął semena, który stał przy kolasie. – Będzie zwać się Zborowska, a po posag sam się do was zgłoszę.

– Czekać, waść, czekać! – zaoponował starszy. – Już płacimy!

I chociaż miał przy sobie więcej niż tuzin semenów, rozwiązał pas, wyliczył orty, szóstaki i talary, wręczył Zborowskiemu, który przekazał wszystko Bohuszowi. Ciekaw był, ile talarów przyczepi się do wiecznie lepkich rąk służki.

– Murwa palica – zajęczał Atanazy – czemu tak drogo!? Nie może być taniej? Choć o złotówkę opuść, waszmość pan!

– Macie! – Zborowski cisnął im pod nogi trojaka. – Na wiano dla pani starościny. A teraz bywajcie, nie chcę was znać!

– A idź! My po waści płakać nie będziemy!

Semeni dźwignęli Eufrozyne z łoża. Ponieśli na ganek, a kiedy mijali Samuela, ten nagle pochylił się,



chwycił Okse, która dreptała uczepiona ręki pani. Podniósł karlicę i zarzucił na ramię.

Służka wrzasnęła. Zaczęła go bić, okładać piąstkami, gryźć niczym mała łasica.

– Zostaw! Zostaw! Pani! Nie mogę! Puszczajcie! Zborowski roześmiał się.

– Tę małą biorę gratis. Za fatygę i nieboszczyków, których zostawiłem po drodze.

10.

Oksa nie dawała za wygraną, kiedy Zborowski wiozł ją na rękach w kulbace. Wierzgała, kopała, krzyczała, biła pięściami, co znosił ze spokojem godnym Hioba.

– Po co ją zabraliście?! – nie wytrzymał Bohusz. – Chcecie się na niej mścić?

– Sprzedamy Marcinowi Stadnickiemu, kasztelanowi sanockiemu. Oni lubują się w karzełkach, mają w Kosztowej już cały dwór z takich karypli.

– Sam masz karypla! Między nogami!

Zborowski roześmiał się. I wtedy nagle mała służka wywinęła mu się z rąk jak zwierzątko i wpiła zębami w policzek.

Wrzasnął, bo zabolalo jak diabli. Szarpał się z przeklętą, czując, że jeszcze chwila, a wyrwie mu kawałek mięsa, a przecież milej było chadzać po świecie z gładkim licem niż z dziurą w gębie.

Z pomocą przyszedł Hunia. Podskoczył bliżej na Bohiniu, złapał karliczkę za gardło, ścisnął, zdławił, odciągnął, podniósł na rękach.

Zborowski zadygotał. Czuł krew ściekającą po brodzie, płamiącą lewy wąs, ściekającą na żupan.

Rąbnął Okse pięścią w gębę, z zamachu, szybkim hakiem, aż z jej ust trysnęła krew. Cios był tak silny, że wytrącił karliczkę z rąk Kozaka, spadła między konie.

Zborowski oddychał coraz szybciej, coraz mocniej. Czuł zawrót głowy.

– Toż córa diabła i maciory!

Zeskoczył z kulbaki, cisnął precz wodze Pioruna, który odbiegł na skraj traktu i zaczął pogryzać zieloną trawę. Jego pan chwycił za kołnierz umorusaną karliczkę, powlókł ją na bok, rzucił na drzewo, aż jęknęła.

– Hunia! – zakrzyczał. – Na co czekasz?! Wiąż ją! Do drzewa!

Kozak pojął wszystko w lot, zeskoczył na ziemię jak kot, chwycił karlicę za nadgarstki, przeciągnął sznur wokół pnia, unieruchamiając Okse.

Zborowski czuł wściekłość, karlica ból, bo nagle zajęczała, otworzyła oczy.

– Co wy robicie, kozi synowie?! – zakrzyczała. – Bodaj wam kusie odpadły, oczy wygniły!

– Poczekaj, zaraz cię uspokoję!

– Panie, dość już! – zakrzyknął Bohusz. – Co wy robicie?! Ona nie wydzieli, to nie parobczak.

– Ona potrzebuje lekcji głady. Dziś będę jej preceptorem.

Hunia przypadł do boku Zborowskiego wierny jak pies. Wyciągał rękę, już podtykał panu złożony wpół nahaj.

Zborowski wyszarpnął mu go z ręki. Bohusz coś krzyczał, ale Samuelowi było wszystko jedno. Zobaczył małą karlicę zgiętą u drzewa. Nikifor przyskoczył usłużnie, rozerwał jej świętę na plecach i spodnią koszulę, odsłaniając

ciało.

I wtedy Samuel po raz pierwszy zobaczył w oczach małej łąy. Już nie krzyczała, nie darła się, nie groziła.

– Darujcie, błagam... Nie czyńcie tego. Pani mnie nigdy...

Nie ma sprawiedliwości na świecie.

Wziął zamach, z całej siły, aż nahał niemal owinął mu się wokół lewego ramienia. Wtedy zakłuło coś Samuela na piersi, pod koszulą i żupanem. Tkwiło jak cierń, uparte i bolesne. Sięgnął tam lewą ręką i wydobyl krzyżyk, ten sam, który zdjął z ciała Krystyny. Teraz była na nim krew – metal wbił mu się w ciało.

Chwilę obracał go w rękę, potem z zimnym uśmiechem rozwarł palce; pozwolił, aby upadł na trawę.

Wziął zamach i uderzył nahałem z całych sił!

Miękkie pacnięcie, świst, krzyk bólu.

Hunia zwinął się wpół, gdy jego roześmianą gębę przecięła spleciona garść rzemieni. Drugi cios rzucił go na ziemię. Przed trzecim wyprostował się, czwarty przyjął na plecy. I tak już został, zgięty, nadstawiający cierpliwie barki pod zemstę Zborowskiego.

Bił Kozaka, dopóki starczyło sił; całą siłą stwardniałego, zaprawionego od szabli ramienia, za zajazd, za Bzowskiego, za Eufrozyne, za karliczkę, za karczmarza, za Krystynę.

Skończył, kiedy Hunia dygotał, cały we krwi, gdy nahał rozplółł się na końcu, rozleciał, zamieniając w zwykły pęk rzemyków. Wtedy odrzucił go ze wzgardą, podszedł do Kozaka, którego plecy były jedną wielką krwawą masą.

– Wiesz za co? No tak, pewnie wiesz. Starczy?

– Przymało. Mać mocniej bijała. Kiedy piła albo

gachów nie było.

Samuel uniósł rękę, ale opuścił ją zaraz. I wtedy Nikifor przypadł do palców pana, ucałował z uszanowaniem rękę Zborowskiego, chociaż jego krew spływała na trawę wątlymi strużkami.

– Bohusz, uwolnij ją.

Sługa uwiął się szybko, przeciął kindziałem sznury.

Karliczka wyprostowała zgięty grzbiet, cofnęła się, spoglądając z trwogą na Zborowskiego.

– Myślicie, że wam wybaczę?! – spytała drżącym głosem. – Możecie mnie zabić, ale was nienawidzę. Bądźcie przeklęci.

– Nawet o to nie proszę. Idź, jesteś wolna. A ja – obejrzał się na Hunię, który cierpiał bez słowa – mam jeszcze coś do załatwienia.

Odwróciła się i zaczęła biec, wtedy Zborowski zawołał na nią.

– Poczekaj! – zakrzyknął. – Nie bój się. Chcę ci coś dać.

Podszedł do niej i wręczył mały srebrny krzyżyk pokryty krwią.

– Zrób z tym, co zechcesz. Możesz wyrzucić. Daj księdzu albo sprzedaj.

11.

– Murwa palica! – stękał starszy Krechowiecki, bijąc się w czoło. – To nas oskubał, psi syn! Co też by ojcowie powiedzieli. Tyle pieniędzy! Tak nas wydusił jak Tatar, jak Żyd, niczym psiej krwi Ormianin!

– Ty lepiej myśl, bracie, co powiemy staroście...  
Eufrozyna była przy nadziei.

– Ba, skąd to było wiedzieć. Że z brzuchem będzie, a?

– Może naprawdę rozmiłowała się w tym Bzowskim?

– Jakże rozmiłowała? W bękarcie?! Nie może być, aby taka starożytna szlachta... To by nas hańbą okryło!

– Tak ty myśl lepiej, co staroście powiemy?

– Tak i co mamy mówić? Co się stało, to się nie odstanie. A powiem ci, że tak i jest lepiej.

– Jak lepiej? Siostra ledwie dycha?

– Bo co by powiedział starosta, kiedybyśmy dali mu dziewczkę z brzuchem? Albo z bękartem. A tak, będzie jak młódka.

– A jeśli po tym wszystkim już nie będzie mieć dzieci? Co wtedy powiesz, bracie? Wtedy będą cięgi i nie tylko, oj, wielka niełaska pana Krasickiego. Dwie żony miał i co, żadnego potomstwa?! Powiadam ci, że jak się o tym dowie, wywróci nas na nice. Pójdziemy na hier, mospan!

– A niby dlaczego miałyby być jałowa? Toż u Dembińskich ta krowa rdzawa, z rogiem złamanym uroniła płód na świętego Jana, pomnisz? Kiedy psy za wilkiem wpadły w stado. I co, była potem jałowicą? Nie była. A jakie cielaki z niej przyszły. – Atanazy złożył błyszczące, grube wargi do cmoknięcia. – Same cudności. Aż miło było patrzeć.

– Akurat. Człek nie krowa, siostra nie jałowka.

– Nie trzeba nic staroście gadać! – warknął ze złością Atanazy – A co złego było, to nie my, zrzucić na Zborowskiego. Szelma i tak robił za małodobrego w

Przemyślu, tak i kat mu poświeci!

I wtedy coś huknęło. Niedaleko, pod gankiem. Błysk światła uderzył w okna dworu, na chwilę rozjaśnił wnętrze izby.

– Co, do czarta tysego?! Kto strzela?!

Bracia skoczyli na nogi, pognali do sieni. Młodszy złapał w biegu szablę, starszy czekał.

– Anusik puścił? Kogo? Skąd? – dopytywał się młodszy.

Na ganku było ciemno, ale bynajmniej nie głucho i pusto. Na braci czekał wysoki szlachcic i dwóch pacholków. Jeden tęgawy, drugi – półnagi, z szyderczym uśmiechem przylepionym do warg.

– Zborowski?! – zapytał niepewnie Atanazy. – Waść wróciłeś? Chyba po guza? Coś uczynił nieszczęsnej? Czego tu jeszcze chcesz po tym wszystkim?

– Przyjechałem oddać pieniądze.

– Co?! – słowa prawie nie przeszły przez gardło starszego z Krechowickich. – Dobrze słyszę?

Wypchana sakwa upadła z brzękiem u jego nóg.

– A czy aby wszystkie?

– Ruszyło sumienie wywołańca.

– Ruszyło – rzekł beznamiętnie Zborowski. – I dlatego przyszedłem zanegować nasz kontrakt. Nie chcę złota. Chcę Eufrozynę z powrotem. Całą i żywą, o ile jeszcze dycha.

– Coś powiedział?!

– Co?! – wrzasnął starszy. – Odebrać Eufrozynę? Jak to? Nic nie rozumiem? Po tym, co się stało, masz czelność...

– Ja nie proszę – rzekł spokojnie Zborowski. – Ja żądam.

I wyciągnął szablę.

12.

– Mości panie Zborowski – powiedziała słabym głosem Eufrozyna – chciałabym mieć siłę, aby cię nienawidzić jak wściekłego psa. Jak Tatarzyna i pospolitego mordercę.

– Nie ty pierwsza, mości pani. Jest tu już do mnie cała kolejka ludzi z rankorami. Powiem więcej, byłbym ostatnim głupcem, gdybym liczył, że kiedyś mi przebacysz.

– Po coś to wszystko uczynił? Mówią prawdę, jesteś taki sam jak ojciec.

– Takim mnie uczyniono. Po co zabrali mi narzeczoną? Zaszczuli ją, że postanowiła odejść z tego świata. A wcześniej pewien panek, którego nawet nie znałem, dopuścił się na niej gwałtu.

– I dlatego zamordowałeś mi męża i pozbawiłeś dziecka?

– Bękart? Co wziął cię raptem?

– Sami mnie za niego wydali. Bo im pokazał dziesięć tysięcy. To dla nich obu znaczy więcej niż honor siostry.

– Zatem przywróciłem ci cześć rodową.

– Ty nic nie rozumiesz! – W jej oczach zobaczył łzy. – Bzowski... Mój mąż. On był inny. Atanazy i Prandota sprzedawali mnie jak niewolnicę. Odbierali od mężów, kiedy chcieli. Razem ze spadkiem, bo zaraz zostawali moimi opiekunami. Diabeł już chyba dałby mi

lepszą opiekę! I kiedy... Bzowski był pierwszy, co nie patrzył na posag. Miłowałam go. I dlatego uczynię wszystko, abyś zgnił w piekle. O ile nie zdołam doprowadzić cię do katowskiego szafotu.

– Na razie leż, zbieraj siły.

– Dokąd mnie wieszysz?! Czego chcesz? Sprzedać? Bić? Okaleczyć? Nie starczy ci to, co uczyniłeś?

– Będziesz mnie nienawidzić. Ale to tylko jedna strona medalu. Druga jest taka, że rozwiązałem umowę z Krechowickimi. Nie będą już sprzedawać cię jak jarmarcznej kukły. W ogóle wszystko się teraz skończy. Nieszczęśliwie, ale może... sprawiedliwie.

– Sprawiedliwości będę dochodzić na tobie do końca życia.

– Zupełnie słusznie. A ja ci w tym pomogę.

– Jak to?

– Zabieram cię – Zborowski spojrział na posieczone bliznami plecy Huni, który powoził kolaską – do Krasiczyna. Do starosty. Abyś świadczyła to, co powiem. A powiem prawdę, o twych kolejnych mężach, o podstępach braci.

– Będę świadczyła przeciwko tobie.

– Przyjmuję to za grzechy. Jedyne, czego wymagam, abyś mówiła prawdę i tylko prawdę. Także, a może przede wszystkim, o Krechowickich.

– Bodaj ich Pan Bóg pokarał, jak nie miał litości nade mną. Co oni mi zrobili?! Za co?!

– Starosta ich rozsądzi. I módl się, aby otworzyły mu się oczy.



13.

– Pewnie się waszmość zdziwisz, ale po tym, co się stało, jest mi wszystko jedno, co ze mną będzie. Byłem katem, jestem mordercą, za chwilę będę skazańcem, niedługo potem nieboszczykiem.

– Dziwi mnie, że nie uciekłeś! – Starosta złapał się upierścienionymi rękoma za wygolony łeb jakby chciał zdjąć go sobie z karku razem ze wszystkimi kłopotami, które sprowadził na niego Zborowski. – Powinienem cię zabić, mospanie. Tak, dobrze mówię, winienesz dać gardło na czerwonym suknie, jak ojciec.

– Ja wcale nie chcę żyć. – Zborowski sięgnął do rapci, odpiął hak z pasa. – Nie mam po co. Zatem znajdźcie w sobie siłę Zamoyskiego, bo za jedno mi, czy mnie zetniecie, czy powiesicie.

I wtedy starosta uderzył go w głowę. Szybko, z rozmachem, jak pachółka albo pokojowego. Miał wprawę, bo w oczach Samuela aż zabłyśły iskry. Zatoczył się, krzyknął z nagłej złości, bo ten niespodziewany policzek zabolął go znacznie bardziej niż oczekiwany cios katowskiego topora.

– Każę cię ściąć, szczeźniesz, a ja będę musiał żyć – wydyszał starosta. – Jeden święty Zborowski wyrócił całą Rzeczpospolitą i pozbawił kanclerza korony. To co będzie, kiedy zetnę drugiego? Rozruch i wzburzenie. A ty przed śmiercią pozwiesz mnie na sąd Boży, jak ojciec Zamoyskiego. A ja będę musiał wziąć na moje stare barki cały ciężar twoich grzechów. Nie miną dwa dni, a będą szeptać, że wszystko czyniłeś na rozkaz starosty. Chociaż, klnę się na duszę nieboszczyka ojca, nie sądziłem, że Krehowieccy uciekną się do takiego podstępu. Nigdy bym

nie przypuszczał, że oni swoją siostrę jak... jak – nagle zabrakło mu słów. – Tobie też bym nie wierzył, gdyby nie jej testamenty, które nawiasem mówiąc, spisuje właśnie z pisarzem grodzkim. Nie są one dobre dla ciebie. Dla mnie zresztą też.

– Mości starosto, ja...

– Milcz. Powiedziałem, starczy jednego martwego Zborowskiego! Po coś w to wszystko brnął, szalony człowieku?!

– Bo kazaliście. Wiedziałem od razu, że pani *tertio voto* Bzowska ma być waszym nieobiecany kaskiem, osłodą starości. Okazałbym się niewdzięcznikiem i wyrodnym synem matki Korony Polskiej, gdybym nie dał dowodów wdzięczności za to, że pomściliście mój honor na gardle kniazika Moły.

Starosta ścisnął w rękę i pogiał srebrzony cynowy kubek do wina, zupełnie jakby był z papieru.

A potem cisnął nim w ścianę, aż metal brzęknął cienko.

Krasicki wziął się pod boki.

– Nie mogę na ciebie patrzeć. Wyglądasz jak ojciec i gładzisz jak nieboszczyk Zborowski, mówił mi mości pan kanclerz Żółkiewski. Grzechy moje mnie dały w ręce tobie, a nie męstwo twoje, tak gadał Zamoyskiemu. Wszystko uczynię dla zbawienia, ale rozmówmy się o każdą rzecz, gdy mu wezwali pijanego księdza. Niewinnie mnie tracisz, to znowu do Zamoyskiego. Zaraz poprosisz jeszcze o papier i inkaust. O popa. A, do diabła, po co z tobą gadam?! Ja jestem starosta, pan na Krasiczynie, do diaska, a ty kto? Hołysz, chudopacholek, szlachcic nieosiadły, prawie bękart, pogrobowiec! Kto cię ze Zborowskich uznaje za swojego? Jesteś morderca, szlachetną panią

Bzowską przyprawiliś o chorobę, że poroniła płód, a ja ci się jeszcze tłumaczę! Dlaczego?

– Bo macie wyrzuty sumienia!

– Jak to?

– Na tym wielkim posągu, któremu na imię sprawiedliwość, a który ma twoje rysy, wąsa i wygolony łeb, widzę już pierwsze pęknięcia. Wałą się mury opoki. Pokonała was żądza młódki i brak potomstwa. Czy zatem możecie być uczciwym sędzią i szerzycielem pokoju, za jakiego się macie?

Starosta przemyski klasnął w dłonie i krzyknął. Drzwi się otwały, podstarości Dąbrowski i hajducy zjawili się szybko i cicho. A Krasicki, jakby nie dając przyjąć do siebie myślom, które żądliły jak osy, już krzyczał:

– Mości Dąbrowski, tego pana chwytajcie. Mocą starościńską za zabójstwo kładę areszt na waszeci!

Dąbrowski pokiwał głową, ale nie rzucił się na Samuela ani nie kazał chwycić go hajdukom jak psa.

– Zatrzymać go w lochu do roków sądowych! – grzmiał Krasicki. – Jak Kielawa skończy pisać testament pani Bzowskiej, wpisać go do ksiąg grodzkich, a gaszka trzymać jako nieposesjonata! Co, w prawie jestem, mości Zborowski?!

Samuel pokiwał głową i wyszedł wyprostowany jak topola. Hajducy otoczyli go ze wszystkich stron.

14.

Dąbrowski nie sprowadził go do lochów, ale na rozgrzany, parujący, pachnący wilgocią dziedziniec

Krasiczyna. Sługa trzymał okulbaczonego Pioruna, a poza tym nie było widać żywej duszy.

Zborowski nic nie rozumiał. Nawet wtedy, gdy podstarość wcisnął mu w dłoń wodze dryganta.

– Bierz konia i jedź. Oby jak najdalej.

– A pan starosta? Eufrozyna? Krechowieccy?

– Każdy musi godnie dźwigać swój krzyż i płacić za błędy, jakby pił za swoje.

– Jak to? Puszczaj mnie?

– Słudzy czekają za bramą. Masz czas do wieczora.

Potem zaczną się za tobą polowanie. Jedź!

– Dokąd?

– A choćby i na Ukrainę! Leć, póki jesteś wolny.

Leć jak ptak. I nigdy... – Jego oblicze poszarzało. – Nigdy tu nie wracaj, rozumiesz, waszmość?

Zborowski przymknął oczy.

– A jeśli zostanę?

– Każę przywiązać cię do konia i osiec bachmata nahajami. Pojedziesz tak czy owak, bo taka jest wola starosty.

Samuel wsunął stopę w strzemień, pacholik przytrzymał mu konia. Szlachcic odbił się, wylądował w kulbace, siadł rozparty, wsparł dłonie na kuli przedniego łęku.

– Jedź już. Unikaj Krechowieckich. I niech ci los sprzyja.

## Bracia ślubni

Szli z dwóch krańców wsi, pewni swych racji jak Mojżesz dziesięciu przykazań. Obaj nie do przeskoczenia, nie do obejścia, twardzi jak głazy ze skalnej lawiny. Jeden postępował od strony gościńca wiodącego do Rudek, drugi – od włościańskiej części osady, zwanej pogardliwie przez tutejszych, Chłopami Czajkowickimi.

Jeden i drugi uzupełniali się jak ślepy z kulawym. Pierwszy w skórzanych postołach, ale za to z poszczerbioną szablą o długim jelcu – batorówką od króla Stefana. W siermiędze, ale i kołpaku ozdobionym garścią piór, tak oklapniętych, jakby wyrwano je sroce spod ogona.

Drugi szedł tylko z siekierą; grosz, którego nie starczyło na broń, poszedł na czarne kowane buty z cholewami. Wymięty żupan wyglądał jak z młodszego brata. W rękę kołysał się różaniec.

Przy każdym z nich plątała się bosa, tęga baba – lamentująca z ruska po polsku, szarpiąca męża, wieszająca mu się na ramieniu; czasem – odtrącona – pozostawała w tyle, lecz już za chwilę podbiegała z głośnym szlochaniem. Obie niewiasty wyzywały nadaremno Pana Boga i jego miłość księdza plebana.

Wieś wyległa z chałup i dworaków – które zresztą różniły się od tych pierwszych tylko gankami nad wejściem. Młodzi i starzy, dzieciaki i wyrostki, nieliczna czeladź, famulusi, pastuchowie, wolarze i dziewczki pędzili zagonami, przemykali opłotkami, przeskakiwali przez krzywe płoty, aby nie uронić nic z całego zajścia. Ot, dzień

jak co dzień w Czajkowicach, chodaczkowym zaścianku nieopodal Sambora, gdzie Łeśków, Sieni, Hrycków, Steczków, Waśków, Demków i Jurków było na korce i kopy, za to talara – ani jednego.

– Słuchaj ty mnie, Hawryła Horodyski – zawołał szlachetka w żupanie, postępujący naprzód ze złą i zawziętą miną, z gębą przypominającą oblicze gradowej chmury – wychodź tu samój.

– Owo ci idę, mospanie Czaykowski! Nie kryję się za parobkami jak ty na pogrzebie stryja Chwościaka, kiedy kijami kazałeś pobić mi synowca, a potem strzelić jak do psa! I do kogo, do mnie, urodzonego!

– Szlachcic ty, ale za szóstaka! Zatem nie bez przyczyny jak do sobaki strelałem! – odkrzyknął Czaykowski. – Bo i kto inny, jak pies, mógłby wziąć mi z podwórza koło kowane od wozu, dwie beczki dziegiu i osiem koszul? Z samego najlepszego płótna przeworskiego!

– Ty zaś sam, oddaliwszy z serca miłosierdzie pańskie, wrzuciłeś mi kota do studni! Zdechłego! – zakrzyknął Horodyski i mocniej ścisnął szablę. – Czekaj, szelmo, konusie ty! Zagram ci do tańca!

I ruszyli dalej. Nic ich nie mogło zatrzymać.

Byli już o sto, no, może sto pięćdziesiąt kroków, kiedy zza węgła chałupy przy trakcie wychynął brodaty pop z krzyżem. Zabiegł im drogę, zamachał krucyfiksem, przeżegnał się, złączywszy czubki kościstych palców.

– Bezbożni! – zakrzyknął cienkim i piskliwym głosem. – Cóż czynicie najlepszego?! Proście wy raczej prosczenia i ostawienija grechow i regresznij u Hospoda! Padnijcie na kolana i już mi do cerkwi!

– Sam, popie, dymaj odmawiać tropariony –

warknął Horodyski.

– Do kruchty, zamiast się wtrącać w rycerskie sprawy! – zawtórował mu Czaykowski.

I obaj zgodnie postępowali naprzód. Starcy, dzieci i wyrostki przypatrywali się z uwagą. Jedni krzyczeli, inni się żegnali, kilku zagrzewało zwaśnionych do jeszcze większej furii.

Byli o trzydzieści kroków, o dziesięć...

Horodyski odtrącił swoją babę, która szlochając, łapała za pradziadową szablę. Czaykowski zagroził popu siekierą, a przy okazji machnął różańcem, który miał w drugiej ręce.

Pop zaś złożył dłonie do modlitwy.

– Anhiełe Christów, chranitielu swiatyj, pokrowitielu duszy i ciała mojeho, wsia mi prosti jelika sohreszich wo dniesznij dień [Scs. - Aniele Chrystusowy, stróžu mój święty, obrońco duszy i ciała mego, wszystko mi przebac, czym tylko zgrzeszyłem w dniu dzisiejszym.] – zaintonował niemal bez tchu. – I wybaw ich, priegriesznych, od zła, nieprawości i złości. I zstąp na ziemię...

Anioł zstąpił. Dokładnie w tej chwili, gdy obaj szaraczkowie znaleźli się na wprost karczmy (która, jak to zwykle w Koronie Polskiej, posadowiona była naprzeciwko kościoła), wyszedł z niej jakiś człowiek. Był w samej koszuli, więc nie wyglądał na wielkiego pana. Choć nie miał szabli ani czapki, można było poznać go jako szlachcica po brązowych, podkutych butach z ostrogami.

Wszedł śmiało między zaściankowych zawadiaków i pogroził im palcem.

– Dość tego, ojcowie. Już się nawojowaliście. Teraz *pax* między chrześcijanami. Złóżyc broń, polać wodę na

szable i kochać się, mości panowie!

– Tak ty lepiej odstęp – zamruczał Horodyski – bo ne zderżu i w łeb wytnę.

– Paszła won!

Nieznajomy nigdzie nie poszedł; nadal sterczał jak kołek na drodze rozsierzdzonych szlachetków.

– Wy idźcie – mruknął niechętnie – po rozum. Jak nie w kościele, to pogódźcie się nad szklanicą, bo zaprawdę obaj jesteście takie kpy ruskie, że ze łbów słoma się kurzy!

I wtedy Czaykowski machnął na odlew siekierą – nie żeby zranić, ale odegnać natręta.

A nieznajomy, choć kiwający się sennie, odskoczył na ugiętych nogach, obrócił się w stronę karczmy i krzyknął donośnie:

– Hunia! Szabla!

Coś zafurczało w powietrzu. Obły kształt pomknął po łuku w stronę nieznajomego. To była zwykła czarna szabla husarska z łańcuszkiem, odpięta z rapci, tak iż tylko paski zostały na ryfkach, prawdziwa żmija w pochwie okutej grubo mosiądzem.

Nieznajomy chwycił ją w locie, obrócił w rękę, nie wydobywając z pochwy. I kiedy Czaykowski machnął siekierą jeszcze raz, przyskoczył bliżej.

– Zaraz was pogodzę!

I nagle jego ruchy stały się szybkie jak wiatr, a nogi giętkie niczym sprężyny. Kiedy Czaykowski pochylił się w przód po szerokim zamachu, nieznajomy skoczył nań jak ryś, kopniakiem podkutego buta odtrącił siekierę na bok i rąbnął ukośnie od prawej, zdzielił szaraczka pochwą w łeb. Od razu, przyskakując bardzo blisko, chwycił pochwę za szyjkę także lewą dłonią i – wyprowadzając cios w drugą stronę – zdzielił przeciwnika od lewego ucha aż po sam dół



szczęki. Cofnął rękę z szablą i pchnął.

Wszystko w jednej chwili!

Pomiędzy opłotkami podniósł się krzyk i rwetes, niemal gruchnęło, gdy szarak dostał trzewikiem od pochwy w splot słoneczny. Zwalił się na kolana, wypuścił siekiere, a nieznajomy poprawił kopniakiem – obalił szlachetkę w pył i kurz drogi zaścianka. Czaykowski padł jak podcięty dąb, chciał krzyczeć, wyć – nie mógł, bo brakowało mu oddechu. Charczał, walił rękoma o ziemię, łapał się za piersi, nie mogąc zaczerpnąć powietrza.

A wtedy Horodyski skoczył z szablą na zawalidrogę.

Nieznajomy nawet nie wyjął broni. Odbił pierwsze cięcie pochwą okutą na ostrzu i na tylcu, rąbnął trzewikiem po paluchach, zawinął szerokimi ruchami jak wiatrak – raz, drugi, trzeci: na odlew, wyżkiem i wreszcie – uprzedzając szeroki, nieskuteczny zamach szablą – bił płasko, z lewej – zmacał wroga w sam środek policzka. Wyprowadzając uderzenie, odskoczył w lewo na ugiętych nogach, poprawił w bok i jeszcze raz przez łeb – na odlew.

Prosto i skutecznie zwalił Horodyskiego na klęczki. Szlachcic zajęczał, wypluł parę zębów, krzyczał coś poprzez krew plamiącą usta. Rozjemca uderzył go ręką w kark i posłał w objęcia nocy, kładąc kres pospolitemu powiedzeniu, że szlachcic na zagrodzie równy był może i wojewodzie, bo prawdziwemu graczowi na szable na pewno nie.

A potem jak gdyby nigdy nic włożył szerpentyne pod pachę i ruszył do karczmy.

Zaścianek oniemiał. Zapadła cisza jak makiem zasiał. Nawet żony pobitych przestały płakać. Nikt się nie darł, nikt nie złorzeczył. Zdrobniała, zgołociała szlachta po prostu wrosła w ziemię niczym słupy soli.

Jedynie pop zastąpił nieznajomemu drogę, lecz ten nawet na niego nie spojrział. Księżulo zaczął zatem drobić kroczkami z boku, aby go dogonić, bo szlachcic szedł szerokimi krokami.

– Skąd wy?! – zakrzyknął ksiądz. – Jesteście aniołem?

– Raczej złym człowiekiem. – Nieznajomy zatrzymał się na chwilę. – Nie grzeszcie, księżo. Macie! – Z mieszka ukrytego pod koszulą wysupłał i wcisnął popu w rękę dwa orty.

– Pomódlcie się, aby moja dusza zaznała pokoju po śmierci. Bo póki żyję, nigdy go nie znajdę.

– Ależ... kim jesteście, panie?

– Samuel Zborowski – odrzekł nieznajomy, a potem wkroczył pod podsienia karczmy dumny i blady jak senator wchodzący na królewskie podwoje.

I wtedy zaścianek zahuczał, zakrzyczał. Baby piszczały, parobkowie i młodź darli się wniebogłoso. O dziwo – wszyscy byli za Zborowskim: młodzi z podziwu, że tak szybko skończył sprawę, starzy z ulgą, że nie poląła się krew. W zamęcie jedni wygrażali drugim, inni popu, trzeci rzucili się do powaśnionych, podnosić z ziemi pobitych, lać w gębę gorzałkę i wołać cyrulika. Małżonki zaś czcigodnych adwersarzy płakały, wrzeszczały najgłośniej, omal się nie pobiły – szczęściem odciągnięto je za włosy i zapaski. Nikt jednak nie poszedł do karczmy za rozjemcą, nie rzucił mu wyzwania, nie sięgnął po szabelkę czy czekan.

Jeden tylko człowiek pośród tłumu nie miotał się i nie krzyczał – młody Kozaczek, piękny jak panna młoda. Siedział na koniu wśród rozwrzeszczanej szlachty i patrzył za Samuelem. A kiedy zamknęły się za nim drzwi, położył

dłoń na szabli.

2.

W chwilę później ten sam Kozak pojawił się niczym duch obok stołu, przy którym Zborowski zapijał melancholię, Hunia przekłętą kozaczą dołę, a Bohusz szlochał nad prawie pustą kabzą i trzystoma talarami, które był mu winien jego pan.

– Wasze moście raczą wybaczyć – rzekł młodzik – że zajmę chwilę.

– Przyszedłeś mnie zabić? – wypalił Zborowski, nawet nie unosząc głowy. – Choć jestem pijany, nie będzie to proste.

– Przyszedłem... Bo chcę od was... – wydukał z trudem Kozaczek.

– Jak słowa przez gardło nie przechodzą – warknął Hunia – to może ci je rozerznąć, abyś dokończył kazania.

– Mam sprawę – wyrzucił z trudem młodzieniec. – Do jaśnie oświeconego pana. Pieniężną.

Zborowski podniósł zmęczony wzrok na intruza. Zlustrował go lepiej niż lichwiarz klienta, Żyd faktora, a Turek niewolnicę na targu.

Petent był młody, wąs ledwie zaznaczał się na jego ogorzałym obliczu. O dziwo – dostatnio odziany, w zielonkawym sukiennym żupanie z pągwiczkami. W brunatnych hajdawerach z galonami, bufiastych i wydętych niczym żagle, że ledwie widać było czubki podkutych czobotów. Na łbie miał wysoką barankową czapkę z pąsowym wierzchem, spod której wystawał rąbek oseledca,

na brzuchu lity pas ze złotymi frędzlami. Przy boku wisiała adziamska szabla z kształtnym krzyżem i mocno wygiętą rękojeścią. Dobra do konia i pojedynków. Ramiona okrywała ciemna burka z koziej sierści, podszyta czerwonym płótnem.

Albo zatem Kozaczkowi poszczęściło się na chadzce i jeszcze nie zdążył przehulać sukien na murwy i horyłkę, albo... był synem atamana.

– Mów, czego chcesz, albo dymaj na gościniec. Do kurenia czy innej psiej budy.

– Chcę was wynająć.

– Taki jesteś bogaty? A możeś ty syn popa?

– Proste go Kozaka. Dobrze zapłacę. Złotem i dukatami, łupami, co wzięłem z ojcem i braćmi w Trebizondzie i Synopie. I w Dzikich Polach, na Tatarach.

– Znam ja te wasze kozackie skarby – wydał usta Bohusz – tyle co na grzbiecie, a resztę szukaj w kieszeni u Żydów, Ormian i po dniewprowych limanach.

Kozak w odpowiedzi podniósł do światła wypchaną kaletę.

– Nie boisz się mnie – nie wiadomo, czy było to stwierdzenie, czy pytanie. – Ja jestem Lach i polski pan. Mnie zwą mordercą mężów, krzywdzicielem niewiast, a na dokładkę, jakby tego jeszcze było mało, katem.

– Słyszałem.

– Wiesz, po co mówię ci to wszystko? Abyś zrozumiał, że mnie nie można kupić ani wynająć, a co najwyżej prosić. Im niżej, tym bardziej rad wysłucham.

– Nasz pan uszy ma w nogach – dorzucił Hunia.

I wtedy Kozak gruchnął na kolana, aż zadudniło. Złożył ręce jak do modlitwy, tyle że zamiast krzyża trzymał w nich kaletę.

– Ja będę prosił i płacił. Za waszą szablę, wasza miłość.

Zborowski zajrzał do kubka, ale zobaczył samo dno. Potrząsnął dzbanem, ale ten też był pusty. Bez słowa wręczył go Kozakowi.

– Płać i stawiaj, to może cię wysłucham. A nie, to poszedł won!

Młodzieniec posłusznie chwycił dzban, skoczył do karczmarza i sam z siebie – jak dobry sługa – napełnił kubek Zborowskiego. Nie odmówił i Huni, kiedy ten bezczelnie podsunął mu własny.

Wino było cierpkawe, ale na zaścianku trudno było spodziewać się małmazji.

– Mów.

– Gdzie siadasz! – Hunia najwyraźniej nie czuł się pobratymcą Kozaczka, bo odepchnął go, kiedy ten chciał przycupnąć na ławie.

Młodzian przymknął oczy i odetchnął – z ulgą, a może wstrzymał gniew.

– Pan Mikołaj Toporowski, Lach nieszczerzy, wjechał gwałtem na czele swawolnych ludzi do futuru mego ojca Ostapa. Wyrządził nam wielką krzywdę, bo wyzwał batkę na szablę i wyplazował tak, że poprzestawiały się kości. Po tym najeździe ojciec został kaleką, chodzić nie może, wstać, krzyż się w nim połamał i ani Żyd, ani cyrulik już go nie uleczy... Ha, nie raz próbowali. To wszystko stało się pod pozorem stancji, do której pan Toporowski nie miał prawa, bo to nasza ziemia, nasz futuro, nasze gumna i chaty. Tak ja proszę, aby wasza mość za pieniądze pomścił starego ojca.

– Jaki futuro, jakie chaty? Jaki Toporowski? – zapytał nieprzytomnie Zborowski. – Co mnie to wszystko

obchodzi?!

– Nasz futór jest na Podolu, na Pobereżu, za Szarogrodem, nad zakolem rzeki, podle Ściany. Zwie się Dubinka, obok mogił, przy Rusawie. A z mogił hen daleki widok – na Ukrainę i Dzikie Pola.

– Co to za człowiek, Toporowski? Kwarციany? Sługa? Prywatny żołnierz?

– Jaką rotę ma przy sobie? – zapytał przytomniejszy Hunia. – Gadaj, chłopie!

– Ja nie chłop, ale Kozak – zaperzył się młodzieniec.  
– Batko w rejestrze był zapisany. W Inflanty chodził pod atamanem Koszką. Póki jeszcze mógł.

– Pies drapał batkę, gadaj o Toporowskim!

– To pan porucznik chorągwi kwarციanej.

– A kto jest rotmistrzem?

– Jaśnie oświecony Marcin Kazanowski.

Hunia zagwizdał cichutko, ale bardzo znacząco.

– Pan rotmistrz królewski i powiatowy halicki – mruknął Bohusz. – Przyjaciół królewicza Władysława. Ech, u takiego służba to za dukaty, a nie za obietnice i dobre chęci. A rota jest słuszna, husarska, była zresztą na wyprawie na Moskwę, teraz ją pewnie wcielili do kwarციanych.

– Sto, może sto pięćdziesiąt koni.

– Chcesz, żebym ja, Zborowski, bił się z nimi wszystkimi? – zapytał Samuel. – Za to, że ich porucznik wylechtał nahajem jakiegoś rezuna ze słomianego futuru? Nie za wysokie progi na kozackie łyczaki?

– Zapłacę wam po szlachecku. Za pomszczenie ojca. Widziałem, jak bijecie. Jak wielki pan, jak Lach. A mnie do tego właśnie potrzeba Lacha. Pan Toporowski lubi pojedynki. Stanie nawet z Kozakiem, skoro wyzwiał batkę.

Ale mnie porąbie na dzwonka, bo diabeł na szable!  
Wyzwiecie go i usieczecie. Za mego ojca!

– Pomyliłeś drogi, mój chłopcze – pokręcił głową Zborowski. – Nie zrobię tego ani za twoje złoto, ani za skarby Carogrodu. I wcale nie dlatego, że tobą gardzę. Po prostu nie wynajmuję się już do zwad i zajazdów. A wiesz czemu? Ano dlatego, że zwykle moi dobrodzieje widzą we mnie równego sobie, tylko dopóki nie wyjmę szabli w ich sprawie. Do tego czasu jestem dla nich bratem, a nawet synem. A kiedy jest po wszystkim, rzucają mi sakiewkę i odprawiają niczym umyślnego. Ot, fora ze dwora, mości dobrodzieju.

– Klnę się na świętą Bohorodzicę, że ja tak nie uczynię...

– A klnij się i na diabła, a ja zdania nie zmienię. Jakże to tak, ja, Zborowski, senatorskiego rodu – tu Bohusz parsknął śmiechem, ale zaraz spoważniał – mam służyć jakiemuś... jakiemuś...

– Jestem Fedor Striczka.

– No właśnie. A ja nie będę nikogo zabijał za pieniądze, choćby o to prosił Krasicki, Koniecpolski czy Zamoyski, a co dopiero Striczka. Nikogo już nie zabiję. Dlatego odmawiam.

– Bo się boicie! – jęknął Kozak. – A ja was miałem za bohaterskiego człowieka. Za wielkiego pana – dorzucił ciszej.

– Teraz przelałeś czarę – wysyczał Zborowski – zaraz każę Huni wyliczyć ci dziesięć odlewanych. Po jednym za każde słowo, którym mnie obraziłeś. Nikifor!

Sługa poderwał się z okrutnym uśmiechem.

– Możecie mnie siec do śmierci! – pisnął Fedor. – A ja i tak wam mówię: strach was obleciał!

Hunia chwycił go za kark z niedwuznacznym zamiarem spełnienia groźby, ale w tej samej chwili Zborowski ucapił go za rękę, powstrzymał.

– Mówisz, że jestem tchórzem. – Uśmiechnął się złośliwie. – Więc zaraz obaczymy, czy ty sam masz serce godne zaporoskiego hetmana. Chcesz pomścić ojca, szkopał w tym, że Toporowski jest dla ciebie za mocny? To jeśli chcesz, chodź do mnie na naukę. Ja ci pokażę, jak można bić i zwyciężać. A jeśli zwyciężyć się nie da, jak godnie umierać. I co, boisz się wziąć za preceptora tego, kogo obraziłeś? Kto tu teraz jest tchórzem, mój ty atamanie?!

– Zgadzam się! – wypalił bez namysłu Striczka. – Zapłacę wam za naukę, jeśli nie można inaczej. Nie będzie boleć mocniej niż cięgi ojców w szkole brackiej. Wyuczycie mnie zasłon i cięć, podstępnych fint i sztuk, dzięki którym zwyciężacie? Naprawdę to uczynicie?

– Obawiam się, że pożałujesz dnia, w którym zdecydowałeś tak pochopnie.

– Ile mam wam zapłacić?

– I tak jadę na Ukrainę. Jadę – prychnął Zborowski.  
– Właściwie to uciekam. Dziadowska peregrynacja.

– Pere... co?

– Widzisz, już mi się podobasz. W zamian za naukę zapłacisz za noclegi i wino, będziesz nam usługiwał, co chyba nie jest niczym nowym dla osób twego mizernego stanu. Ja zaś obiecuję, że nauczę cię sztuczek, dzięki którym pokonasz Toporowskiego, co?

– Co tylko każecie!

– A zatem – Zborowski uśmiechnął się tryumfalnie – idź oporządzić nasze konie i przygotować posłania w szopie, bo widzisz, cierpimy pewien niedostatek służby.



– Tak, panie.

– Chwileczkę – Hunia zatrzymał Kozaczka, który już chciał ruszać – zanim zajmiesz się końmi, przynieś wina, bo mamy wielkie pragnienie.

Striczka skłonił się aż do ziemi. Ale minę miał smutną.

– Bawmy się! – zakrzyknął Zborowski. A Bohusz przechylił się do ucha Huni i szepnął tylko dwa słowa:

– Będzie pośmiewisko!

3.

Nazajutrz Fedor zbudził Zborowskiego skoro świt. Bohusz jeszcze smacznie chrapał z kulbaką pod głową. Huni nie było – nawet pijany jak bela potrafił zniknąć na całą noc niczym kot. Samuel zaś czuł we łbie zamęt po wczorajszym winie, jakby pędziła przezeń cała orda budziacka. Wstał, milczący jak ryba, z wysiłkiem przełknął ślinę, przecierał oczy. Jednak Kozak nie ustępował.

– Jegomość, czas zacząć! Obiecaliście!

– Co obiecałem?!

– Uczyć mnie szabli.

A, prawda, coś tam obiecał. Ale nie myślał, że tak prędko będzie musiał się z tego wywiązać. Skrzywił się.

– Idź za karczmę i czekaj.

– A wy?

– Zaraz przyjdę.

Pogrzebał w sakwach, spod głowy chrapiącego jak smok wawelski Bohusza wyciągnął jałowcowy kij do ćwiczeń. Podciągnął szarawary, wzuł podkute buty.

Wyszedł do Striczki, podwijając rękawy koszuli, choć świt był chłodny.

Kozak już czekał – w najlepszym żupanie, litym pasie, czapce. Rozgrzewał się, chodził zniecierpliwiony tam i sam; z daleka Zborowski słyszał świst jego perskiej szabli. Striczka machał nią w dziwny sposób – szerokimi ruchami, jakby jego ramię z szerpentyną zamieniło się w skrzydło wiatraka. Ciął powietrze z góry na dół, z podlewu i na odlew, rąbał na dzwonki i talarki, choć nic mu nie uczyniło. Zborowski przygryzł wąsa. Złośliwie wybrał błotniste miejsce za karczmą, między kupą gnoju a stosem kamieni.

– Chodź, mości atamanie!

Kozak prawie przybiegł.

– Wasza mość nie masz szabli?

– Zanim dorośniesz do szabli, weź w ręce kij.

– Kij? Ja nie dziecko.

– Pierwsza nauka, którą wyniesiesz z moich lekcji, to że szabli nigdy się nie wyciąga bez potrzeby. *Noli me tangere*, [ Łac. – Nie dotykaj mnie.] mospanie atamanie. Nie włócz mnie bez honoru, nie dobywaj bez racji. Zanim nauczysz się bić żelazem, walcz na palcaty.

– Szkoda czasu. Batko ledwie żyw, a jego krwawe rany wołają o pomstę. Ucz mnie, pane, szablą, bo po polsku nie strzymam, a po kozacku ne zderzę.

– Jak chcesz. – Zborowski wyciągnął spod pachy kij i stanął na lekko ugiętych nogach. – No to poczynaj. Zobaczę, czy jesteś taki mocny w czynach jak w języku.

Kozak zbliżył się, stanął na wprost, ale był niespokojny. To się podnosił, to przysiadał na nogach; stał pokracznie, rwał się do walki, ale zaraz cofał zdjęty ostrożnością.

– Bij!

I Striczko uderzył, ale z dziwnym przyruchem – przyciął, stawiając jednocześnie prawą nogę do przodu. Rąbnął z całych sił znad głowy na łeb przeciwnika, mocnym cięciem z zamachu.

Zborowski cofnął się płynnie, zwinnie, nie jak przed gwałtownym atakiem, ale przed morską falą. Wyrzucił kij od siebie, od góry i nieco po przekątnej – bezbłędnie trafił twardym końcem w dłoń przeciwnika.

Kozak od razu zgubił szablę, chciał zanurkować po nią, ale Zborowski postawił na niej lewą nogę, a kijem zdzielił Striczkę w kark. Mocno, aż plasnęło. Mołojec wywinął się w ostatniej chwili, przetoczył w błoto. Zborowski był na tyle miły, że pozwolił mu wstać. I dopiero wtedy odezwał się spokojnym, zmęczonym głosem:

– Cięcie w kark. Szybka śmierć. Bierzesz kij czy dalej strugasz głupca?

– Chcę szablę – wydyszał Striczka.

Zborowski podał mu ją na końcu własnego kija – wbijając go w błoto pod jelec i idealnie równoważąc ostrze. Kozak chwycił ubłoconą zaporoską panią, którą przed chwilą tak łatwo zabrał mu z ręki polski pan. Wyprostował się.

I ciał od razu – na głowę, potem nieco z ukosa – na odlew, wreszcie wolniej – z prawej po skosie. Zborowski uniknął każdego ciosu – uskakiwał w bok, na lewo od Fedora, za każdym razem o jeden mały krok, niemal kroczek, tak mały, a jednak wystarczający, aby szabla świsnęła bezradnie w powietrzu.

Widząc, że ciosy z góry nie robią na Samuelu wrażenia, Striczka uderzył z boku – od siebie i ku sobie.

Samuel bawił się z nim, odchylił się na podpierającej, zakroczonej nodze – przepuścił kozacką szablę o piędziesiąt od swojego nosa, znów się odchylił, uniknął ostrza w niewprawnej dłoni.

I wtedy Kozak pchnął sztychem – ostatnim aktem rozpaczony. Szablę miał w wyciągniętej ręce, ciało pochylone do przodu, nogi traciły kontakt z ziemią.

Zborowski obronił się pionową zastawą – czyniąc ruch, jakby chciał prawą ręką obetrzeć pot z czoła. Zgarnął na bok podstępny sztych, przechwycił lewą ręką uzbrojoną dłoń Fedora, wygiął ją i w ten sposób pozbawił go oręża.

I zanim Striczka zdołał choćby pisnąć, owinał go z lewej wokół siebie i zdzielił kijem po łydkach, aż zagrzmiało.

Mołojec zwał się na plecy, legł w błocie, w odświętnym żupanie, który kosztował pana ojca ze dwa złote za postaw albo tylko chwilę strachu w czasie rabowania szlacheckiego dworu. Zborowski stanął nad nim z jego własną perską szablą i szyderczym uśmiechem wykrzywiającym oblicze.

– Wyjąłeś broń bez potrzeby – rzekł. – Nieprędko ci ją oddam. Ucz się pokory, Kozacze. A tu masz pamiątkę... do przemyślenia.

Rąbnął go kijem w pierś, w splot, aż Striczka jęknął, zacharczał niczym chodaczki z zaścianka, którym Zborowski wygarbował skórę poprzedniego dnia. Na odchodnym zarobił jeszcze w łeb i po obojczyku. Potem po ramieniu, po łokciu, nadgarstku; po wszystkich tych częściach ciała, które – wystawione na cios – odzywały się okrutnym, przenikliwym bólem.

– To pierwszy morał z naszej lekcji – mruknął Zborowski – zapamiętaj, bo dwa razy powtarzać nie będę.

Szeroki ruch szablą zawsze da znać wrogowi o twoim zamiarze. Tak jakbyś machał chorągwią. Zakonotuj to sobie albo wracaj młócić grochowiny na Podolu.

Kozak charczał, dusił się, wreszcie, gdy udało mu się złapać oddech, jęczał, przewracał się w błocie z boku na bok.

– Wracaj, chłopie, do batki – mruknął Zborowski. – Szabla nie dla ciebie.

– Zooooo... sta... nę...

Hunia, który nadszedł w międzyczasie, parsknął śmiechem. I zaraz trącił butem pobitego Striczkę.

– Wstawaj, bracie, zaporoski druhu! Koszule trzeba prać. Konie oporządzić przed drogą. Będzie dla ciebie robota.

Striczka uderzył otwartą dłonią w błoto, zbił ją w pięść, ściskając grudę mokrej ziemi.

– Pamiętaj – ostrzegł go Zborowski – że zawsze możesz odejść...

– Będę... się uczył.

– To do roboty!

– Terpy, Kozacze, będziesz atamanem – rzekł Hunia.

4.

I pojechali na wschód, na Podole, w stronę Ukrainy. Tam, skąd co rano podnosiło się sierpniowe słońce, wyłaczając blaskiem ścierniska, na których jaśniały długie szeregi mendli. Gdzie wiodły szerokie, piaszczyste, rozjeżdżone drogi, po których obdarci chajdaje i siromachy gnali na zachód ogromne stada płowego i szarego bydła,

ozdobionego rogami wielkimi jak u turów. Z dnia na dzień robiło się coraz przestronniej, szerzej, coraz dalej sięgał wzrok wyzwolony z ciasnej linii gór i wzgórz. Podążali przez szerokie stepowe pola i wioski przycupnięte w jarach, pełne chruścianych chałup o ogromnych strzechach. Obwarowane parkanami, zasiekami i palisadami na wypadek najazdu Tatarów. Na widnokregu majaczyły coraz częściej skrzydła wiatraków, wiśniowe sady, białe chaty. I wielkie ule: otoczone rojami pszczół, nakryte ogromnymi słomianymi kapeluszami, pochyłe niczym wiekowi starcy. Karczmy stawały się coraz większe i coraz gorsze, nie miały już stanu dla wozów i koni – wszyscy nocowali pod jednym dachem, a czasem w stepie, gdy nie było miejsca.

Striczka płacił ortami za jadło i gorzałkę, Zborowski odpłacał mu guzami i kielbasami na pysku.

Kolejną naukę, a raczej nauczkę, dał Striczcze następnego dnia. Tym razem Fedor przygotował się starannie. Najpierw zaczepił Hunię, skłonił się i długo gniótł czapkę w garści, zanim zadał pytanie.

– Jaśnie wielmożny Kozaku, znacie pana od lat. Powiedźcie, czym mu się przeciwstawić? Ja już ręk nie czuję, nogami nie władam, będzie bieda. Szablę mi zabrał, kij szybszy, ale jaki wybrać?

– Jak to jaki? – zagrzmiał Hunia. – Leszczynowy, ciemiego. Dymaj na step i znajdź taki, a żywo, póki pan Zborowski siedzi nad obiadem.

Striczka uwinął się szybko. Jeszcze przed kolacją zawzięcie strugał palcat z gałęzi leszczyny. Co widząc, Samuel uśmiechnął się i zaprosił Kozaka na plac.

Tym razem Striczka walczył ostrożniej. Nie machał niczym cepem, nie szarżował, pewniej trzymał się na

nogach, bił raczej z łokcia i nadgarstka, a nie z ramienia.

Zborowski znowu unikał jego ciosów, niektóre zbijał, osłaniał się zasłonami. I cały czas punktował błędy – punktował w odsłonięte części ciała. Krótko, ale treściwie, czytaj: boleśnie. Walił w łokieć, kiedy Fedor wystawił go za daleko albo za wolno się osłonił. Uderzał w ramię, w nadgarstek, w łeb, czując, jak Striczka gotuje się w sobie, a z każdym ciosem wzrasta w nim złość.

Wtedy poprawiał w ucho i po palcach, gdy tylko dojrzał źle złożoną, za wolną albo za wysoką zastawę.

I wreszcie, wieńcząc dzieło mocnym akordem, uderzył Kozaka w łeb z całej siły, tak mocno, że leszczynowy, poobijany kijaszek trzasnął w rękę Striczki jak wąty patyczek. Samuel trafił ucznia w goleń, a kiedy tamten skulił się z bólu, poprawił na odlew, aż Fedor zjechał na kolana, a jednak nie padł na bok ani na plecy, jak chciał Zborowski.

I nawet na kolanach trzymał prosto głowę, odrzucił ułamaną resztkę kija. Samuel chciał go przewrócić, wbić w ziemię ciosami palcata jak glistę.

Niespodziewanie okazało się to równie łatwe, co zaprzęgnięcie wilka do wozu. Samuel bił krótkimi, błyskawicznymi ruchami: z lewej, z góry, od prawej, a Kozak bronił się rozpaczliwie. Nie mając palcata, zastawiał się przedramionami, jakby chroniły go żelazne karwasze. Obrywał w piszczele, oblicze wykrzywiał mu grymas bólu, przygryzał wargi do krwi, ale się nie dawał.

Samuel pozwolił, aby opanował go gniew, bił z całych sił, bo jak to? Zwykły, parszywy Kozaczek, rezun z łapskami czarnymi od gnoju, śmiał stawić opór? Komu? Jemu – Zborowskiemu?! To się nie mieściło we łbie!

Bił mocno, bił strasznie. I... nie mógł złamać

Kozaka.

Ochłonął, kiedy zobaczył blade oblicze Striczki. Zaciśnięte w grymasie bólu usta, strużkę krwi z przegryzionej wargi, rozdygotane ręce i ramiona – pewnie napuchłe, odbite od kości – jednak wciąż zastawiające się przed kolejnymi ciosami.

Wtedy spadło na niego przypomnienie dawnych chwil. Szary, pełen błota dziedziniec, a może ulica przy Kolegium Nowodworskiego w Krakowie, wesole, pełne radości oblicza żaków i gawiedzi. I krzyki, wrzaski, śmiechy, poszczerbiony palcat leżący w błocie, do którego nie miał już sił dopełznąć. Pogardliwy uśmiech tych lepszych Zborowskich – Marcina, Dersława, Andrzeja i Spytka – głównego sprawcy nieszczęścia.

– Starczy razów, bękarcie?! Będziesz się jeszcze zwał Zborowskim?

– Przymało – jęknął Kozak Striczka, choć zбитy jak pies. – Spróbujcie jeszcze, mości panie Samuelu.

Zborowski nie uderzył. Kozak wciąż klęczał, wsparty na kolanach jak głaz, rozdygotany, zdyszany. Samuel opuścił kij i odetchnął. Serce biło mu jak oszalałe.

– Na dziś wystarczy. Krótka była lekcja, niedużo z niej wyniosłeś, atamanie. Morał jest jeden: do walki kij musi być suchy. Idź oporządzić konie. I przynieś wina. Dużo węgryzna. Dobrego, inaczej weźmiesz po łbie od Huni.

Kozak ciągle tkwił w błocie, a jego oblicze szarzało niby niebo przed burzą.



5.

Po tej lekcji Kozak boczył się na Zborowskiego niczym dobry koń niesłusznie uderzony batem. Przez cały dzień podążał z tyłu, zbity, że ledwie siedział w siodle.

Rany i potłuczenia goiły się na nim niby na psie, bo już kolejnego dnia, kiedy przyniósł im od karczmarza wieczerzę, za którą jak zwykle zapłacił, nie odszedł do alkierza, ale sterczał przy stole na podobieństwo kołka.

– Ćwicz kroki – mruknął Zborowski, sięgając łyżką do glinianej miski z kaszą i odtrącając rękę Bohusza, który jak zwykle chciał uszczknąć najwięcej dla swego wiecznie głodnego kałduna.

– Wasza miłość, Bar przed nami.

– I co z tego?

– Za Barem Szarogród, a dalej: Dubinka, mój futór i batko.

– Daj mu, Panie Boże, zdrowia i życia.

– Ja was... w gości zapraszam.

– Dobrze – mruknął Zborowski. – Mało umiesz. Ćwiczenia trzeba dokończyć. Żebyś nie mówił potem, że darmo mi kupowałeś małmazję na gościńcach.

– Po sukni widzę, że chutor bogaty – mamlął Bohusz z pełną gębą. – Musicie nas tam przyjąć jak panów, bo inaczej cała nauka na nic.

– Ja przyjmę, przyjmę – uśmiechnął się Striczka, chociaż jego oczy pozostały smutne. – Nie pożałuję ni sołomachy, ni mamałygi, ani horyłki gospodarskiej.

– Duży ten wasz futór?

– My z batką zostaliśmy tam sami. Od kiedy poginęli moi bracia. Iwan i Bohdan na chadzce. Karpa

zabili na Siczy, a Łukian w łeb sobie strzelił z rusznicy, kiedy mu matka gorzałka zapaliła zmysły.

– A ojciec?

– Co ojciec?

– Jak batce na imię?

– Ostap, on już stary. Jak mnie nie stanie, starosta Pleśniarowicz zabierze futor. A mamy dobra, oj, bahato! Samych wołów płowych sztuk osiemdziesiąt i dwa, ule, owce, koni trzynaście, dobrych bahmatów tatarskich i turskich osiem, cośmy je przywieźli z wyprawy na Oczaków. A jeszcze mamy browar i gorzelnię, choć nam zabraniają palić horyłeczki. Mieliśmy tego więcej, gdyby nie bladyn syn Toporowski, trastia jeho na pohybel wzięła! Batkę mi obuchem zbił jak sobakę! Nic to, nauczu ja jeho Kozakiw szanowaty!

– Powinieneś się cieszyć, że w ogóle masz ojca – mruknął Hunia.

– Prawda – uciał jego wywód Zborowski, bo mdliło go od ciągłych przechwałek, z kim to i jak długo puszczała się matka kozackiego sługi. – Ten tu twój pobratymca – szturchnął Nikifora – prawie nie zna nawet swojej matki.

– Za pozwoleniem jegomości – ozwał się Hunia – nie jestem niczym pobratymcą.

– Przecie żeś Kozak?

– Jako syn murwy nie mogę być nie tylko szlachetny, ale nawet uczciwy, nie mówiąc o urodzonym i sławetnym. To co mi zostaje, jak nie kozakowanie? Ale, za przeproszeniem, Kozacy są rozmaici.

– Na przykład?

– Ja z Niżu, z bractwa siczowego, a ten tu z włości.

Zborowski tylko z wrodzonej uprzejmości nie dodał, że przecież w sumie niczym się nie różni jeden cap od

drugiego, a zgoła niewiele krwi placek od koziego łajna. I może dobrze zrobił, że milczał, bo Striczka spojrział nań całkiem miło.

– Wasz batko zwał się Samuel?

– Tak jest.

– To on buw naszym hetmanem.

– Powiadają.

– Wiedziałem, żeście jego synem. – Kozak wyraźnie odetchnął. – Jak was widziałem w karczmie w Czajkowicach, coś mnie od razu tknęło.

– To teraz – Zborowski odsunął prawie pustą miskę – wiesz już, że weźmiesz lekcję pokory z ręki hetmanowica. Łap za palcat!

Wyszli na dwór, za karczmę, w pokrzywy, aby nie robić zbiegowiska. Zanim Zborowski wyciągnął kij spod pachy, Fedor już czekał z własnym – tym razem wystruganym z twardej jesionowej gałęzi.

– Poczynaj, atamanie!

Striczka przyciął, Zborowski odbił, jeszcze raz i jeszcze. Na primę odpowiedział secundą, na ojcowski terc – cięciem quart, co Kozak podchwycił i oddał niespodziewanie cięciem referendarskim – przeciągając kijem od lewego ucha do dołu, na uda.

Samuel zbił cios zastawą, chlasnął palcatem po nogach, a potem oddał nyzkiem – ukośnie, od lewego boku w górę, skręcając rękę ostrzem ku niebu.

Stuk powiedział mu, że cięcie zostało zablokowane. Uczynił krok w lewo, aby obejść przeciwnika, a wtedy Kozak uczynił najgłupszą rzecz pod słońcem.

Wypuścił kij z ręki, pozwalając, aby opadł w dół; chciał prawie w tej samej chwili uchwycić go lewą ręką – aby ciąć podstępnie!

Samuel wybił broń jednym ruchem! I przeciągając, rąbnął w kolano, wychodząc z cięcia, wyprowadził pchnięcie – wprost w splot słoneczny, w żebra i szczyt klatki piersiowej!

Niemal w ostatniej chwili Striczka wywinął się spod palcata. Zborowski trafił go w prawy bark... Prosto w obojczyk, tak mocno, że aż odrzucił do tyłu. Tego już Kozak nie wytrzymał. Padł w trawę, otwierając i zamykając usta, jęcząc, bijąc lewą ręką o ziemię.

Zborowski zamarł nad nim, zdyszany, mokry, bo tego starcia nie dało się rozegrać tak łatwo jak poprzednich. Striczka jęczał, dygotał, raczej z bólu niż złości.

Do diabła łysego, przestraszył się Zborowski, strzaskałem mu kość, złamałem ramię, nigdy nie weźmie do ręki szabli!

I nagle, niespodziewanie, pochylił się nad Kozakiem; powoli, przełamując się, nie jak Zborowski, nie jak mistrz, ale dobry kompan, przyjaciel.

– Nigdy nie stosuj takich kozackich forteli – wydyszał. – Masz zabić, zabij, ale nie popisuj się, bo przegrasz. Nie becz jak baba, miej wzgląd na rany ojca. Pozbieraj się!

Striczka dygotał, a wtedy Zborowski, zaskakując samego siebie, wyciągnął do niego rękę.

Jeszcze tego samego dnia w nocy Samuel zbliżył się do posłania, na którym spał spracowany, wycieńczony Striczka. I obok jarczaka, na którym Fedor wspierał głowę, położył szablę.

6.

Futor Striczków leżał na Pobereżu, za Szarogrodem, na północ od Jahorlika i Ściany. Przycupnięty nad cichymi wodami Rusawy, która toczyła się wolno między skalnymi dolinami Podola. Nisko, nad rzeką, były zagony i niwy, wyżej zielone pagóry – widok był z nich naprawdę daleki, na dzikie stepy Ukrainy.

Psy rozszczękały się, kiedy wjeżdżali w opłotki. Nie było tu za wiele – ot, kryta słomą chałupa o pobielanych ścianach, z dymnikiem na dachu, zbita z bierwion. Obejście: chruściany sernik i kurnik, zagroda dla bydła i mała stajnia, strażnica z krzywych bali, kilka szop nakrytych słomianymi dachami. Wszystkie budowle tworzyły czworoboczny majdan i były otoczone zagrodami, płotami przechodzącymi w częstokoły przy wrotach, wzmocnione zasiekami ze zmurszałych pni. Tu i ówdzie rosły stare wierzby i buki o gładkiej korze – rozdzielające się nad ziemią na pokrzywione konary.

Kiedy zjechali w dół, do bałki porośniętej soczystą, piękną trawą, Zborowski usłyszał beczenie owiec, plusk wody w strumieniu, a potem skrzyp małego wiatraka na wzniesieniu.

Okrzyknięto ich z daleka; Fedor odkrzyknął hasło i chwilę później młody, bezwąsy Kozaczek w koszuli i postołach otwierał krzywe wrota, przytrzymując na rzemieniu rozszczękanego i rwącego się do końskich pęcín kundla. Wjechali na dziedziniec zalany słońcem. Dwóch bosych chłopków odebrało konie od Zborowskiego i

Fedora, pozostali musieli sami odprowadzić je do stajni. A Striczka zagarnął ramieniem Zborowskiego jak dobrego kompana, poprowadził na próg białej chałupy, gdzie czekał stary, siwy jak gołąb Kozak o gębie pomarszczonej jak stare jabłko. Wąsy miał niby dwa wiechcie, osełdec zdawał się ptasim puchem. Spoglądał na nich uważnie, osłaniając oczy od popołudniowego słońca.

– Fedor? Żywy ty? Sochroni Bih!

– Żyw, a jakże. I nie sam wróciłem. Nie poznajecie, Kasjanie?!

– Jesteś – wyszczerzył bezzębne dziąsła. – Sława Bohu.

– Na wiki wików!

– Amin!

Striczka ukląkł, ucałował próg rodzinnej chaty, podniósł się – wskazał Samuela.

– Kasjan, to jest pan Zborowski. Mój nauczyciel.

– Lach? Szlachticz? Jasne wielmożny pan?

– Syn hetmana Zborowskiego, z którym bywałeś na Probitym Uroczysku, na czajkach łuskaliście Tatarów.

– I obłuskałem, Boh pomagał – wycharczał stary Zaporozec. – A wszystko, co wzięłem, poszło. Było i spłyło.

– Gdzie batko?

– U wiszni. W stepy spogląda!

– Prowadź.

Kasjan powiódł ich za chałupę, otworzył małą furtkę, wpuścił do zacisznego sadu pełnego pokrzywionych wiśni. Nieopodal Rusawa obmywała z pluskiem kamienie, świergotały ptaki. Przy stole z drewnianej kłody, na zbitym z desek krześle siedział stary Kozak w żupanie i barankowej czapie, z wąsiskami i jednym okiem

przeciętym blizną. Spokojny i cichy jak stuletni dąb, którego nijak wykarczować z ukraińskiej ziemi. Pokrzywiony, spoglądał w dal, kurząc lulkę. Obok na stole stał gąsior horyłki i skórzane kubki.

Fedor padł przed nim na kolano, przycisnął lewą rękę do ust, dopiero potem podniósł się powoli.

– Batko, wróciłem.

– Wróciłeś – mruknął stary Striczka, głos miał niski, przejmujący jak archimandryta. – A czyś dostał, co chciałeś?

– Przywiozłem pana Zborowskiego.

Ostap nawet nie spojrział na Samuela, bujał wzrokiem w polach, w stepach, gdzieś wysoko, gdzie ulatniał się siwy dym.

– A czy jaśnie wielmożny pan Zborowski zrobi coś dla nas, prostych Kozaków?

– Nauczył mnie szabli, abym sam mógł pomścić waszą krzywdę po kozacku.

Stary Striczka nic nie mówił, pociągał z fajki i dumał.

– A, to źle – zawyrokował wreszcie. – Ja tego od ciebie nie chcę. Nie będziesz się mścił.

– Dlaczego? Takie moje prawo!

Stary milczał, wodził wzrokiem po podolskim stepie, mrugał zdrowym okiem.

– Czego tam wypatrujesz?! – wybuchnął wreszcie młody Kozak. – Tatarów?

– Nie, synaczku. Stosownego miejsca. Na mogiłę.

– Wybieracie się do grobu?

– Miłeńki, wolę ja iść do grobu, nawet niepomszczony, niż żeby cię Toporowski zabił. Rodziłeś się wolny, synu, z wolnego Kozaka, ty tylko mi zostałeś.

Co będzie z Dubinką, z naszymi batrakami, sługami? Kto im pokaże, jak żyć, kiedy mnie nie stanie?! Nie, synu, zemstę ostaw dla Boha, najwyższego sędziego.

– Jakże to tak, odpuszczacie Toporowskiemu? To po co ja to wszystko?!

– Tam będzie dobre miejsce. – Ostap wyjął na chwilę lulkę spomiędzy poczerniałych zębów i wskazał coś na skałach po drugiej stronie rzeki. – Jak umrę, wnieście mi mogiłę na wzgórzu, na szarym stepie. Żebym widział łąny, rzeki, pola, aby mi grały dnestrówce porohy. Tam moja dusza będzie szczęśliwa. Mości panie Zborowski...

– Słucham.

– Ty nie krzyw się na mnie i nie sumuj. U syna wielka duma, muszę baczyć, aby jej nie stracił razem z hołową. Tak i napijmy się na spotkanie. Kasjan, nalej gorzałki.

Stary sługa, domownik czy może dawny pacholek, lał kozacką prostuchę w skórzane kubki. Wypili, Zborowski aż chuchnął, bo horyłka waliła w łeb niby cepem.

– Tak i proszu do stołu – rzekł Ostap – tam zaczniemy rozhowory. Nie pogardzisz, panie, naszą kozacką strawą?

Zborowski nie pogardził. Stary Striczka naprawdę nie mógł chodzić, bo Kasjan i Fedor podnieśli go z siedziska i podtrzymując pod pachami, podźwignęli do chaty. Wtaszczyli do sieni, do której drzwi otworzył Samuel, a potem do izby z zielonym piecem, ale bez komina. Siedli za stołem, na którym dymiły proste kozackie potrawy, misy i dzbany porozstawiane były bez ładu i składu. Kasjan zakrzętnął się z pomocą młodej dziewczki; Zborowski zrazu ożywił się, widząc niewiastę,



zaraz jednak odpuścił, bo tylko z nazwy i wieku wyglądała na młodycię, poza tym była krępa, niska, na licu miała szpetne ślady po ospie.

Podali sałamaczę, barszcz i kaszę, brackie kołaczki i korowaje. Na koniec polewkę. Do picia postawili gąsiory horyłki, miód w miednicy. Zborowski przytknął oko na galimatias, który panował na stole, gdzie gliniane i drewniane misy stały obok cynowych talerzy i srebrnych półmisków ozdobionych aż nadto wyraźnym znakiem Śreniawy. I tylko z wrodzonej delikatności Samuel nie zapytał znacząco, czy nie był to czasem herb Striczków. Miód pili z drewnianych kubków, horyłkę ze szklanic i kuśtyków. Zborowski zrobił sobie talerz z placka, wyciągnął zza cholewy nóż i łyżkę, wołąc ubogie srebro od drewnianych kozackich sztuców rodowych.

– Ja cię nie puszcę na Toporowskiego – rzekł Ostap z pełną gębą kaszy. – Taki to Lach proklatyj, wyzwał do walki jak herbowego, ale potem bił we mnie jak w tatarski bęben, garbował skórę jak na świni. Ale to sprawa między nami a Bogiem.

– Skoro nie chciałeś szukać sprawiedliwości w sądach.

– W jakich tam sądach – prychnął stary. – Inne są sądy na nas, a inne, z przeproszeniem waszmości, na Lachów. Tak ty panu Zborowskiemu zapłać, ugość jak brata i na kolanach proś o przebaczenie, żeś ciągnął go taki kawał drogi.

– Nie trzeba – mruknął Samuel – pomogłem waszemu synowi z dobrej woli. I dałem równie dobrą lekcję.

– Pan Zborowski i tak jechał na Ukrainę.

– Tak? – przewrócił oczyma stary. – A dokąd, jeśli

wolno wiedzieć? Do Kijowa?

Samuel przestał jeść i uśmiechnął się smutno.

– Dokąd? Sam nie wiem!

– Nie wiecie? Jak to? Szukać służby? A może – oczy mu błysnęły – na Sicz? Nie macie krewnych na Rusi. Skąd w ogóle jesteście?

– Znikąd.

– Przecie familia Zborowskich znaczny ród.

– Ja jestem najmniej znany, bo ojca ścięli, zanim przyszedłem na świat.

– To nie masz dworu? Przysiółka?

– Nawet takiej chałupy jak wasza. A prawdę powiedziawszy, uciekam.

– Jak wasz matka – mruknął stary Kasjan – też ubił, jak mu tam, przepomniałem...

– Kasztelana Wapowskiego.

– Właśnie. A wy kogoś zabiliście?

– Wołoskiego kniazia. Katowskim mieczem.

– W pojedynku?

– Ściąłem. Za to, że zadał gwałt mojej niedoszłej żonie. A potem robiłem jeszcze gorsze rzeczy.

– Niedobrze, że nie masz własnego futuru – rzekł Ostap znad pustej misy. – Znaczy jak liść gnany wiatrem pędzisz po stepie. Jak siromacha nawołujesz zbawienia. Ja już mam. Ten zimownik wzniosłem tutaj własnymi rękoma. Na stepach. Kiedyś były tu trawy, Tatarzy, brukołaki, strigi, upiry. Teraz są pola.

– Dużo wam zabrał pan Toporowski?

– Przyjechał z chorągwią, na stancję, niby że to królewszczyzna. Ale to jest insza sprawa. Z panem Łukaszem Pleśniarowiczem, podstarościm braclawskim. On uważa, że to królewska włość. Chce tutaj osadzić

słobodę. A ja się pytam, czyja to była ziemia, kiedy przybyłem tu z Siczy? Ptaków? Wilków? Suhaków? Tatarów? Jednego Boha. A co Boh daje, tego człowiek odebrać nie może.

– Powiadaj lepiej, jak było z Pleśniarowiczem. Z nim się nie biliśmy, ale przez niego zwada z Toporowskim.

– No było – westchnął stary i dał znać Kasjanowi, a ten dolał horyłki do kuśtyków i szklanicy – wszystko przez podstarościego. Kiedy lackie chorągwie przysły do Braclawia, wskazał, że Dubinka to królewska wieś. Zjechali panowie husarze, zaczęli wyciągać krowy, gonić kury. Wyszedłem do nich z moimi Kozakami, wszczął się rejwach. Dydko mnie pokusił, że wyzwiałem go po kawalersku na szable. On, dziwna rzecz, Lach, szczerzył żołnir, przyjął.

– Tylko jak nie starczyło wam sił, tak was wybił, że skreślił kark i połamał kości.

– Ano połamał. Tak i on lubi płażować szablą. Ale to moja sprawa, nie twoja, boś ostatni z braci. Kto tu będzie batką, kiedy mnie nie stanie? Wtedy Pleśniarowicz odbierze nam cały dobytek.

– Szczob jego trastia mordowała, bliaduna! – warknął Fedor. – Toporowski zabrał gumna, czterysta kop żyta, poniszczył niwy, zagrabił krowy, potratował ogrody, spuścił nawet wodę ze stawu! A ty co, nic? Borodiakę na śmierć usiekli, dwóch naszych batraków porąbali, spalili trzy chałupy, rozwalili burdiugi. A ja co, nic?! Tak i pojedę się zemścić. A nie stanie do walki, to po kozacku ureżę mu szyję! Na paliku posadzę!

– O, wa, bodaj i całą jego chorągiew! Mości panie Zborowski, usadź watażkę. Ot, znalazł się atamańczyk. A co, jak ja po ojcowsku każę Kasjanowi zadek ci zedrzyć

nahajem, co wtedy zrobisz, detyno?

– Nie zrobicie tego.

– Ja nie zrobię?! A to dlaczego?

– Bo Kasjan już za stary! Prędzej mu ręka uschnie, niż moje siedzenie zedrze.

– Tak ja poproszę pana Zborowskiego, aby cię zatrzymał. Mości panie Samuelu, jesteście jego nauczycielem, więc mu przemówcie do rozumu. Ja bardzo proszę.

Zborowski uśmiechnął się i podsunął Kasjanowi pustą szklanicę.

– Wasz syn ma własny rozum.

– Póki przy mnie władza, mój mu starczy.

– Szanuj ojca, Fedor. – Zborowski pogroził palcem Kozakowi. – Póki go masz. Zabierze go Pan, zostaniesz sam jak palec.

– O, słusznie mówicie! – rozchmurzył się stary Striczka. – I za to się jeszcze napijmy. Mości panie Zborowski, a może chcecie osiąść?

– Gdzie?

– A choćby i tutaj. – Zatoczył ręką koło. – Dokoła pełno pustek. Wy Lach, wam będzie łatwiej, sam podstarości będzie łaskawy. Weźmiecie jakąś slobodę albo folwark, który zrujnowali Tatarzy, ja wam pomogę, wesprę, dam wołów, owiec, a choćby i ludzi do pracy!

– Chcecie mnie za sąsiada? A może ja dytko? Nawet nie wiecie, z kim się zadajecie.

– Z dobrym chrześcijaninem, skoro pomogliście synowi, nie zważając na szlachecki stan.

Zborowski nie wiedział, co rzec. Ogień trzaskał w piecu, mrok wkradał się w kąty izby. Brzęczały pszczoły w sadzie. W izbie o glinianej polepie było tak cicho, tak

przytulnie, że morzył go sen.

– Możesz u nas być, ile chcesz, mospanie. Jako gość, a może więcej. – Stary zamilkł, jakby zdumiony własną śmiałością. – Jako przyjaciel.

Samuel uśmiechnął się i nagle klepnął Fedora w plecy.

– Nie bój się, batko. Skoro tu jestem, razem przypilnujemy twego syna. A teraz wasze zdrowie!

7.

Striczka ciął skosem, na odlew – od siebie, całkiem jak Węgrzyn. Zborowski przyjął cios na zastawę, od razu przeszedł do niskiej odpowiedzi na udo, ale i ta została sparowana. Odskoczył na ugiętych nogach, bo Fedor nagle popisał się kozackim młyńcem, w którym szabla wychodzi spod pachy. Zupełnie inaczej niż przy polskiej krzyżowej – gdzie ręka wyciągnięta jest w przód, a przedramię z dłonią opuszczone daleko od ciała.

Kozaczek zadał cios – wyprowadzając głownię spod pachy – jakby chciał otrzeć przedramieniem gębę z błota. Uderzył obszernym cięciem na głowę. Pani Zborowska jak zwykle wyskoczyła w górę – do zastawy. A wtedy Fedor zwiódł przeciwnika – złożył fintę, pozorowane cięcie. Zamiast rąbnąć przeciwnika w łeb, przeciągnął ostrze po łuku – w dół, na nogi.

Samuel odczytał to już tylko z mowy ciała. Nie było czasu na bagatele, bo Fedor z dnia na dzień zmieniał się w błyskawicę. Atakował szybko i śmiało, a może nawet zbyt śmiało, zważywszy na doświadczenie Samuela.

Dlatego Zborowski tylko zaparł się na nodze zakroczonej, lewej, odchylił tułów do tyłu i podniósł prawą. Ostrze przeszło pod nią niemal w ostatniej chwili, tuż pod obcasem – sztych szabli zadrapał cholewę buta na lewej nodze szlachcica. Akcja była sprawna i szybka – tym razem nie mógł powiedzieć: trafiło się ślepej kurze ziarno.

I wtedy pan Zborowski postawił na ziemi prawą, wykroczną nogę i nabierając pędu, kopnął Fedora z lewej, z całych sił, prosto w sepet na plecach, to jest miejsce, gdzie u szlachcica kończy się fantazja, a zaczyna sodomia.

Striczka poleciał chyba o dobre cztery łokcie do tyłu. Zwalił się w trawę, mało nie wsadził jelca w oko. A jednak kiedy Zborowski zamierzył się ostrzem i zadał cios, gestem ostatniej rozpaczony wyszarpnął spod siebie szablę i – leżąc – złożył zastawę, osłonił się przed cięciem.

– Dobrze... – wydyszał Samuel. – Całkiem nieźle. Ale to jeszcze nie wszystko. Raczej początek.

Podał rękę Fedorowi, pomógł mu wstać. Kozak zatoczył się, dyszał ciężko.

– Będę się uczył... Do skutku, sam widzisz, zem cierpliwy.

– Jak na Kozaka, jesteś tytanem pokory. A tylko tacy wejdą do królestwa szabli, ramię w ramię z tymi, co mają więcej rozumu niż siły.

– Uważasz, że tego mi brak?

– Jesteś zwinny i czujesz tempo, mówiąc po włosku, po polsku: wiesz, kiedy ciąć, a kiedy się uchylić, trzymasz dobrą menzurę. Masz o wiele za słabą dłoń i nadgarstek.

– Żeby się zmierzyć z Toporowskim?

– Ty w kółko o tym samym.

– A niby po co się uczyć?

– Brak ci doświadczenia, a tego nie wpoi ci żaden

preceptor. Musisz sam je zdobyć, praktykując na Zaporozu, w polu, w karczmie, w wojsku, na gościńcu. Zabiłeś na ten przykład kiedyś kogoś?

– Bo to raz? Pohańców, świętuchów tureckich, nieprawdą żyjących. Wołochów... No i Lachów zdarzało się też.

– Ale w otwarte oczy, szalawiło! W pojedynku, jeden na jednego. Nie w bitwie, gdzie ciach, prach, wróg leży, ale nawet nie masz czasu, aby na niego popatrzeć.

– W takiej walce... Nie.

– A widzisz. Spróbuj teraz z innymi Kozakami, może z jakimś szlachcicem. Nawet z czeladzią. Zawsze to będzie coś nowego. Ja już skończyłem.

– I co zamierzasz?

– To co zwykle – Zborowski skinął głową na wschód – w drogę.

– Naprawdę nie masz domu?

– Koło fortuny zawsze go zmiażdży. Uciekam, zanim nie połamie mnie samego.

– A gdybyś został?

– U was? – uśmiechnął się Zborowski.

– Batko mówił prawdę, nieszczęśliwy z was człowiek, wybaczcie, że ja tak... Ale od serca. Weźmiecie ziemię z królewskiej.

– Żeby wziąć ziemię w dzierżawę, trzeba mieć o wiele więcej pieniędzy, niż zapłaciłeś mi za naukę.

– Pożyczmy.

– I nie straszny wam Lach diabeł, łacinnik?

– Taki najlepszy, bo się go boją. Już starosta Pleśniarowicz zaśpiewa niczym rzezaniec, jak dwóch takich jak my tu się rozsiądzie. Kij mu w oko, a w rzyć judaszowe srebrniki wepchniemy!

Zborowski milczał.

– Mości panie Lachu – rzekł Fedor zdjęty śmiałością – ja ciebie miłuję jak braci, których odjęła mi pani wojna. Po co masz jeść cudzy chleb, skoro u nas możesz mieć własny?

– Chcesz, żebyśmy ślubowali? Jak bracia? Lach i Kozak?

– Prosty, ale szczerzyj. Jedyny, co cię chce za przyjaciela. Bo co z tego, że inni szlachtycze Lachy mówią do ciebie: panie bracie? Albo mają cię za bękarta, za pogrobowca. Za łze-Zborowskiego. Sami nie wiedzą, co z tobą uczynić. Ścięli ci ojca, którego cała brać zaporoska winna szanowały. Nie dali ziemi, choć masz herb. I jeszcze pewnie wywołali na cztery strony świata.

Zborowski uśmiechnął się, spojrział w niebo, zerknął na step i aż potrząsnął głową.

– Tak, mój Samuelu, druhu, bracie. Złośliwi księża jezuiti, kniaziowie i królewęża chcą nas podzielić, kiedy możemy żyć w zgodzie. Podajże rękę Kozakowi, gdy wyciąga do ciebie serce.

– Podaję. Niechaj będzie. Złożymy śluby braterskie. Pytanie: kiedy?

– Ot, choćby dzisiaj! Cerkiewka jest w zakolu Rusawy.

– To... Co my tu jeszcze robimy?!

– Hajda w step!

– Poczekaj. – Zborowski chwycił Fedora za ramię. – Pojedziemy, a jakże. Ale wcześniej mam jeden warunek.

– Wiedziałem...

– O to mnie prosił twój batko, abyś poniechał zemsty na Toporowskim.

– Szczob jeho trastia i jasnyj hyr! – Kozak uderzył



się po szabli.

– Poniechasz go dla mnie?

– Poniecham, poniecham, niechaj ci będzie. Dwóch na jednego, to co mam robić?

Wsiedli. I pojechali. Przez wieczorne stopy, przez bród, między skałami. Dotarli do drewnianej świątyni zdobionej trzema baniastymi wieżyczkami i ruskimi krzyżami.

Cerkiew była pusta. We wnętrzu rozświetlonym płomykami świec, przed rzędem brodatych świętych spoglądających na nich smutno z ikonostasu, uklękli razem, złożyli dłonie, a potem powtarzali razem słowa jak modlitwę:

– A kiedybyśmy obaj tylko jeden grosz mieli, tedy połowa należeć będzie jednemu, a połowa drugiemu. A kiedyby nam obydwu pozostała tylko jedna ręka, tedy ta ręka ma pracować na chleb dla obydwu. A kiedyby nam zostały tylko dwie nogi, tedy te nogi mają nosić ciała obydwu.

Wszedł ryży pop, dał im do pocałowania chrest.

Rzucili mu garść złota, mało nie padł z wrażenia. A potem pojechali do futuru, bo wszak ani z nich byli sodomici, ani nie żyli w pludrackiej ziemi, tylko w Rzeczypospolitej, zatem nie mogli po tak doniosłym wydarzeniu iść spać o suchym pysku.

Stary Striczka nie wierzył własnym uszom. Zwołał Kozaków, wytoczył beczkę okowity, cały miód. Naruszył nawet zapas słodkiej małmazji, który trzymał właśnie na... ślub syna.

A kiedy Samuel podniósł się z ławy następnego dnia w południe, zobaczył, że posłanie brata Fedora jest puste. Poszedł go szukać, ale Kozaka nie było w futorze.

Powiedzieli mu, że skoro świt skrzyknął dwoje sług, dosiadł konia i pojechał – na południe, pod Buszę, gdzie stały wojska kwarciane.

Zborowski uderzył głową o ścianę – dosłownie! – bo wiedział, że Striczka złamał słowo i wyruszył po sławę i zemstę.

## 8.

Wyszedł zza krzaków, w chwili kiedy pan Toporowski – krępy i żwawy jak ożywiony pień drzewa – ładował na jucznego konia łąnię zabitą na polowaniu w dworskim lesie nieopodal Buszy.

– Czołem, jasny panie.

– Czy ja cię znam, hultaju? – Porucznik zlustrował Kozaka ciężkim, mętным wzrokiem.

– Mój ojciec poznał lepiej. Zwłaszcza waszą małżonkę. – Striczka skinął na służkę Danilkę, który sprawnie i cicho pochwycił opartą o pień drzewa szablę.

Toporowskiemu nie drgnęła brew; nawet wtedy, kiedy zobaczył drugiego Kozaka – Stiepana, który wynurzył się z krzaków. Sam zerknął na jedyne go sługę – młodzianka w błękitnym giermaku. No cóż, rachunek sił nie wypadał dobrze dla szlachcica. Jednak spokojnie dociągnął ramię krępujący tylne nogi łąni i otarł ręce o żupicę.

– Czego chcesz?

– Sprawiedliwości.

– Pójdiesz na pal za napad na szlachcica, rezunie. Mam tu pod Buszą całą chorągiew. Ile czasu, myślisz,

minie, zanim ruszą mnie szukać?

– Nie chcę was napadać, mości panie.

– To won! – wzruszył ramionami Toporowski. – Nie mam czasu.

– Poraniliście mi ojca na futorze w Dubince – mruknął Kozak. – Wy pewnie nie pamiętacie, ale zakarbowałem to sobie jak krechę na nosie. Nie wywiniecie się teraz, raz maty rodyła, stawajcie do walki. Za batkę. Na smert!

Toporowski był jakby zdumiony. A może rozbawiony.

– Chcesz mnie wyzwąć?

– Tu i teraz.

Porucznik parsknął śmiechem.

– Mam się bić... z Kozakiem?

– Położysz mnie, będziesz wolny. Ja jednak myślę, że Boh wejrzy na moją niedolę i ojcowe rany.

– Niech będzie, byle szybko! – rzucił zimno Toporowski. – Chwiedorek, podaj szablę.

Nie wziął jej z ręki Daniłki, wyczekał, aż jego własny sługa odbierze broń od Kozaka. Potem stanął na środku polany, podwijał rękaw koszuli do łokcia, gadał coś do pacholika, który podwijał mu taśmy.

Fedor nie zrzucił żupana. Rozpiął go tylko, wyciągnął prawą rękę. Rękaw zwisał mu bezwładnie na plecach.

– Czekam.

– Zaraz, zaraz! – warknął Toporowski, mocując się z opornymi taśmami. I nagle, ni stąd, ni zowąd, trzasnął lewą ręką Chwiedorka w gębę, kantem dłoni. Miał wprawę, bo sługa aż jęknął, zatrzęsł się, z ust pociekła mu krew.

– Jak wiążesz, ciemiego! – zaryczał porucznik. – Za

łokciem, mocno... Za mocno.

Pachołek posłusznie kiwał głową, zawiązał tasiemki, a potem odsunął się, wyciągając rękę z szablą. Toporowski uchwycił ją i wyszarpnął jednym ruchem. Na chwilę oczy Striczki i Chwiedorka spotkały się. Z ich wszystkich pięciu przynajmniej czterech życzyło Toporowskiemu, by pocałował śmierć!

Fedor odetchnął, dobył szabli.

– Stawaj, ciemiego! – warknął Toporowski.

– Przecie stoję.

Porucznik ruszył na niego ostro, ale zaraz zwolnił. Ciął na głowę, z góry, odstąpił pół kroku w bok, próbując zająć Striczkę po kolei z każdej strony. Za każdym krokiem kręcił półmłyńce szablą. Krok w przód i błysk. Krok w bok i furkot.

Fedor nie dał się sprowokować. Uczynił mały kroczek w tył, ciągle trzymając szablę przed sobą, nieco skośnie, ostrzem w górę.

Szlachcic przyciął – z półmłyńca wyprowadził cięcie na bok, z prawej strony – w pierś. Kozak zastawił się szablą, odrobinę cofnął.

Toporowski ruszył żwawo do przodu. Skracał menzurę małymi kroczkami, a Fedor równie sprawnie się cofał. Ścięli się raz, drugi, potem ręka porucznika wystrzeliła gwałtownym ruchem w przód, aby zmacać Striczkę w głowę.

Mołojec wywinał się spod ostrza jak błyskawica – zszedł z linii ciosu w bok, aż uderzenie poszło w ziemię. I wtedy jego adziamska szerpentyna wywinięła skoczego kozaka – tnąc z lewej, płasko, prosto w szyję szlachcica!

W ostatniej chwili... nie obracając nawet szabli do zastawy – Toporowski wyłapał śmiertelny cios, odbił

kozackie ostrze tyłcem szabli przy samym jelcu, podbił je w górę. Zrobił krok w bok, wyszedł z niskiej postawy do ciosu!

Szable zabrzęczały, kiedy próbowali obejść się wzajemnie, zdyszani, zmęczeni. Toporowski znów ruszył – uparty i nieustępliwy jak byk. Kozak cofnął się...

I wyczuł za sobą drzewo. Koniec peregrynacji, ani piędzi w tył.

Szlachcic uczynił krok w przód i pchnął – szybko i prosto, aby przyszpilić Striczkę do pnia.

Lecz Kozak obronił się wysoką zastawą. I lewą ręką pod szabłą przechwycił uzbrojoną dłoń przeciwnika – tak jak nauczył go Zborowski, łojąc nie raz kozacką skórę.

Nauka nie poszła w las. Okręcił Toporowskiego wokół siebie, robiąc krok w bok, pchnął, a porucznik rąbnął w drzewo, uderzył w pień podgolonym łbem, osunął się niżej, szabla wypadła mu z ręki...

Daniłku i drugi kozacki sługa ryknęli głośno, aż echo odezwało się w lesie. Chwiedorek nie poruszył się nawet, ocierając wierzchem dłoni krew płynącą z rozbitych warg. Jego pan miał parę w łapach – sługa chwiał się i ledwie stał na nogach po jednym ciosie; wspierał się na nadzieiaku.

Toporowski, prawdę rzekłszy, wyglądał niewiele lepiej. Gramolił się z kolan, pokrzwawiony, rozdygotany jak zdychający indor. Striczka podsunął mu sztych szabli pod brodę.

– Co teraz? – wycharczał porucznik. – Pchniesz mnie? A może powoli ureżesz gardło? Zwyczajna rzecz dla czubaryka.

Striczka spojrział na tryumfujących Kozaków i uśmiechnął się.

– Wstawaj i walcz, panie Lasze.

Zagarnął z ziemi szablę Toporowskiego – podał mu, trzymając za ostrze.

Szlachcic wyciągnął rękę, zacisnął dłoń na rękojeści.

I pchnął, mocno, szybko. Nie do obronienia!

Striczka jęknął, gdy dostał w brzuch, z lewej strony, poniżej żeber, ale nie wypuścił szabli. Powietrze uciekło mu z płuc, ziemia podnosiła się coraz wyżej, wyżej i wyżej. Zanim padł, Toporowski wyrwał ostrze z jego ciała, chlasnął go krótko, na odlew w łeb, poprawił z prawej.

Fedor opadł, wsparł się na rękach, nie puścił szabli, ale nie znalazł sił, aby unieść ją do obrony. Jęczał i dygotał, a wróg zawiązał broń w rękę i strzelił go płazem w policzek, dołożył w łeb, w ramię, w plecy. Tłukł i płazował, dysząc krwią i złością.

I wreszcie rąbnął w łeb okryty czapą. Rozległ się metaliczny brzęk. Szabla husarska porucznika pękła przy młotku, rozleciała się; pióro odpadło, widać nadwyreżone w bitwach, potyczkach i zwadach. Albo miało dość płazowania wrogów.

Toporowski podniósł do oczu kikut szabli, odrzucił go i zanim zdążyli go powstrzymać, chwycił nadziak, na którym podpierał się Chwiedorek.

Rzucił się w stronę pokrwawionego, jęczącego Fedora.

– Ty... – zawył. – Tyyyyyy!

Bił jak szalenciec, zadawał ciosy w łeb, w ręce, w plecy. Po pierwszym uderzeniu Kozak utrzymał się jeszcze na kolanach, po drugim padł w trawę, po trzecim próbował pełznąć, ale Toporowski zdzielił go w plecy, między łopatki. Postawił stopę na krzyżu, bo nadziak wbił się aż po rękojeść, wyrwał go, zdzielił jeszcze i jeszcze...

Striczka dygotał, na plecach wokół krwawych dziur rozlewały się szerokie plamy posoki.

I wreszcie Toporowski uderzył obuchem, rozwalił Fedorowi skroń; nadzieak wszedł prawie po oczodół. Więcej nie zdołał uczynić, odepchnęli go Daniłka i drugi Kozak, Chwiedorek chwycił pana za rękę, sam dostał w łeb, ale z pomocą ludzi Striczki rozbroił porucznika, wyrwał mu nadzieak.

– Zabrać go! Z oczu! – ryczał szlachcic. – Do diabła rogatego, precz! Kto go uczył?! – zakrzyknął, łapiąc oddech i idąc za sługami, którzy dźwignęli pokrwawionego Striczkę z ziemi. – Nie machał jak cepem jak wy, chamy... Ktoś mu układał rękę! Kto to był, pytam?

– Pan Samuel Zborowski.

– Zborowski? Syn tego?! – zakrzyknął Toporowski, którego radość po zwycięstwie czyniła szalonym. – To mu przekażcie! Powiedzcie... powiedzcie...

9.

– ... że bękart i rezun to za mało, aby posiekać szlachcica polskiego! – wykrzyczał Daniłka, idąc obok skrzypiącej ruskiej kolasy. – Choćby się w korcu maku dobrali! I mówił... Mówił – zaszlochał, spoglądając na zakrwawione ciało Striczki złożone na wiązce słomy – że daje waszej mości pole, kiedy chcesz, choćby zaraz. Aby dwóch kpów ubyło za jednym zamachem! Wiele rzeczy gadał! Szczob jeho sierpiachowa smert’!

Zborowski przymknął oczy, bo już nie miał sił. „Bękart! Bękart! Ty bękartcie!” – krzyczeli mu w ucho

różni ludzie. Zborowscy w Kolegium Nowodworskiego. Żacy na krakowskiej ulicy. Przechodka w zamtużeniu, gdzie pierwszy raz próbował gonić do ciasnego pierścienia. Gawieź na rynku w Przemyślu. I ojciec... Ten był cichy, spokojny. Z szeptu starego zapamiętał tylko jedno słowo: zemsta.

Wyprzedził kolasę, jeszcze zanim dotarła pod próg kozackiego futuru. Pchnął dębowe drzwi, przeszedł sień, wkroczył do izby z takim impetem, że spoczywający na łożu nakrytym kilimem stary Striczka poderwał głowę. Musiał coś przeczuć, bo głos miał rozdygotany.

– Panie Zborowski, synaczku, dokąd? Dokąd?! Co się stało?

Samuel pochwycił swoją szablę i nadzieję, złapał ferezję, bo dni robiły się chłodniejsze, a potem wskazał drzwi.

– Fedor – rzekł głucho. – Nie posłuchał ani mnie, ani was.

– Spasi Chryste! – Gęba starego Kozaka zbieleła jak kreda. – Synaczku... Co teraz? Jak żyć?

– Idę.

– Cokolwiek chcesz czynić, panie Zborowski, poczekaj!

Nie słuchał. Wybiegł z chaty, ścigany jękami starego. Nie chciał być świadkiem tej sceny – widzieć starego ojca kaleki pochylającego się nad ciałem ostatniego syna. Nie zamierzał oglądać służby i batraków gromadzących się przy kolasie ani słuchać ich lamentów. Ale to był futor, nie dwór – nie było płaczu ani jęków. Były spojrzenia, które ścigały go, dźgały w plecy, kiedy kulbaczył Pioruna, a potem sam, nawet nie wołając Huni, ruszył galopem na południe, na Jahorlik, do Buszy. Bohusz



zabiegł mu drogę, coś krzyczał, wymachiwał rękoma. Zborowski omal go nie stratował. Wypuścił się w step, poza rozchwierutane wierzeje futuru, nie zważając, kto jedzie za nim i czyje oczy śledzą go zza krzaków.

I tam właśnie, między starymi wierzbami, u cichych wód Rusawy, rozległ się świst arkana, który owinął szyję szlachcica niczym powróż Judasza. Zwalił go z konia, aż ziemia zadudniła. Samuel wpadł w czyjeś ręce, schwytano go i skrupowano jak barana, ale przytomności nie stracił.

I wtedy dopiero przyszło mu do głowy, jak bezrozumną rzeczą było puszczać się w taką podróż bez czeladzi.

10.

O dziwo, znalazł się w rękach Dydyńskich. I może mimo ciężkiego położenia była w tym wszystkim jakaś złośliwa przewrotność losu. Nie Toporowski, nie Tatarzy, nie ludzie Domny Mohyłanki ani Jazłowieccy, nie jacyś stepowi watażkowie, co najpierw chwycą, potem obrabują, a na końcu wydupczą. Dydyńscy, bracia, których znał jak zły szeląg. To była jakaś ulga. Chyba nie urezą mu gardła – przynajmniej jeszcze nie teraz.

Panowie z Dydni i Niewistki byli weseli jak stado szczygłów. Krążyli wokół Samuela niczym Słońce i planety wokół Ziemi, największy, najbardziej spocony i zasapany Mikołaj co chwila sprawdzał mu więzy, kiedy już wsadzili go na konia i poprowadzili w dół Rusawy – to znaczy na południe. Przeclaw pogwizdywał, Jacek siedział dumny jak paw, a Zygmunt zawadiacko podkręcał

kozackiego węża. Najmłodszy Łukasz – zdaje się, że wyciągnięty z lochu – jechał smutny i blady. Na koniec zaczęli częstować się tabaką i gorzałką. I trzeba przyznać, że fantazji im nie brakowało, bo na znak Jacka Mikołaj dał spory łyk jeńcowi.

– Dokąd teraz jedziemy, mospanowie? – zapytał, gdy tylko przełknął palący płyn i odetchnął stepowym powietrzem.

Dydyńscy zarechotali. Przez chwilę przepychali się, szturchali na koniach, jakby zrzucając jeden na drugiego ciężar odpowiedzi na to niezręczne pytanie. Zborowski zauważył jednak, że szczutki, którymi obdarzali siebie sowicie, omijały najstarszego z nich.

– Waszmości się pytam, panie Jacku nad Jackami.

– Wracamy do swoich – odparł Dydyński. – Ot, pozwiedzałeś sobie, panie bracie, Ukrainę, pooddychałeś swobodą, teraz czas na powrót. Wielu cię tam u nas wspomina z utęsknieniem, a zwłaszcza w Przemyskiem.

– Czyżbyś, mospanie, przeprosił się ze starostą Krasickim?

– Starosta nie ma tu nic do gadania. Jeśli chcesz wiedzieć, jest na ciebie zlecenie. Od panów Krechowickich.

– Co słyszę?! – roześmiał się Zborowski. – A może jeszcze dowiem się, że w zamian za moją głowę obiecali ci rękę siostry?

– A może to ja pochwyciłem cię dla prywaty? Mamy wszak niewyrównane porachunki!

– Mówisz o gospodarczyku?

– Raczej o wieży na zamku przemyskim.

– O tamtym? Jak Zborowski pokonał pana Dydyńskiego bez zdobycia szabli? A Jacek nad Jackami

swoją zostawił na zamku.

– Nie pokonał szablą, ale pistoletem.

– Wiesz co, panie bracie, masz do mnie rankor, to stawaj do walki. Ot, choćby tutaj. Niechaj rozstrzygnie żelazo.

– Gdyby nie obietnice, które złożyłem pewnym osobom, dawno rozdziobaliby cię krucy, mości panie Zborowski.

– Przykro słyszeć, że wyżej cenisz złoto niż fantazję. A pfe! Panie Jacku. Nie tego się po waści spodziewałem.

– Ten pojedynek rozegramy na moich zasadach. Nie będę się bił z trupem i wywołańcem, którego szuka pół województwa.

– A ty sam niby kto? Rycerz spod kresowych stanic?

– Ale nie morderca nienarodzonych dzieci.

Zborowski szarpnął rękoma związanymi z tyłu, na kulbace.

– Sam wiesz, że prawda była inna.

– Prawdę zna tylko Bóg. I ty mu ją wyznasz, kiedy będziesz miał okazję przed nim stanąć.

Zborowski milczał, bo prawdę powiedziałwszy, nie miał już siły do tego wszystkiego. Jedno było pewne – skoro Dydyński nie przyjął wyzwania, skoro w ogóle nie zmusił Samuela do walki, to znaczy, że porwał go nie dla prywaty, ale na czyjeś zlecenie. Pewnie Krechowieckich, ale Zborowski nie miał pewności, czy Jacek właśnie nie taksował jego głowy i nie zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby oddać Samuela staroście przemyskiemu – a może nawet Domnie Mohyle, dyszącej zemstą za śmierć syna.

I wtedy padł strzał.

Byli na polanie, wśród drzew. Wierzchowiec, na którym jechał Mikołaj – potężny inflantczyk, a może

meklemburczyk, zakwicział i zwałił się, wałąc łbem o kamienie. Mikołaj zleciał jak wór rzepy, padł na bok i zamiast zerwać się, przypadł do ziemi, z pokrwawioną i spotniałą twarzą.

Pozostali skulili się. Przeclaw chwycił bandolet, Jacek puffera, pachółkowie porwali za rusznice.

– Do drzew! – syknął Jacek nad Jackami. – Bo jak kaczki...

Drugi grom. Kula zrykoszetowała z gwizdem od głazu tuż pod kopytami siwej klaczy Jacka. O dziwo, koń nawet nie zastrzygł uszami.

– Stać! – krzyknął jakiś głos, zniekształcony, odbity echem od ściany lasu za nimi. – Ani kroku w tył!

Znów strzał i znowu kwik. Tym razem konia pachółka, który skoczył w przód, aby szukać ratunku w dąbrowie przed nimi. Krew ciekła z szyi wierzchowca, cofnął się, podskoczył, rzucał i miotał.

– Osiem rusznic! – rozległ się głos. – Jeden krok, zabiję!

– Z koni! – krzyknął Dydyński. – Strzelać, psułaty!

Sam pierwszy zeskoczył z kulbaki, ale, o dziwo, zamiast szukać ochrony pod koniem, zasłonił własną piersią klaczkę, jakby nagle jej życie można było przeliczyć na złote floreny.

– Stój, psi synu! – zakrzyknął. – Przestań zabijać konie!

– Mam siedem nabitych rusznic i banditkę. Starczy dla każdego z was! Nie ruszać się.

– Czego chcesz?

– Wydajcie Zborowskiego!

Oczy Dydyńskich błędziły po drzewach i krzakach. Skąd strzelano? Nigdzie nie było widać strzelca. Swoją

drogą, miał sokołe oko i musiał trafiać monetę na sto kroków, skoro punktował ich z takiej odległości.

Dydyńscy spojrzeli po sobie. Przeclaw strzelił z bandoletu w gęstwinię – kula poszła Panu Bogu w okno, ale spoza drzew natychmiast nadeszła odpowiedź. Świst był tak blisko, że wszyscy skulili głowy Wystrzał zdmuchnął czapkę ze łba młodego Dydyńskiego. Przeclaw otworzył usta ze zdumienia, pomacał się po łepetynie.

– Zostało siedem kul. Po jednej na każdego. Zabiję! – krzyczał głos. – Wydajcie Zborowskiego.

– Weź go za tarczę – wydyszał Przeclaw – skoro mu tak zależy, nie będzie strzelał.

– Panie Dydyński, zawrzyjmy układ! – mruknął Zborowski.

– Milcz, wasze! Każ mu przestać.

– Bo co, zabijesz mnie?

– Zabiję!

– On chce mnie żywcem. Poznaję, kto to. Jeśli coś mi się stanie, żywa noga nie wyjdzie z tej polany!

– Takiś pewien?!

– Spróbuj się ruszyć!

Dydyński stał w miejscu zaskoczony, jakoś nie zdradzał chęci do pójścia w którąkolwiek stronę.

– Zawrzyjmy układ. Bardzo prosty. Wszyscy przeżyją, będą żyli długo i szczęśliwie, a wy dostaniecie nagrodę.

– Od kogo?

– Od starosty. Albo od samego diabła!

– Jaki układ?

– Ja pohamuję strzelca. A waść, zanim zabierzesz mnie do Przemyśla, pozwolisz, abym wyrównał pewne rachunki w okolicy!

– Ani kroku! – odzywał się głos. – Bo pozabijam.  
– Jakie rachunki?  
– Chcę stoczyć pojedynek.  
– Z kim?  
– Mikołaj Toporowski, porucznik chorągwi Kazanowskiego. Zabiję go i kwita, uczynisz ze mną, co zechcesz.

– Toporowski? – Zborowski miał wrażenie, że Dydyński uśmiechnął się na chwilę. – A jeśli zginiesz?

– Za moją głowę zapłacą tyle samo co za żywego!

– Wydajcie Zborowskiego!

– Zasłużysz sobie na zdjęcie banicji u starosty, panie Jacku nad wywołańcami.

– Gorzej, mam już infamię – mruknął Dydyński.

– Nie gódź się! – wrzeszczał Przeclaw.

– Jeden pojedynek. Po drodze na Ruś. Pojedziesz ze mną, zgódź się!

Dydyński podkręcił wąsa.

– Każ mu przestać. Niech będzie.

– Daj słowo.

– *Nobile verbum*. – Jacek podniósł do góry dwa palce. – Na ewangelię i święty krzyż. Dam ci się bić, a sam popatrzę, choć nie wiem, czy będę po twojej stronie.

– Dziękuję! Rozwiązujcie!

– Co wy?! – zaryczał Przeclaw.

– Mikołaju – syknął Jacek – daj bratu w gębę, coby nie paplał.

Mikołaj spełnił braterską prośbę tak ochoczo, że podniósł się nowy krzyk. Zygmunt przeciął więzy. Zborowski zsiadł z konia, a potem ruszył w stronę drzew, wymachując rękami.

– Hej, nie strzelać! Puścili mnie, czyż nie widzicie?!

Coś zaszeleściło wśród liści, jakby spłoszyła się sarna.

– Pokażcie się, słowo Dydyńskiego nie dym!

W gęstwinie rozległo się ciche tąpnięcie, a potem zza kępy drzew wyszedł... Bohusz. W rękę trzymał piszczel, przez plecy przewieszony miał bandolet.

Zborowski zamarł, choć spodziewał się raczej Huni. Bohusz? Chłopek-roztropek, obojętny przeżuwacz chleba chciwy na każdego szeląga, okazał się jego wybawcą?

Dydyńscy wrzasnęli. Przeclaw i Zygmunt runęli w stronę sługi, drąc się, krzycząc, łapiąc za szable.

Otrzeźwił ich strzał, który huknął tuż obok. Za wielkim odłamem skały stał Hunia z dymiącą Starycą.

– Hola, hola! – zakrzyknął. – A braterskie słowo?!

– Zostawcie ich! – zagrzmiął Dydyński. – Mości Zborowski, masz sługi wierne jak brytany.

– Raczej wilki. Choć przyznam, iż dotąd myślałem, że jeden z nich jest bardziej podobny do osła.

– Gdzie jest reszta?

– Nas dwóch – wyszczerzył zęby Hunia – wystarczy na wszystkich Dydyńskich.

– Milcz! – huknął Zborowski. Wyszedł naprzeciwko Bohuszowi, porwał go w ramiona, poklepał po plecach. – Wypada, że muszę ci podziękować. A zrobię to, jak wreszcie uwierzę własnym oczom. Na Boga, to naprawdę ty?

– Olaboga, duch święty!

– Muszę potwierdzić – mruknął Hunia – on był prowodyrem. Wyciągnął mnie z chutoru. Po coś strzelał, głupcze! Nie lepiej, żeby pan zginął? Uwolniłby mnie od słowa?

– Zasługi! – wymamrotał Bohusz. – Wasza miłość

obiecał. Na zamku w Jazłowcu. Czteryście dukatów. To jakżeby, pieniądze przepadły?

– Czteryście? Myślałem, że sto. I nie dukatów. Talarów.

– Wasza miłość tylko obiecuje i obiecuje. A ja ubogi.

– Dostaniesz je, tylko skończę z Toporowskim.

– Co znowu?

– Toporowski zabił mojego brata. – Zborowski obrócił się do Jacka. – Ślubnego. Jadę go pomścić, wsiadajcie na konie.

Dydyński pokiwał głową i wciąż z niedowierzaniem wpatrywał się w Hunię i Bohusza.

A Bohusz ze złością rąbnął o ziemię bandoletem. Kopnął go nogą i splunął.

– O, masz ci los! – zakrzyknął. – Po co go było ratować?

11.

Do obozu pod Buszą dotarli jeszcze tego samego dnia pod wieczór. O dziwo, wpuszczono ich bez kłopotów, starczyło, że Dydyński opowiedział się placowej straży. Szeptał coś i gadał z nimi długo, aż Zborowski zaczął coś podejrzewać. Jednak wkrótce Jacek wrócił i dał znać, aby jechać. Zatrzymał jednak poza obozem czeladź pana Samuela.

– Wy zostajecie! – mruknął. – Powiedzieli wyraźnie, żadnych Kozaków, wagabundów i hultajów. Tylko sama szlachta.



– Mam więc sam... – zaczął Zborowski.

– Albo sam, albo z nami do Przemyśla – warknął Dydyński.

Wybór mógł być jeden, a Hunia i Bohusz zostali za bramami. Zborowski ruszył szeroką obozową ulicą między stancjami husarzy i kozaków, którzy tylko z nazwy kojarzyć się mogli z Zaporozcami, pod ich mianem kryły się bowiem chorągwie lekkiej jazdy polskiej.

Ale pana Toporowskiego nie było na stacji. Pocztowi wskazali łąki za obozem, gdzie wyganiano tabuny koni, a czeladź i pacholtkowie wprawiali się w walce. Porucznik razem z kilkoma towarzyszami przyglądał się ujeżdżaniu młodych drygantów i wałachów. Pocztowi i chłopięta ganiłi na nich po ścieżkach kłusem albo skokiem i zawracali na kołach wykreślonych na obu końcach, szerokich na dwanaście stóp, a masztalerze i panowie pokrzykiwali na nich, pokazywali błędy, gdzie koń wystąpił za linię albo w czasie zwrotu przeszedł do kłusa.

Jacek bezbłędnie wyłuskał z tłumu pana Toporowskiego, zeskoczył z konia – nieoczekiwanie zdjął czapkę – a potem ruszył wprost do porucznika nie jak Jacek nad Jackami, ale petent nad petentami, sługa uniżony i rękodajny.

– Mości panie Toporowski, bracie i przyjacielu.

Mikołaj obrócił się i – dziw nad dziwy – także wyszedł mu na spotkanie, rozłożywszy szeroko ramiona.

– Dydyński! Wszelki duch Pana Boga! Witajże, krewniaku.

Zborowski poczuł ukłucie zimna. Oglądał, jak tamci uściskali się jak bracia, a potem Jacek prowadził Mikołaja ku nim, zagadywał, śmiał się.

– Pozwól, mości bracie wujeczny, Mikusiu, że ci przedstawię rodzinę. Powinieneś ich znać. To jest: Mikołaj wtóry, Zygmunt, Łukasz...

– Przeclaw – skłonił się najmłodszy z braci. – Choć właściwie bratem nie jestem, bo z innej matki, ale jak do ojca rękę wyciągam.

– A to... – Dydyński wskazał Zborowskiego.

– Bękart, ślubny brat rezuna Striczki, którego waszmość zatłukłeś nadzieją jak psa – przedstawił się Samuel.

– To jest właśnie sprawa – mruknął Jacek – z którą przyjechałem.

Zborowski zobaczył, jak żółtawy wzrok pana Toporowskiego staje się ostry jak u jastrzębia. Jak na obliczu pojawia się złość, a ręka opada na szablę.

– Waść przyjechałeś bić się za chłopskie nasienie?

– Byliśmy braćmi ślubnymi.

– Jeśli to był twój uczeń, nietęgi z was nauczyciel. Nie będę mieć dużo roboty.

Zborowski zdarł z głowy czapkę i nie bacząc, że obserwuje ich tuzin ludzi spod chorągwi Toporowskiego, cisnął ją panu Mikołajowi prosto w twarz.

– Stawaj na szablę. Choćby i zaraz.

I nagle znalazł się w uścisku Mikołaja i Zygmunta Dydyńskich.

Jacek położył rękę na ramieniu Toporowskiego, który, o dziwo, był wcale spokojny, jakby uraza spłynęła po nim niczym woda po kacze.

– Spokój. Jesteśmy w obozie.

– Ma rację – rzekł cicho Toporowski. – Jeśli chcesz się bić, to nie tutaj.

– Na szablę i na śmierć.

– Nie będzie tak dobrze, mości bękarcie. To starcie rozstrzygniemy wedle moich zasad.

– Tchorz cię obleciał?!

– Stanę ci z przyjemnością i ochotą, mospanie. Ale na moich warunkach, konno, na drzewka husarskie. A jeśli ci to nie w smak, mogę zrobić z tobą to samo co z bratem rezunem. Razem będziecie straszyć baby na kolędzie. – Porucznik wyciągnął dłoń, a sługa wetknął w nią nadzieak. – Decyduj się, bo nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym wylechtać cię tym młoteczkim!

Zborowski zaskoczony spojrział na Dydyńskiego, a ten uśmiechnął się złośliwie.

– Na kopie czy na szable, dla mnie żadna różnica.

– Dla mnie jest zasadnicza! – rzucił Zborowski. – Nie będę na żadne...

– Mości panowie towarzystwo! – zakrzyknął Toporowski. – Pozwólcie tutaj.

I nagle ci wszyscy panowie towarzysze i pocztowi, wąsaci, o gębach, które rzeźbił wojenny trud, wiatr, drobinki prochu i wrogie ostrza, zaczęli zwracać się w ich stronę.

– Kończ, waść, co zacząłeś – rzekł przez zęby Dydyński – albo, na Boga żywego, zostawię cię tu samego.

Nadziak w rękach Toporowskiego wykonywał krótkie, znaczące ruchy – porucznik uderzał obuchem w otwartą lewą dłoń.

Zborowski zrozumiał, że jest sam; bez czeladzi pośrodku obozu wojskowego i wrogiego towarzystwa z chorągwi Toporowskiego. Obok Dydyńskich, pałających doń co najmniej niechęcią. Sam przeciw wszystkim. Jak zwykle w jego parszywym życiu.

– Panie poruczniku, co się stało? – zapytał szlachcic

o posiwiiałych wásach, podchodząc razem z dwojgiem sług do Mikołaja. – Co to za ludzie? Jakaś zwada?

– Nie będzie żadnej bitki – uśmiechnął się Toporowski. – Prawda, panie Zborowski?

– Nie mam zbroi ani kopii.

– Pożyczę ci drzewko – uśmiechnął się złowrogo Toporowski. – Człowiek mierzy, a i tak wyroki wydaje Pan Bóg. Zresztą ja też pojedę po kozacku. Dla uczczenia twego gacha.

– Zatem gdzie?

– Jutro. Na tej samej polanie w lesie.

12.

Tylko kiej albo zafajdany pikinier może nazwać główną broń husarii kopią. Drzewko ma z nią tyle wspólnego, co kij od miotły z szablą. Każdym z nich można zabić, ale żelazna broń czyni tę sztukę o wiele łatwiejszą.

Długie na prawie dziesięć łokci, dłuższe od spisy i piki, wydaje się lżejsze od rycerskich kopii, bo drażone w środku. Ale nie tak, jak każdy pomyśli. Osikowe drzewce zostaje przecięte w pół – od początku aż do kuli, a z każdej z połówek wydłubana jest zawartość, co czyni je pustym w środku. Potem połówki są sklejane, zaopatrzone w gałkę, za którą jest miejsce na dłoń, dodaje się porzecz długości pięciu łokci, okuwa na końcu w pióra i trójgromny grot.

Jednak groty na końcu drzewek Toporowskiego były okrągłe.

Stali na koniach na leśnej polanie. Drzewka były już

opuszczone. Nie używali toków, które – zaczeplone za przedni łąk – potrafią niezle uciskać w prawe udo. Prowadzili kopie luźno spod pachy, złożone wpół końskiego ucha, końce proporców przesuwaly się po trawie.

Bez tarcz, bez zbroi, w samych żupanach. Igrzysko ze śmiercią.

– Kończ, waszmość, Zborowskiego – rzekł Dydyński i podkreślił wąsa. – Potem pójdziemy powspominać dawne czasy. Ruszajcie!

Cisnął czapkę o ziemię, dając znak do rozpoczęcia rzezi.

Zborowski przytrzymał lekko, leciuteńko Pioruna na munsztuku i jednocześnie stuknął go ostrogami.

Koń poszedł z miejsca galopem – miękko, łagodnie, nabierając pędu...

Kary drygant Toporowskiego pędził łagodnymi skokami naprzeciw. Chwila krótka jak błyskawica była tuż-tuż...

Zborowski wyrzucił przed siebie rękę z drzewkiem, chcąc dosięgnąć przeciwnika, zanim grot Toporowskiego zwali go z konia...

Trzask, łomot! Drzewko prawie wyrwało mu się z ręki, drzewce pękło na pół, rozleciało się, sypiąc drzazgami, gdy Mikołaj zbił je swoją kopią! A kiedy minęli się w przelocie, Zborowski dostał w prawy bok, nie, wcale nie ostrzem grotu przeciwnika, ale ułamkiem jego broni. W ostatnim przeblysku myśli, kiedy ból z łamanych, dżganych, kruszonych żeber przeszył go jak zimny sopel, pomyślał, że drzewko Toporowskiego również nie wytrzymało tej próby.

Wyleciał z kulbaki jak zdmuchnięty. Padł w tył, na

lewy bok, Piorun uwolniony od ciężaru jeźdźca pomknął między drzewa, cały świat zszarzał, przez chwilę miał posmak wilgotnej trawy i piasku.

Zborowski gramolił się wolno, czując, że prawy bok zeszywniał od bólu.

Mikołaj zawracał konia w kłusie. Odrzucił ułomek drzewka i sięgnął do lewego boku szerokim, zamaszystym ruchem. Dobył szabli i ruszył galopem prosto na przeciwnika.

– Dydyński! – Zborowski obejrzał się na Jacka. – Każ mu...

– Bić się! Nie przerywać.

Zborowski sięgnął do lewego boku. Dłoń napotkała pustkę. Pas od rapci musiał spaść, może pękł, puścił hak – dość, że nie miał broni!

Toporowski już gnał, kary koń rwał przez trawę, jeździec pochylał się w kulbace z uniesioną szablą.

Samuel opadł w dół, skulił się na ugiętych nogach, jęknął z bólu.

I w jedną chwilę, nim ostrze opadło na jego głowę, przetoczył się na drugą stronę konia. Niespodziewanie, przez bark, tak blisko, że niemal czuł kopyta na głowie...

Przetoczył się wprost na nogi i skoczył – z lewej strony Toporowskiego, chwytając za łęk, chcąc wskoczyć z tyłu na konia.

Dokonałby tego może w innych okolicznościach i ze zdrowym bokiem. Jednak zamiast za przedni łęk kulbaki, chwycił za nogę Mikołaja. Zamiast się odbić i wylądować na zadzie, podniósł się tylko na rękach, uderzając prawym kolaniem w słabiznę wierzchowca. Koń kwiknął, przechylił się w bok, skręcił w lewo pod ciężarem dwóch jeźdźców.

Zwalił się na bok, kwicząc i wierzgając!

Zborowski leżał na plecach. Tuż obok wierzchowiec zrywał się na nogi z łoskotem. Szlachcic wstał powoli, czując, że się dusi. Upadek pozbawił go powietrza, wdychał je spazmatycznie, widząc, jak zza zadu umykającego konia wynurza się zacięte oblicze Toporowskiego, z szablą w ręku, ze strużką krwi ciekącą z nosa.

Mikołaj szedł już, uzbrojony, wściekły, gotów zakończyć walkę na tej samej polanie, na której najpierw podgolił, a potem zakatował na śmierć Striczkę.

Zborowski nie miał szerpentyny. Rozejrzał się za bronią...

– Gdzie waści honor?! Dajcie mi szablę!

Dojrzał, że Bohusz uniósł dłoń z własną węgierką, ale Mikołaj Dydyński chwycił go za ramię.

– Bić się dalej! – zakomenderował Jacek. – Mikuś, kończ go!

Toporowski ciął z lewej – płasko – Zborowski przysiadł na piętach. Mikołaj zażył go nyzkiem od lewej po skosie w górę – Samuel odskoczył. Porucznik wypunktował na głowę, na bark – od lewej, od dołu, z podlewu i od prawej – w pierś.

Zborowski przygiął się do ziemi, umknął spod ostrza, potknął się i przewrócił!

Toporowski ryknął tryumfalnie i rąbnął pionowo z góry, widząc, że wróg jest skończony.

Rozczarował się.

Samuel chwycił coś, czego błysk złowił kilka chwil wcześniej kątem oka: nadziak Mikołaja leżący wśród trawy.

Zasłonił się nim, przyjął cios, odtoczył i zwinnie jak kot powstał.

Starli się, zdyszani, ledwie żywi, na środku polany. Tu już nie było popisów, cięć lekkich i zabójczych jak ukąszenie żmii. Zborowski bił nadzieakiem jak cepem, Toporowski rąbał z całej mocy, czując, że siły go opuszczają. Zwarli się raz, drugi, trzeci! Mikołaj omal nie stracił szabli, a wtedy Samuel zmacał go ostrzem w kolano.

I zaczął bić bez tchu, jęcząc z bólu połamanych żeber.

Toporowski cofał się, ledwie trzymał na nogach, ustępował krok za krokiem. I nagle jego pięta uderzyła w coś twardego. Drzewo. Wiekowy dąb na krawędzi polany.

Zborowski zdzielił go z lewej, potem z prawej, dysząc, dławiąc się bólem, zbił na bok szablę Toporowskiego. Porucznik wziął rozpaczliwy, desperacki zamach i...

Nadziak spadł jak cios katowskiego topora. Jak gwóźdź rzymskiego żołdaka...

Ale tym razem przybił do drzewa rękę Judasza!

Zborowski przygwoździł dłoń wroga, przebijając ją ostrzem nadzieaka, wbijając je w dąb głęboko i mocno.

Mikołaj zawył, chwycił się lewą ręką za stylisko, szarpał nieudolnie. Trzymało mocno.

– Puść! Booooli.

– Proszę bardzo.

Dydyńscy coś krzyczeli; nie zwracał na nich uwagi. Schylił się, podniósł szablę Toporowskiego...

I wyrzucając rękę w przód – ciał krótko, mocno, z całych sił!

Mikołaj wrzasnął; zasłonił głowę lewą ręką. Niepotrzebnie. Cios spadł na przegub prawej – przybitej do pnia. Przeciął ją jak szczapkę; uwolnił porucznika z pułapki.



A potem stało się wiele rzeczy w jednej chwili. Dydyńscy chwytający Samuela za ramiona, wykręcający je w tył. Toporowski na kolanach, przytrzymujący kikut tryskający świeżą krwią.

Na koniec puszczono go – bracia skoczyli do krewniaka, podnosili go, potrząsali. Łukasz zaciskał odrąbaną rękę rzemieniem. Potem lali Toporowskiemu w gardło gorzałkę.

Wszystko przewijało się obok Samuela jak nawałnica. Kiedy się skończyło, odrącił ręce Huni i Zygmunta Dydyńskiego, podszedł do drzewa, chwycił oburącz nadziak i wyszarpnął z pnia.

Zdjął to, co było na ostrzu, zabrał tę jedną malutką rzecz. Wrócił do Dydyńskich podtrzymujących bladego jak płótno Toporowskiego.

Rzucił mu pod nogi odrąbaną dłoń.

– Waść coś zgubiłeś, a ja, choć bękart, nie jestem złodziejem.

– Zatrzymaj na pamiątkę. Przyjdę po nią osobiście.

– Przyjdziesz jednoręki.

Toporowski ryknął wściekle, odepchnął Mikołaja i Jacka, chciał zerwać się na nogi. Nieskładnie mu to szło, w końcu dopomógł Łukasz.

– Dawaj szablę!

Sam chwycił za szerpentynę najmłodszego z braci. Łukasz pomógł mu ją dobyć z pochwy. Mikołaj ujął rękojeść lewą ręką, bez trudu wywinął świszczącego młyńca z lewej, z prawej, przyciął raz, drugi – lekko, zwinnie, jakby robił to codziennie przed obiadem.

– Pan ojciec płakał i bił, że urodziłem się mańkutem, więc nauczyłem się robić prawą. Na Kozaka wystarczyła, ale waści zabiję lewą!

– Dość, Mikuś! – uciał Jacek. – Zabierzcie go! Trzeba wypalić rany.

Spokojnie, ale stanowczo Dydyńscy chwycili bladego krewniaka. Chociaż się szarpał, ponieśli go do obozu, odebrali broń.

Zborowski czekał milczący, co się dalej stanie. Ale bracia ruszyli do koni, obojętnie minęli Hunię i Bohusza, nie poświęcając niedawnemu więźniowi ani jednego spojrzenia. Wzięli porucznika w kołyskę między dwoma końmi i odjechali co tchu.

Samuel został sam, zdyszany, pokrwawiony, oddychający z bólem. I nagle zrozumiał, że Jacek Dydyński już po niego nie wróci.

13.

Niezwykły ruch panował w futorze Striczki. Wozy zaprzężone w konie i woły przyjeżdżały i odjeżdżały, na majdanie stały konie w czerwonych rzędach, z buńczukami i czaprakami, które na pewno nie należały do Kozaków. Po obejściu kręciły się tłumy chłopów, hajduków, sług w siermięgach i opończach. Jedni rozbierali płoty i szopy, inni wyprowadzali ze stajni i obór czerwonawe woły, gnali owce i gęsi na trakt, kładli na wozy wory z mąką i prosem. Galimatiasu pilnowali zbrojni.

A pośród tego wszystkiego przechadzał się wysoki, chudy jak tyka chmielowa szlachcic w żupanie tak wzorzystym, jakby wyciętym z opony, z pałacu biskupów krakowskich. Miał okrągłą brodę, oczy tak przenikliwe, że rzekłbyś – miał w nich dukaty.

Kiedy Zborowski wjechał pod chatę i zsiadał wolno, z bólem, podtrzymywany przez Hunię, szlachcic podszedł bliżej.

– Waszmość czego uważasz?

– To jest futor Ostapa Striczki, mego przyjaciela.

– Teraz już mój, Łukasza Pleśniarowicza, podstarościego braclawskiego. – Szlachcic potrząsnął ręką zwiniętą w pięść; na palcach zamigotały pierścienie jak gwiazdy. – Mój, prawem Rzeczypospolitej, bo stary wyciągnął kopyta.

Zborowski pokiwał smutno głową.

– Mogę go zobaczyć?

– A tam – machnął ręką podstarości – w komorze leży. Znaczy teraz już w mojej komorze! On pobudował się tu bezprawnie, to królewska ziemia. Znaczy... moja!

Zborowski ruszył przez podwórze, wspierając się na nadziaku. Z tyłu dochodził głos pana Pleśniarowicza:

– Ileś policzył, Machlower? Ile? Trzy tuziny połciów wieprzowych, a masła tylko dwie faski? Mnie się zdawało, że siedem ich było? Oj, jak na wozach sam zliczę, na bizunach w step cię wyprawię!

Dziarscy i wąsaci hajducy wyciągali z chaty zdobione skrzynie, ławy, misy i dzbany. Samuel ustąpił im miejsca w drzwiach, potem wszedł do sieni, ogołoconej ze sprzętów.

Skierował się w prawo, do izby, którą tak dobrze znał. Z niej do komory, gdzie na samotnej ławie leżał przykryty płachtą płótna nieboszczyk Striczka. Żółty, prawie nagi, odarty do koszuli, z bosymi stopami. Zabrali mu nawet kilim, na którym spoczywał. Wyrwali spod głowy poduszkę, na której wspierał siwe czoło. Komnata była pusta i cicha. Na ścianach białe plamy po zerwanych

kobiercach i ikonach. Ani śladu sprzętów.

Zborowski – chory, ranny, obolały – zdjął czapkę. Nie wiedział, co powiedzieć; jakimi słowami modlić się za duszę starego Kozaka. Wyciągnął z sakiewki złoty sygnet z Toporem i wcisnął go w zimne, skamieniałe dłonie.

Odwrócił się i wyszedł, bo żal ścisnął w piersi, a po policzkach spływały łzy. Tutaj nie miał już nic do roboty.

## Tuhan

Umierał w łożu, wielkim jak Rzeczpospolita, której granice zakreślił ogniem i żelazem. Wysokim niczym wieże Zamoyskich kościołów. Pożółkły, bezzębny starzec bez brody, z siwymi, zmierzwionymi kłakami nad wysokim czołem, nawet pod pierzyną, na piernatach, był żywym posagiem władzy.

Kiedy Żółkiewski wszedł do komnaty, nad chorym pochylał się wierny sługa, zimny, ponury człowiek. Hetman nie lubił go; był przekonany, że podniebienie tego człowieka jest czarne jak u wściekłego psa. Cóż jednak z tego – pan z Zamościa umiał zadbać o swe ogary i nagrodzić najsmiglejszego spośród nich.

Sklonił się, kulał, podchodząc do łoża. Oczy starca rozbłysły na chwilę.

– Zub... Jesteś, bracie – wydyszał, parskając śliną, dławiąc się. – Długo już nie...

– Testamentu dopilnuję – rzekł Żółkiewski; stapał z trudem, stawiając na kobiercach nogę sztywną jak drewniana kula.

Zamoyski szukał czegoś na pierzynie, macał kościstą ręką jak nieprzytomny. Dopiero po chwili Żółkiewski uświadomił sobie, że poszukiwał jego dłoni.

– Umieram – wycharczał z trudem magnat, ściskając prawicę hetmana i krewniaka. – Na każdego przyjdzie koniec. Nie w polu...

– Nie każdy tak kończy... Od królewskiego pisarczyka po hetmana i karmazyna.

– Konam... Na Zamościu. A powinienem w Krakowie.

Żółkiewski kręcił głową, bo nie wiedział, co rzec.

– On to sprawił.

– Kto?

– Nie wiesz? Zborowski.

Żółkiewski uściśnął dłoń hetmana, a potem położył ją na kołdrze.

– Policzycie się na Sądzie Ostatecznym.

– Wezwał mnie, teraz tam trafię. Ale przecież żyje młody.

– Aleksander?

– Pogrobowiec, kość z kości banity i krew z jego krwi. Samuel.

– Wezwijcie lepiej księdza, bracie.

– Przez niego wszystko przepadło. Korona... Jezusie Maryjo. Miałem być... po Stefanie.

– Nie mówcie byle czego. Dziś już za późno. Módlcie się.

– Zapisałem mu śmierć w duszy i na papierze. Ja umrę, ale Samuel Zborowski nie wstanie z grobu, przekłete nasienie diabła, pogrobowiec!

– Nie mówcie byle czego. Wezwę medyka! Ruszcie się! – krzyknął Żółkiewski do ponurego sługi. – Wezwijcie Grothiusa, ale już. – Klasnął rękoma przed obliczem tamtego.

Ale rękodajny Zamoyskiego nawet nie drgnął.

– Kto tam jest, w kącie?! – zagadał nagle nieswoim głosem Zamoyski. – Widzicie?

– Nie ma nikogo, módl się – rzekł Żółkiewski, na którego obliczu nie było widać strachu.

– Samuel umrze, dopilnuj wszystkiego, Stasiu!

Inaczej cię przeklnę i pozwę na sąd Boży! Jak starego banitę, słyszysz?!

– Będzie, jak każesz! – Żółkiewski poprawił poduszkę pod głową Zamoyskiego. – Nic już nie mów.

– To moja ostatnia wola... Poza testamentem, niespisana. On go zgładzi – dygotał hetman. – Dałem mu skrypt... Dopilnuj, by dostał nagrodę... Po śmierci Zborowskiego.

– To nie jest najważniejsze! – wykrzyknął Żółkiewski. – Grothius, bywaj tu! Chodźcie wszyscy!

– Przysięgnij... że nie będzie żył. Daj słowo... wo. Za wszystko, co zrobiłem dla ciebie... Za buławę, starostwa. Przysięgnij, ona na ciebie patrzy.

Żółkiewski przymknął oczy.

– Jeśli z tego powodu będziesz umierał w spokoju duszy, to zapewniam, że młody Zborowski podąży twoim śladem. Tak mi dopomóż Bóg.

– Dobrze – wycharczał Zamoyski. – Słabo mi... To nie ja... Idzie po mnie... Już pędzi... Ratujcie.

Jęczał i krzyczał, kiedy otwartą się drzwi, wpadł przez nie medyk, paziowie, zapłakany syn Tomasz z matką Barbarą.

A wtedy Jan Zamoyski oddał na *vacat* urzędy kanclerza i hetmana wielkiego koronnego, starostwa bełskie, międzyrzeckie i krzeszowskie, knyszyńskie, tykocińskie oraz dorpackie. Opuścił ordynację i buławę wielką koronną, i nie śmiał się wspierać pod boki, kiedy ruszył w skoki. Z panią małodobłą i smutną. Wstąpił do wiecznej Rzeczypospolitej niezmiernych pól. A imię jego spłynęło do kronik i diariuszy.

2.

Rznęli w karty tak zapamiętane, jakby nagle zostali kochankami Fortuny. W niskiej karczemnej izbie na Zamarstynowie pod Lwowem było duszno i gorąco. Grali z dwoma Kozakami z czeladzi Potockich, grubymi, pleczystymi. A ponieważ czeladzi wypłacono już zasługi, rezuni śmierdzeli po równi: potem i złotem, i większa część tego drugiego leżała już w zasięgu śniadych rąk Huni.

– Zyz tuzem! – rzucił Bohusz, udając zafrasowanie po rzekomej stracie talara.

– Wyżnik i niżnik! – mruknął grobowym głosem starszy Kozak.

– Cynek z dryją! – zagrzemiał Hunia. – Ej, nuże kwatrami, bo szczęście jest z nami.

– Daj, bracie, stawkę!

Drugi Kozak rozdał karty, chytrze i uważnie spoglądał Nikiforowi na ręce. Niepotrzebnie, bo karty były znaczone starym waltarskim sposobem, który zdradził Bohuszowi umierający na suchoty koster Choroba. Ot, domalowywało się ozdóbki na bogato zdobionych rewersach, a kto tam przy świecach odróżnił listek od wstęgi?

– Nuż tuj siem, Kostenka. Ot, cztery niewieliczkie, lulenki maleńka!

– Czerczata niebożata!

– Karty znaczone! – rozdarł się grubszy z Kozaków, ten, który najwięcej przegrał i do domu musiałby wracać



obdarty do koszuli. Ciskając je na stół, wyprostował się, podniósł z ławy i uderzył pięścią. Chciał zmacać Hunię na odlew, lecz ten odchylił się, stuknął głową w ścianę.

– Czortowe syny! – rozdarł się młodszy z Kozaków i rąbnął zydlem. Hunia przykucnęła, chwytając z ławy przygotowany zawczasu kindżał. Zydel wyrzwał w ścianę, rozleciał się na zasnutych pajęczynami balach. Nikifor wyprysnął w górę, rąbnął rękojeścią kindżału grubszego z przegranych w łeb.

– Gwałtu! Rety! – zakrzyknął Bohusz i zanurkował pod stół. Usłyszał nad sobą krzyki, odgłosy młocki mającej mało wspólnego z pozyskiwaniem ziarna, za to aż za dużo z nikkczemną chęcią uczynienia krzywdy bliźniemu. Przepelzył na drugą stronę, wychylił łeb zza desek i widząc, jak dwaj zawalidrodzy obdarzają szczodrze Hunię przyjacielskimi kuksańcami, porwał ze stołu chustę z pieniędzmi i kartami, pomknął ku oknu. Skoczył, trzasnęły pękające błony i listewki; przecisnął się przez otwór i wylądował na zagonie pełnym pokrzyw, przetykanych słonecznikami. Przelazł z trudem przez chruściany płot i znalazł się na błotnistej uliczce.

Umykał chyłkiem, wepchnąwszy chustę za pazuchę, ścigany krzykami z karczmy. Skreślił w boczną uliczkę, wpadł pod podsienia szerokiego domostwa. Wbił nóż w szczelinę przy drzwiach, uniósł zasuwę i wśliznął się do sieni. Po ciemku odnalazł drzwi do komory, którą opłacili wspólnie z Hunią, namacał woreczek z hubką. Skrzesał ognia, zapalił stoczek.

Zbliżył się do ławy, z której dochodził cichy, rzęzący oddech. Zborowski leżał przykryty derką, rozgorączkowany, oddychający z trudem. Bohusz dotknął szyi, wyczuł puls, wzruszył ramionami. Wysypał pieniądze

na drugą ławę, podzielił je, odrzucając oberżnięte grosze i szelągi, odkładając szóstaki i orty na osobną kupkę. Starannie obejrzał złote talary. Obrócił się do Zborowskiego, zgarnął garść drobnych, wyszedł do sieni i zastukał do sąsiedniej izby.

Drzwi uchyliły się, w szparze zobaczył brodate oblicze gospodarza.

– Kupcie driakwi i coś na gorączkę. Idźcie zaraz, bo on ledwie dycha.

Sypnął szczerze pieniędzmi w nadstawioną garść. Wrócił do komory. Dorzucał właśnie dREW do pieca, gdy wyczuł czyjąś obecność.

Hunia jak zwykle pojawił się niespodziewanie jak duch. Choć przyszedł prosto z bójki, nie był pokrwawiony ani zdyszany, uśmiechał się złośliwie.

Bohusz pchnął w jego stronę sporą kupkę monet, ale Kozak nie wyciągnął po nie ręki.

– Mało – mruknął.

– Kupiłem driakwie dla pana.

– Miłosierny jesteś. Tak ja się pytam: po co? Ledwie dycha, tylko ciężar z niego. Cyrulik nic nie poradził, żebra ma połamane, może i płuca przebite, nie znamy dnia ani godziny.

– Niech umiera – zgodził się Bohusz. – Ale najpierw niechaj zapłaci mi zaślugi. Czteryście dukatów nie w kij dmuchał.

– Już widzę, jak odda, nie wiem z czego? Tak mi się widzi, że chyba policzycie się na tamtym świecie.

– Dał słowo, a to jest ślachcic.

– Sam lepiej weź sprawy we własne ręce.

– Znaczy?

– Lepiej go zostaw – Hunia przeszedł się kilka

kroków, spojrzął na Zborowskiego, obrócił smutne, złe oczy na Bohusza – albo pchnij kindżałem. Weź rynsztunek, sprzedaj konia. On i tak skapieje.

– Ciekawe, dlaczego sam tego nie zrobisz?

– Czort swoje, pop swoje! Dałem słowo, jak mur!

Jak głąz.

– Ja poczekam.

– Głupiś, pachółku. Trastia jego mordowała, jaśnie wielmożnego pana. On i tak trup.

– Wyglądam ci na bohatera?

– Na kpa i chabeciarza. – Hunia strzyknął śliną przez zęby. – Dam ci te czterysta dukatów, tylko... wiesz co.

– To pokaż mi pierwszy, jak mam to zrobić.

– A właśnie że pokażę. – Hunia stanął nad dyszącym ciężko Zborowskim jak kat; powoli, bardzo powoli jego ręka pełzała do kindżału. Jak dygocący robak, jak wąż. – Złamię słowo... Trudno, będę cierpiać.

Wyszarpnął kindżał, uniósł w górę...

I wtedy ktoś załomotał do drzwi!

Hunia drgnął, jakby przez drzwi miał wpaść cały kierdel ordyńców. Bohusz rzucił się, aby odsunąć zaworę. Zawiasy zaskrzypiały, w oczy uderzyło ich światło lamp trzymanyh przez pół tuzina sług w czerwieni i zieleni.

– Jaśnie wielmożny pan Zborowski jest? – zapytał starszy sługa.

– Pan chory.

– Chory? – Brwi sługi uniosły się ze zdumienia do góry. – Jego w gościnę proszą, panowie Prokop Pękosławski i młody Herburt. Tu zaraz, do gospody brackiej, radzi powitają, miodami ugoszczą.

– Jemu potrzeba medyka, a nie miodów.

– To – zdecydował szybko sługa – dawajcie, zaniemiemy go. Pan każe, sługa musi. Dalej, wynieście go!

I czeladnicy wyszli do izby, podnieśli Zborowskiego na kilimie, na którym leżał na ławie, i wynieśli – jęczącego – prosto na ulicę.

3.

Zborowski ocknął się w ramionach medyka i jego ucznia. Najpierw poili go driakwią, potem wcierali żółty i tłusty balsam w prawy bok rozorany drzewkiem Toporowskiego. Wreszcie ścisnęli szarpianami; mocno, jak w gorsecie. Aż zawył z bólu, ale potem poczuł większą ulgę.

– Wyżyjesz, waszmość – rzekł gruby i brodaty medyk – nie będzie gorzej. Ale w rękę nie bierz szabli przynajmniej przez dwie niedziele.

Posadzili go, ubrali w koszulę białą jak pierwszy śnieg, narzucili atłasowy żupan z szamerunkiem, spinany pagwiczkami, pas lity i jedwabny, przy którego zawiązywaniu Zborowski znowu skulił się z bólu – nie mógł podnieść prawej ręki; nie miałby sił, aby złapać szablę.

– Gdzie ja właściwie jestem? – zapytał, bo trochę oprzytomniał.

– W gościnie.

– U kogo, mospanie?

– U pana Herburta dobrodzieja. Zresztą proszą waszmości na wieczerzę.

– Wieczerzę?! Jak to?

Medyk z pomocnikiem bez słowa podprowadzili go

do drzwi, wwiedli do sieni, a z niej do świetlicy. Stół, wielki jak płyta nagrobna z Wawelu, rozjaśniony był od świec i wetów. W misach i półmiskach dymiły potrawy jak od Radziwiłłów; rozpoznał cietrzewie z buraczkami, ozory z brunatną juchą, gąszcze, przyski jelenie, pasztety i barszcze.

– Mości panie Zborowski! Witajże, przyjacielu miły.

Było ich trzech, nie licząc służby. Młodzieniec z ledwie wyrosłym wąsem, ubrany jak karmazyn, szlachcic z siwą brodą i równie siwymi kłakami sterczącymi z uszu. Wygolony starzec z czujnymi oczyma, w cudzoziemskim kabacie. Wszyscy kolejno podchodzili do niego z wyciągniętymi prawicami, kłaniali się jak mazowieckie chodaczki przed biskupem plockim.

– Skąd ja waszmościów znam?!

– Starczy, że my ciebie dobrze znamy, mości panie Zborowski – rzekł najmłodszy. – Mój ojciec Herkules dobromilski był wiernym przyjacielem ojca waści.

– I ja go znałem – zagrzmał brodaty.

– Jestem Jan Lew Herbut. – Młodzieniec przytrzymał dłużej rękę Samuela.

– A ja – zagrzmał brodaty szlachcic – Prokop Pękosławski. Obrońca wolności polskiej, za którą jak krzyżowiec gotów jestem polec!

– To zaś jest – zaintrygował Herbut cudzoziemca – pan Jakub Rosen, rodem z księstwa pomorskiego, a wkrótce brat nasz i szlachcic.

– Jak tylko dostanie indygentat – rzucił Pękosławski – o co przy terazniejszym królu niełatwo!

Dobrali się jak w kocu maku. Syn uczonego warchoła z Dobromila, jeszcze kilka lat temu namawiającego konfederatów, aby z chorągwiami szli na

Warszawę, zatwardziały rokoszanin i cudzoziemiec, którego zachwycenie nad polską wolnością wzrastało wraz z każdą kwartą wypitego wina.

– Zdrowie naszego gościa, mości pana Zborowskiego! – zakrzyknął Herburt i podał Samuelowi nautilusa wielkości dużej dyni. Szlachcic prawie jęknął, chory, połamany, zmęczony, miał jeszcze pić...

Przytknął do ust i pociągnął solidny łyk; mimo zachęt kompanów nie wypił do dna, zresztą bok bolał go nawet wtedy, gdy oddychał – pijąc, cierpiał jak gorzałecznik w piekle. Bolało bardzo, nawet nie był w stanie westchnąć nad swoją mizериą.

Pękosławski i Rosen poprowadzili go do stołu. Przepili znowu – tym razem za zdrowie wszystkich obecnych – i wreszcie gospodarz nakazał dolać do naczyń i kubków najczystszej małmazji.

– Zdrowie jaśnie pana wojewody krakowskiego! – zagrzmiął, a w okrzykach sekundował mu dzielnie Rosen. – Salvatora wolności szlacheckich, źrenicy swobód i wybawiciela ojczyzny!

– Niech mu kalwaria lekką będzie – mruknął Zborowski. – Gdzie pewnie teraz siedzi i modli się za rokoszowe grzechy.

– Co też waszmość powiadasz, dobrodzieju?! – zapytał Rosen najczystszą polszczyzną. – Pan wojewoda nie ma żadnych grzechów nad swoją siwą głową, a jeśli już, to grzech zaniedbania. Jegomość Zebrzydowski ma do wygrania całą Litwę i Koronę, bo tak jak po walecznym królu Łokietku pojawił się Kazimierz zwany Wielkim, pan wojewoda krakowski, jak Łokietek, musi jeszcze wygrać wiele bitew.

– Na razie przekonał się, że nietrudno o guzy pod

Guzowem. A waszmość, jak widzę, ciągle żyjesz duchem rokoszowym.

– Bo was podziwiam, tak, młodzieńcze, nie zdziw się, ja, starzec stojący nad grobem, podziwiam waszą wolność i nawet gołę sobie łeb, bo czuję się szlachcicem polskim jak wy.

Zborowski uśmiechnął się z wysiłkiem i przesunął ręką po podgolonym, poszczerbionym łbie.

– To się waść pomyliłeś, bo my nie golimy łbów, ale podgalamy, wedle dawnego rycerskiego obyczaju. Aby misiurka albo szyszak lepiej trzymały się na łbie. A poza tym nie wystarczy podgalać łba, aby być szlachcicem. To się bierze z obyczaju, fantazji i prawa.

– Hejże, waszmościowie, bierzmy się do jada! – zakrzyknął Herburt. – Dalejże, przed wiktoria w polu zwyciężajmy żubrowy comber, kuropatwy, kapłony i raki!

Służba kroiała i nakładała, sam Herburt dolewał do kielichów. Chory, połamany Zborowski mało jadł, więcej pił.

– Waszmościom pewnie – rzekł po jakimś czasie i po kolejnych czterech toastach – ciągle roi się w głowach rokosz, detronizacja, a może i, jak ostatnio w Pradze, defenestracja?

– Roi nam się wolna Rzeczpospolita – zagrzmiął Pękosławski. – O co trudno z obecnym królem, który częściej niż szlacheckiego narodu słucha jezuitów, chce z nas uczynić drugą Rzeszę i oddać pół królestwa Rakuszanom!

– Módlmy się, aby pan wojewoda Zebrzydowski nas ocalił – wycharczał Rosen. – On jedyny naszym panem i opoką, on nam odtworzy królestwo wolnych Polaków.

– Nie taki zły ten Zygmunt – odważył się wtrącić

Zborowski – jak go malują w paszkwilach.

– Jak to?! – zaperzył się Rosen.

– Znam gorszych, choćby nieprawego cara Michałka. Albo gospodarów wołoskich, z których jeden szelma, drugi złodziej, a trzeci śmierdzące bydło. Wreszcie zmieniają się tak szybko, że nie sposób spamiętać, który następuje po kim. I nigdy nie słyszałem, aby któryś umarł inaczej niż uduszony, utopiony, otruty albo poszedł do Pana z odciętą głową w rękę.

– Pan Zebrzydowski to nasz hetman, hetman wolnych Polaków, a pod jego buńczukiem winni zjednoczyć się ci wszyscy, którzy pragną żyć w niepodległej Rzeczypospolitej – przemawiał Rosen. – Nie bój się, waść, porażka rokoszu sandomierskiego to nic wielkiego. Jestem pewien, że pan wojewoda wszystko dobrze przemyślał, zwłaszcza praktykę łokietkowych bitew, dzięki którym Rzeczpospolita będzie wolna.

– Więc według was jest... zajęta? Waści fantazję też chyba mierzą łokietkiem. Tym krawieckim.

– Ucisze się, Rosen! – zagadał Pękosławski. – My tu mamy sprawę do ichności.

– Chcecie skaptować mnie do rokoszu – mruknął Zborowski. – Nie dość wam guzów, które wynieśliście z poprzedniego? Ojciec waszej mości – spojrzał na Herburta – zrujnował Dobromil i wszystkie majątności, zasłużył nawet na klątwę i wieczystą banicję z dóbr. Waść – spojrzał na Pękosławskiego – siedziałeś w wieży i sam na kolanach prosiłeś króla o przebaczenie, którego zresztą ci udzielił. I co, zbrzydł ci spokojny żywot.

– Hardo mówisz nam, dobrodziejom!

– Chyba raczej susłom, bo ciągle siedzicie w rokoszowych norach i nie wiecie nawet, co się dzieje na



świecie. Wybaczcie, że was obrażam, ale jestem synem banity skazanym na zapomnienie przez wielkich. Więc mówię, co myślę. Bo co wy i oni możecie mi zrobić? Zabić, to by była wrzawa, znów zginął Zborowski, syn tego. Pisać pamflety? Szkalować? Ależ strach przypominać nawet tego imienia. Najlepiej zapomnieć, zamieść pod dywan. I dlatego mogę mówić, co myślę, a nawet prac karmazynów po gębach. Wy zaś, jeśli ciągle myślicie o dawnej sławie, powinniście może położyć się do grobu razem z waszymi waśniami, rokoszami, spiskami.

– Co też waś mówisz?! – zahuczał Rosen. – Król gwałci konstytucje sejmowe i Rzeczpospolitą! Zadaje się z domem rakuskim, nie mówi po polsku. Nie dochowuje wiary traktatom sejmowym, że strach mi wstać z łoża i wyjrzeć za okno, czy czasem nie zobaczę już na miejscu Korony jakiejś Hiszpanii albo Szwecji!

– Cichaj, cichaj! – strofował pijanego Pękosławski.  
– Bo my mamy sprawę do pana Zborowskiego.

– Nie wiem, jak mógłbym wam pomóc. – Samuel przeklął w duszy sam siebie, że jest tak uległy i słaby, że nie znajdował siły, aby po prostu odmówić, a potem wyjść z tej izby. Wyjść – właśnie – dokąd? I to był powód, że nie chciał powiedzieć całej prawdy dwóm starcom i młokosowi. – Jestem tylko ubogim banitą bez ziemi.

– Ot, kpisz sobie z nas waćpan! – prychnął Pękosławski. – Twoje nazwisko stanie za latyfundium, a ramię za cały regiment wojska.

– Ramię mam przetrącone, a co do nazwiska, to jako najmłodszy ze Zborowskich mam najmniej siły i znaczenia. Zgłóście się raczej do mojego brata Aleksandra, rotmistrza królewskiego.

– Próbowaliśmy – mruknął ponuro Pękosławski, a

Samuel od razu dopowiedział sobie, że odpowiedź brata mogła być o wiele bardziej gwałtowna.

– Waszmość sam nie wiesz, co znaczy twoje miano – zaperzył się pijany Rosen. – Wszak głowa waszego ojca świeci nam jak latarnia wolności w mrokach *absolutum dominum!*

– Zostawcie w spokoju nieboszczyka. Żył jak pan, umarł jak Chrystus, ale jego śmierć przyczyniła mi więcej kłopotów, niż wyświadczył dobrych uczynków za życia.

– Zatem odmawiasz?

– Nie odmawiam, ale nie widzę celu, w imię którego miałbym łąpać za broń i występować przeciwko Jego Królewskiej Mości. Powiem więcej, teraz, kiedy sułtan grozi nam wojną, a sprośny Szwed chce pojąć Rzeczpospolitą, z przeproszeniem, od zakrystii i splądrować Inflanty, trzeba raczej trąbić wsiadanego na koń, a nie porywać się z cepem na słońce.

– Szpetnie słuchać takich słów, mości panie. – Pękosławski aż potrząsnął głową, jakby nie chciał uwierzyć w słowa Samuela. – Dlaczego nie chcesz być naszym przyjacielem, o synu wielkiego Zborowskiego?

– Aby zgnić w wieży razem z wielkim nazwiskiem? A poza tym kto was wspiera? Kto za wami jeszcze stoi? Sejmik ruski? Chełmski? Przemyski? Szlachta? Posłowie? Hetmani?

Na zewnątrz rozległ się strzał. Krótki, głuchy, przejął grozą jak grzmot zapowiadający Sąd Ostateczny. Podnieśli głowy.

– Mikołaj! – zakrzyknął Herbut do sługi. – Kto strzelał?

– Rajtaria – wystękał pobladły rękodajny – cała rota! Jezusie!

Zerwali się jak spłoszone ptaki. Herbert pierwszy skoczył do okna, rozwarł je na całą szerokość, wilgotny nocny podmuch wiatru wpadł do dworskiej świetlicy.

Zborowski zamarł. Cały dwór otoczony był szpalerem rajtarów. Światło pochodni wydobywało z mroku zarysy morionów, naramienników, toporne, ciężkie końskie łby, zbroje na piersiach.

Herbert zadygotał, Pękosławski przeżegnał się dygoczącą dłonią, a Rosen wydawał jakieś piski, odpowiedniejsze dla torturowanej myszy, a nie szlachcica polskiego z wygoloną głową.

– To po mnie! – krzyczał pan Prokop, szukając oczyma bezpiecznej kryjówki. Rosen już ją znalazł – wlaził właśnie pod ławę, szurał pod stołem, aby tylko nie znaleźć się na widoku. A Zborowski... Zborowski zrozumiał, że właśnie wpadł w kolejną kabałę.

– Czego chcecie?! – zakrzyknął cienko Herbert. – To najście, pogwałcenie miru domowego.

– Wydajcie Samuela Zborowskiego! – padła odpowiedź. – Drzwi otwórzcie, bo wywalimy!

– Zborowski tu jest! – pisnął Lew z Dobromila. – Sam, żywy.

Ktoś krzyknął niemieckie komendy, usłyszeli łomotanie, potem łoskot żelaznych kun, skrzypienie zawiasów. W sieni zadudniły kroki, zachrząściło żelazo; wreszcie drzwi otwarły się na oścież, zamigotały latarnie, zakopciły pochodnie. Gromada śmierzących żelazem żołdaków wtargnęła do pokoju. Część z nich od razu rzuciła się do zastawionego stołu, do wina i miodów. Starszy nad rajtarami, w kołpaku, bez hełmu, świdrował wzrokiem kąty świetlicy.

– Jegomość Zborowski jest tu?

Nie było sensu kryć się ani odpowiadać – i tak Pękosławski oraz Herburt rozstąpili się na boki, pozostawiając Samuela samego. Młody Lew skoczył do kąta, Prokop zasłaniał się rękoma, Rosen łomotał pod stołem.

– Jestem – rzekł słabo szlachcic.

Wachmistrz zlustrował go od góry do dołu, obszedł i podkręcił wąsa.

– To my cię, mości kawalerze, zabieramy.

– A jak nie pójdę?

– Zaniesiemy.

– Nie mogę wsiąść na konia – wymamrotał Zborowski.

– Mamy dla ciebie karetę!

– Pana Zborowskiego wyprowadzić! – zakomenderował drugi rajtar, żując kawał kapłona ze stołu Herburtu, a wachmistrz krzyczał na swoich ludzi, którzy dobrali się do potraw i wina.

– Sam pójdę.

Nie miał już sił, ale trzeba przyznać, że nikt go nie popychał. Wachmistrz ujął go za ramię i powiodł do drzwi jak pannę młodą przed ołtarz. Zborowski wysiłał się, aby nie upaść; rajтары otaczali go żelaznym kręgiem, nie było wyjścia, nie było sposobu ratunku. Kiedy przekraczał próg, wstrzymał się jeszcze.

– Mości panie – zapytał żałośnie – a dokąd mnie zabieracie?

– Do hetmana!

Prawie wynieśli go do sieni, wsadzili do gdańskiej karety. Usłyszał jeszcze zgrzyt klucza w drzwiach, a potem ruszyli, pozostawiając za sobą uśpiony dwór i niedoszłych rokoszan.

Zborowski gryzł się z myślami, że to niesprawiedliwe, bo chyba powinni zamienić się miejscami. Znów zbierał ciężki za cudze grzechy. Co za życie...

4.

Szybko i cicho podeszli pod uśpiony dwór w Piekarach – Urowiecki od przodu, Żółkiewski od ogrodu. Strzelcy rozsypywali się wśród drzew, kryli za płotami i parkanami, wybierając najlepsze miejsca. Robili sporo hałasu, ale nikt nie wyszedł na ganek ani nie pojawił się w oknie. Dwór Katarzyny Włodkowej spał – domownicy nie podejrzewali nawet, że oto właśnie, już za chwilę, wydarzy się coś, co na wieki niczym piorun rozłupie Rzeczpospolitą i na zawsze odmieni życie obecnych. Nie tylko ich, ale synów, córek, a nawet wnuków.

Tylne drzwi zamajaczyły bladą krechą. Teraz nie było już po co się ukrywać. Żółkiewski machnął ręką i zakomenderował krótko swoim harcerzom:

– Bij!

Błysk rozdarł mroki nocy, kiedy huknęły lufy rusznic i półhaki. Kule uderzyły o ściany, przebiły okna i okiennice, z góry posypał się gont i szkło.

– Drzwi rąbać! – rozkazał Żółkiewski. – Sami tu, ruszać się!

Hajducy i Lipkowie skoczyli z toporami. Głuche uderzenia w bale wstrząsnęły posadami dworu. Żółkiewski usłyszał strzały z drugiej strony – to bili w okna ludzie Urowieckiego. Nieregularny suchy trzask wystrzałów,

kwaśna woń siarczanego dymu; przebili się!

Drzwi nie opierały się długo, cięte, rąbane, podważane żelaznymi drągami, poddały się z chrzęstem, zwały na plecy niczym chory człowiek. Wtedy świsnęły szable dobywane z pochew, zabłysło światło latarni i zbита grupa pachołków wpadła w czarną czeluść dworu.

Żółkiewski skoczył za nimi, poganiając, krzycząc, płazując szablą. Wpadli do wielkiej sieni zawieszanej rogami jeleni, turów i kozłów, zastawionej skrzyniami i ławami. Usłyszał trzask i uderzenia z drugiej strony, potem huk pękającego drewna, który obwieścił, że atak hufca Urowieckiego został uwieńczony powodzeniem.

Omiał na siebie nie wpadli; na szczęście z przodu szli harcerze z toporami i szablami, a nie strzelcy, inaczej postrzelaliby się w ciemności. Żółkiewski ukazał schody na górę, drzwi wiodące do świetlicy i zagrzmiał, dodając wigoru swoim ludziom:

– Żywcem brać!

Sam pierwszy ruszył do świetlicy. Pchnął drzwi – były zawarte. Nie musiał nawet rozkazywać – od razu uderzyły w nie topory, skrzesaly iskry na żelaznych sztabach odchodzących od zawiasów. A potem zasuwy pękły, drzwi otwarły się, huknęły o ścianę, a tłuszcza wpadła do wielkiej izby.

Czeladnicy i hajducy rzucili się na rabunek, ale Żółkiewski skierował się pod ścianę, gdzie stało wielkie, zasłane poduchami i piernatami łoże. Zobaczył skotłowaną pościel, sajdak z łukiem i kołczan wiszące u wezgłowia, a zamiast poszukiwanego tylko ślady jego obecności: przewrócony dzban, rozlane wino. Szablę z rapcami na kobiercu. Zatrzymał się, bo poznał węgierską szerpentykę.

– Nie ma broni! – zakrzyknął. – Szukajcie wszędzie!

Z tyłu, z drugiej połowy dworu, usłyszał wrzaski, szcęk żelaza, pisk i płacz. Wyrwał latarnię śludze i zawrócił na pięcie, zaplątał się w sieni w porozrzucane trofea myśliwskie, szaty, szuby i koszule, które zapobiegliwa i swawolna czeladź wyrzuciła ze skrzyń, jakby właśnie tam miał się ukrywać Zborowski.

I wtedy z izby po lewej wypadł mały chłopiec w pokrytej posoką, porwanej koszuli. Krzycząc rozdzierająco i pozostawiając po sobie ślad krwi.

Krzyk! Przenikliwy, niski. Wrzask niewiast. Prowadzili je z góry, po schodach – w koszulach, w czamarach, zarówno Włodkowską, jak jej służki.

– Przebóg! – darł się głos. – Oleś zabity! Pan Stadnicki kona!

– Usieklili! – ryczała młoda dworka, szlochając, wyjąc, drąc sobie włosy z głowy, na kolanach, nad ciałem młodego sługi.

– Tutaj! Tutaj, mości rotmistrzu! – krzyczał Charłęski, kiwał dłonią i pokazywał jakieś drzwi.

Żółkiewski był przy nich w trzech krokach. Wpadli z szablami, z pistoletami do alkierza, zaświecili latarniami i pochodniami. Tutaj, na łożu pod dywańskim kobiercem obwieszonym bronią, znaleźli dwoje ludzi. Młoda, złocistowłosa panna, chyba nie dziewczka, bo w białym giele, i... Z łoża podniósł się potężny, brodaty, podgolony szlachcic. Popatrzył smutno na tych, którzy nachodzili go po nocy.

– Czego chcecie?

– Ciebie! – prychnął Urowiecki.

– Pójdź do pana kanclerza! – zagrzmiał Żółkiewski, a potem dodał krótko i treściwie: – Z nikim nic nie mów, bo będziesz zabity!

5.

Zborowski poderwał głowę, słaby i wycieńczony. Zasnął w karecie, z głową wspartą na łokciu. Kopyta końskie łomotały po bruku, jechali jak po szkle. Odsunął firanę w oknie, wyrzwał, mrużąc oczy od złotego blasku.

Był późnoletni świt. Jechali przez ogromny rynek, mijając z turkotem wysoki biały ratusz zwieńczony poszarpaną attyką. Dalej ciągnęły się długie rzędy kamienic z podcieniami, a z prawej strony wyrósł ogromny, zwalisty kościół w planie krzyża, nakryty kopułą, otulony lasem drewnianych rusztowań i drągów. Taki rynek, taki ratusz i taki kościół mogły znaczyć tylko jedno: byli w Żółkwi.

W pełnym pędzie przejechali przez wysoką, dwupiętrową bramę z dwuspadowym dachem. Pojazd zakręcił przed gankiem, zatrzymał się na wprost schodów wiodących na piętro. Zgrzytnął klucz, drzwiczki otwarły się, dwaj rajtarzy prawie wynieśli Zborowskiego z karety. Poprowadzili na górę, do sieni, z niej do przedsionka i wreszcie do czerwonej sali o ścianach obitych brytami aksamitu. Na ogromnym marmurowym kominku płonął ogień, okna wychodziły na południe, na rozlewiska Świny, w których odbijało się poranne słońce.

Znad blatu okazałego kabinetu podniósł się starszy, grubawy szlachcic o gębie ozdobionej krótką brodą. Wpatrzył się w Zborowskiego spokojnym wzrokiem. Patrzył i nic nie mówił.

– Jegomość Zborowski – rzekł sługa w srebrze, który majaczył nad ramieniem hetmana jak nieodłączny



cień. – Syn onego.

– Wszyscy odejść! – zakomenderował stary. – Ty, Janie, zostań – zreflektował się po chwili.

Rajtarzy odeszli trochę niepokieszeni – jakby liczyli na lepszą nagrodę niż krótka odprawa.

Stary wciąż wpatrywał się w Zborowskiego i trudno było dociec, czy czynił to z nienawiści, czy z afektu.

– Poznajesz mnie? – zapytał.

– Oczywiście, mości panie hetmanie – odparł Zborowski. – Gdzie kat? Jeszcze nie posłaliście? Skończ wreszcie, waszmość, to, co zacząłeś w Piekarach ponad trzydzieści lat temu.

– Ot, jegomości na szutki się zebrało – mruknął Stanisław Żółkiewski. – A skąd waść wiesz, że chcemy nastawać na twoje zdrowie?

– Jeśli porywacie mnie w środku nocy ze dworu przyjaciół, to nie mogę się spodziewać tryumfalnej bramy. A jeszcze że chwytają mnie śludzy człowieka, który mego ojca...

– Uchowaj cię Boże od takich kompanów – uciał Żółkiewski. – Tak. Masz prawo mieć do mnie rankor. Stało się, co się stało. Winienem ci wytłumaczenie. Więc lepiej usiądź, kiedy usłyszysz, dlaczego kazałem cię tu sprowadzić.

Zborowski chciał wzruszyć ramionami. Chciał, bo prawe było niewładne. Wzruszył więc lewym i uśmiechnął się smutno.

– Wybacz – Żółkiewski pokręcił głową – że nie wysłałem ci zaproszenia w formie kartusza, ale nie było czasu. Kazałem cię tu sprowadzić, porwałem, jak mówisz, bo grozi ci śmierć.

Zborowski aż prychnął ze śmiechu. Pohamował się

po chwili.

– Wybaczcie, mości panie kanclerzu, ale to żadna nowina dla mnie. Śmierć tak często wchodzi mi w drogę, że można by rzec, iż stała się moją nałożnicą.

– Nie kpj, bo nie ma czasu – warknął Żółkiewski. – Zamoyski skazał cię na śmierć.

– Chyba z nieba, bo od piętnastu lat nie żyje.

– Skazał w testamencie, przed śmiercią.

– A wasza mość, jak zgaduję, jesteś egzekutorem wyroku?

– Ja miałem tylko dopilnować, by zabójca otrzymał nagrodę.

– Zapłacisz mu po mojej śmierci?

6.

Tak jak rozkazał, zatrzymali Tuhana w bramie Lwowskiej, przywieśli do miejskiego cekhauzu i przetrzymali, dopóki nie dotarł tam hetman polny. Spotkali się w ponurej sali pod lufami dział. Najwierniejszy sługa Zamoyskiego i największy przyjaciel pana na Zamościu.

– Pan kanclerz stracił rozum przed śmiercią – powiedział Żółkiewski, nie krępując się obecnością pięciu hajduków, Mrocza i dwóch jego sług. – Dlatego zmieniam jego rozkazy. Nie tkniesz Zborowskiego, zakazuję ci nawet myśleć o zabijaniu.

– Allah jest wielki – odparł Tuhan spokojnie. – Jednak mirza dał mi słowo i dokument, że za śmierć giaura jego spadkobierca wypłaci mi pieniądze. Złoto, które sprawi, że będę mógł walczyć o moje dziedzictwo. Dzieci

moje będą bejami, jak im się należy.

– Nic mnie to nie obchodzi. Zakazuję ci wykonywać ten rozkaz. Zostaw Zborowskiego w spokoju!

– Czy zapłacicie mi panie tyle, ile obiecał mirza?

– Nic ci nie zapłacę! – zakrzyknął Żółkiewski. – Dość tego! Nie wolno ci zabijać. Koniec i kropka.

– Ja zawsze będę posłusznym sługą pana – ozwał się spokojnie Tuhan. – Niech świętobliwy Allach zobaczy, że duszę mam czystą. Pan Zamoyski uratował me życie, ja wypełnię jego wolę do końca.

– Przeszukać go! – zakrzyknął Żółkiewski. – Szukajcie skryptu, musi mieć go przy sobie.

Mroczek i hajducy zdarli z Tuhana kaftan, czapkę, szablę, rozebrali go do koszuli; gdyby hetman przyzwolił, zdarliby i skórę.

– Nie ma, wasza miłość – zameldował Mroczek.

Żółkiewski wbił wzrok w nieprzeniknione oczy tatarskiego sługi.

– Poniechaj rozkazów kanclerza.

– Wasza mość mnie zabije, jeśli tego nie uczynię? I będzie mógł potem żyć?

Żółkiewski spuścił wzrok. Zaciśnął ręce w pięści.

– Masz ostatnią szansę, bo proszę cię po dobroci.

– Wola pana jest wolą Allacha – rzekł Tuhan. – A kto zamyka uszy na głos Boży, jest tylko robakiem pożartym przez szejtana.

– Mroczek! – zakrzyknął Żółkiewski. – Sam tu!

– Słucham?!

– Jedź do Azby Czelebiego, do posła chana. Zatrzymał się w Krasnym Stawie.

– Tak jest.

– I powiedz mu... Że dostanie prezent, za jaki chan

wszystkich ord każe go ozłocić. Dam mu człowieka, uciekiniera...

7.

– Powinienem był go zabić – opowiadał beznamyślnie Żółkiewski. – Przekleństwo, że nie lubiłem przelewać niewinnej krwi. Gadałem z nim jeszcze, ale łatwiej podniósłbym katedrę krakowską, niż namówił go, aby porzucił wolę nieboszczyka.

– Wierny jak pies? Zadziwiający.

– Bo to był pies. Tatarski. Zwali go Tuhanem, ale częściej po prostu janczarem pana Zamoyskiego. Uszedł z Krymu, był synem samego chana, Mehmeda Gireja wtórego, który zbuntował się przeciwko Turkom i został pozbawiony władzy Jego starszy brat Sadaat odzyskał Bakczysaraj, ale na krótko, potem zabito go w Moskwie. Młodszy wybrał Rzeczpospolitą. Zamoyski uratował mu życie, bo nie chciał wydać wysłannikom chana, którzy dopominali się tego na dworze królewskim. Ocalił go przed męką i śmiercią.

– A ty, co z nim zrobiłeś?

– Wydałem posłowi tatarskiemu Czelebiemu. Byłem zły, bo nijak nie dało rady przemówić mu do rozumu. Myślałem, że chan Ghazi Gerej ukreći łeb Tuhanowi jako kolejnemu pretendentowi do władzy, ale tak się nie stało.

Żółkiewski usiadł na krześle pokrytym aksamitem, sługa dolał mu wina do kielicha.

– Orda jednak pogryzła się jak wściekłe psy, każdy walczył z każdym, po Tuhanie ślad zagaął. Aż do maja

tego roku, kiedy otrzymałem nowiny od mego szpiega, Żydka z Jahorlika. Pisał, że Tuhan w kompanii kilku tatarskich kupców przekroczył granicę Rzeczypospolitej. Wrócił, aby wykonać wolę Zamoyskiego. Dlatego kazałem cię odnaleźć.

– I sądzicie, że będzie mu się chciało kończyć to wszystko po tylu latach? Zaiste zadziwiający przykład wierności, jak na Tatara.

– Zamoyski dał mu skrypt na ogromną sumę w złocie.

– Kto niby miałby mu je wypłacić po mojej śmierci? Jegomość pan wojewoda kijowski, syn kanclerski?

– Na papierach był podpis i sigillum, pierścień starego kanclerza. Z klauzulą wieczystego wykonania.

– Nie wierzę w zemstę po tylu latach.

– Bo, mospanie, nie wiesz jeszcze wszystkiego. Tuhan zawsze wykonywał wszystko, co kazał mu stary kanclerz. A jak nie wierzysz, to posłuchaj.

8.

Wywiedli go za Lubrankę, ku Stradomiu, ale zatrzymali przed furtką, mocno i stanowczo – Urowiecki z Drohostajskim, starostą przemyskim.

– Tu będzie dobrze, rozdiewaj się, Samusiu.

– Gdzie sukno?! – spytał Zborowski. – Jeszcze jestem szlachcicem, a nie trupem.

– Ot i jest sukno. – Urowiecki zerwał mu z ramion karmazynową delię podszytą sobolami. – Masz. – Cisnął mu ją pod nogi, na piach poprzerastany rzadką trawą.

Zborowski rozsuptał pas, oddał go pierwszemu lepszemu hajdukowi. Szarpnął za guzy żupana, począł wyluskiwać je z jedwabnych pętlic. Nie szło to sprawnie, Drohostajski podsunął się bliżej. Wyciągnął rękę.

Zborowski odepchnął go jak pijanego zawalidrogę.

– Idź, zdrajco! – mruknął. – Nie służ mi więcej.

Sam zrzucił żupan, cisnął go pod nogi Urowieckiego.

Spojrzał na wschód, w kierunku furty.

– Dajcie mi spojrzeć na świat.

– Podpiszcie, moiście panie Zborowski. – Zza pleców hajduków wychynał pisarz grodzki Bech z rulonem papieru i piórem.

– Co mam podpisać?

– Podpiszcie, podpiszcie.

Zborowski wyrwał mu pióro, przytknął do karty... Podpis miał zamaszysty, jak cięcie szabłą, na pół dokumentu.

A wtedy Mroczek skinął na rotmistrza Sernego, a ten sam osobiście włożył klucz w zamek, przekręcił. Pachołkowie odsunęli rygle, rozwarli oba skrzydła furty, otwierając skazanemu okno na świat. Samuel spojrzał na wschód. Ogarnął ostatnim, pożegnalnym spojrzeniem drewniany Stradom u stóp wawelskiego wzgórza, Kazimierz, gdzie spośród krytych gontem i dranicą dachów wynurzały się czerwienią dachówek kościoły: Świętej Katarzyny z sygnaturką pośrodku, Bożego Ciała ze szczytem najeżonym zębatymi sterczynami, a już za miastem kopiec Rękawki i kościół Świętego Benedykta. Daleko, za pochyłymi dachami kamienic, kościołów i bram, za zielonymi wzgórzami i lasami, widniały malutkie wioski, dopiero rozjaśnione przez wschodzące słońce.

Zborowski stał, a jego duch zdawał się ulatać, szybować przez powietrzne otchłanie.

– Hej, miły Boże! – rzekł Samuel. – Gdzież bracia moi mili, gdzież przyjaciele, gdzież słudzy, czegom ja wszystkiego miał dosyć?

Szarpnął zapięcie koszuli, rozluźnił ją, aby odsłonić szyję, i jednocześnie dobył z zanadru jedwabną, haftowaną chustę. Podał ją Mroczkowi.

– Miły mój Mroczku, rozmoczże ją we krwi mojej, dajże ją synowi.

– Panie Zborowski, myślcie o czym innym – mruknął Mroczek, ale wziął chustę, zgniótł ją w garści, oddał komuś stojącemu z boku, kto wyciągnął po nią rękę.

Kat już czekał, wielki, cichy Niemiec w kapturze i czarnym kubraku z naszytymi trzema kawałkami sukna: białym, czerwonym i zielonym.

– Już, zaraz – wymamrotał Samuel. – Już mi i na to przyszło tobie się modlić, to już ostatni mój kres, bo o śmierć mi nie idzie. Proszę cię tedy, żebyś mi nie przeszkadzał, póki się modlę, a kiedy powiem trzeci raz „Jezus”, dogadzajże dobrze, oto tobie i hajdukowi oddaję manelę.

Ukląkł i począł się modlić, ale niewyraźnie, prawie bez słów, z jego ust dobywał się szmer, czasem westchnienie, jakby dusza już szykowałą się do opuszczenia ciała.

Kat stał za jego plecami z długim, zakończonym płasko mieczem.

– Jezus!

Wiatr jakby powiał w gałęziach drzew. Hajducy ściągnęli czapki, nieliczni Lipkowie poruszyli się niespokojnie. Kat zadrżał, przełożył miecz do lewej ręki,

prawą się przeżegnał.

– Jezus!

Samuel powiedział to grobowym głosem, nastąpiła głucha, pusta cisza. Kat ścisnął oburącz miecz, brał zamach dygocącymi dłońmi. Mroczek dostrzegł to, spojrzął z dezaprobatą.

– Jezuuuuuuu!

Zborowski wykrzyczał to słowo, wykrakał jak wiekowy kruk. Wszyscy zadrżeli, Mroczek przymknął oczy, wśród czeladzi rozległy się jęki i krzyki.

Kat puścił miecz, krzyknął coś jak szalony... A potem odwrócił się i uciekł. Uciekł w stronę zamku, porzucając wszystko, ciskając miecz na trawę!

Podniosły się krzyki i wrzawa, Urowiecki i Mroczek skoczyli do Samuela, a ten trwał błądliwy, wyniosły niczym anioł, ze złożonymi do modlitwy dłońmi.

– Kończyć go! – krzyczał Mroczek.

– Łapać mistrza! – darł się Urowiecki.

To znaczy chcieli krzyczeć, bo ani jedno słowo nie przeszło im przez gardła. Po prostu... nie wierzyli własnym oczom.

I wtedy powstał cień. Ponury, śniady mąż z dumnie uniesioną głową, skośne oczy, wąsy opadające poniżej kącików ust. Tatarski kołpak, kocie ruchy.

Janczar.

Poderwał miecz jak trzcinkę. Wzniósł do ciosu – skosem, wziął zamach.

Krótką chwilą, szybka jak sama śmierć. Samuel odwraca głowę, w jego oczach pojawia się zdumienie.

– Cóż czynisz?!

I Tuhan odpowiedział. Ostrze wbiło się w szyję skośnie, przecięło mięśnie, ścięgna i kości, wyszło wraz ze



strugami krwi, zacięło w plecy...

Głowa potoczyła się w bok, wprost na podstarościego Urowieckiego. Szlachcic krzyknął, odskoczył, jakby bał się, że Zborowski może ukąsić nawet po śmierci.

9.

– Taki – zakończył opowieść Żółkiewski – to był, to jest diabelski sługa.

– Co z tą chustką?

– Jaką chustką?

– Którą mój ojciec dał Mroczkowi. Mroczek oddał. Komu?

– Chusta? A, tak... Oddał ją mnie.

– Tu jest – wtrącił się do rozmowy Jan, sługa i powiernik starego hetmana. – Tu ją macie.

Otworzył skrytkę w kabiniecie, wyciągnął z niej coś pogniecionego, zmiętego niczym łąchman.

Zborowski dosłownie wyrwał mu ją z ręki. Skrawek, strzęp materiału, pokryty brązowymi, spłowiałymi plamami, właściwie jedną wielką plamą.

Krew jego ojca.

– Drugą połowę – mruknął Żółkiewski – ma waści brat Aleksander.

Zborowski przymknął oczy. Zdawało się, że nie słucha.

– Za co Zamoyski kazał mnie zabić?

Żółkiewski spojrzał na Jana, ale ten uciekł wzrokiem w bok.

– Nieboszczyk pan kanclerz uważał, że śmierć twego ojca pozbawiła go nadziei na koronę. Że on powinien zasiadać na Wawelu, nie nasz najjaśniejszy pan.

– Władza to nikczemna rzecz.

– Mości panie Zborowski, wezwałem cię, aby cię chronić. Chciałbym, abyś pozostał pod moją opieką, póki nie schwytemy Tuhana. Albo cała ta sprawa nie wyjaśni się do reszty.

– Dziękuję pięknie, ale...

– Ale jesteś ranny. Ledwie żywy. Musisz odpocząć.

– Po co robicie to wszystko? Jestem banitą, może nawet wywołańcem. Wplątałem się...

– Splątane nici szlacheckiego żywota może rozplątać tylko ręka hetmana Korony Polskiej.

– Nie mam ziemi ani koligacji, a wszyscy moi przyjaciele dawno są w grobie. Po co?

– Aby odmienić twój zły los. Który sam ściągnąłem na ciebie, dobywając Samuela Zborowskiego z dworu w Jodkowej w Piekarach. W życiu bym nie pomyślał, że banita wziął tam sekretny ślub ze Swoszowianką... Z twoją matką.

– I że zabierzecie go wprost z małżeńskiego łóża w środku pokładzin?

– Mój grzech, moja zła wola. Moje życie się kończy, oby na służbie Rzeczypospolitej. Ty masz swoje przed sobą. Pomogę ci je ułożyć, sprawię, że będzie o wiele prostsze.

– Co zamierzacie?

– Pojedziesz odpocząć i leczyć się do mojego dworku pod Sambor. Niedaleko, przydałem ci strażę, a służbie przykazałem, aby spełniała wszystkie twoje rozkazy.

- Co w zamian?
- Wybacz, kawalerze, nie rozumiem?
- Czego oczekujecie w zamian?
- Niczego. To ja mam dług wobec ciebie.

Zborowski nie mógł wykrztusić słowa. A może po prostu był chory, połamany i zmęczony, że nie znajdował słów? Kanclerz i hetman klasnął w dłonie, jego sługa zadzwonił dzwonkiem, przywołując pokojowych.

– Wołaj Sulkiewicza! – rozkazał. – Niech ma staranie o pana Zborowskiego.

10.

Pierwszy raz ktoś zajmował się panem Zborowskim, a nie Zborowski kłopotami innych. Wezwany Sulkiewicz – śniady i młody sługa Żółkiewskich – przybył w asyście czterech dworskich komorników i zapakował Samuela do osobistej gdańskiej karocy hetmana. Wewnątrz była miękko wyściełana adamaszkiem, wykładana kobiercami – pewnie dlatego, że z powodu rany wyniesionej spod pamiętnej bitwy pod Byczyną Żółkiewski nie był w stanie dosiąść konia.

Ruszyli z kopyta. Zborowski widział tylko słoneczne błyski prześwitujące przez szpary w zasłonach, gdy pojazd pędził przez lasy i zagajniki.

Zawieźli go pod eskortą gdzieś pod Janów, w góry i lasy idące skosem do Lwowa i potem ku mołdawskiej granicy. Był tam mały dworek, ukryty za ścianą lip, ogrodzony płotami, obstawiony strażami z hajduków i chłopów. W środku czekał już medyk wezwany ze Lwowa,

który nacudował się długo przy Zborowskim, pomstując na pracę swego kompana ze dworu Herburta, który, jak sam mówił, dołożył tylko Samuelowi nowych cierpień i gorączki.

Ten uwinął się szybko. Dał driakiew, jak sam powiadał – z egipskiego faraona, zawinął i przewiązał pierś bohatera jeszcze mocniej niż poprzednio, napił ziołami na gorączkę i zapakował do łoża.

Sulkiewicz nie odstępował Samuela. Wyszedł, sprawdził strażę, pozamykał okiennice, zasunął kotary przy łożu, położył szablę bohatera u wezglowia, postawił tam także dzban z winem. Wyznaczył chłopca, który miał czuwać, i odszedł do gospodarskich zajęć.

A Samuel? Samuel pierwszy raz od miesiący, od lat zasnął zmęczonym snem rannego i spracowanego człowieka.

11.

Zbudził się w nocy, o dziwo, bez bólu. Prawdę mówiąc, w ogóle nie czuł połamanego i rozwalonego boku. Zabolało, dopiero kiedy poruszył prawą ręką. I to właśnie cierpienie przywołało go do świadomości.

Coś działo się na zewnątrz. Usłyszał kroki, głosy, brzęk żelaza, jakiś łoskot – pewnie kopyt. Nie miał siły tego sprawdzać; pewnie była to zmiana straży placowej. Tutaj, w dworze, czuł się chroniony jak w królewskim skarbcu.

A jednak musiał wstać z pewnej prostej przyczyny – wypitego wczoraj wina. Ostrożnie spuścił nogi na podłogę,

odszukał buty i szarawary. Wdział je z trudem, zataczając się jak ślepiec, potrącając po drodze dzban i zydel. Namacał okno, otworzył je i pchnął okiennicę. Komnatę zalało blade światło księżyca jarzącego się wśród leniwie płynących chmur. Samuel poczuł zimny powiew wiatru, przypominający, że było bliżej niż dalej do września.

Chwilę oddychał chłodnym powietrzem, wreszcie wrócił do łóżka. Chciał spać, spać i tylko spać.

W chwilę później rozległ się szmer. Cichy szcęk zapadki w zamku.

Zborowski spał.

Drzwi do alkierza otwarły się wolno, pojawiła się szpara, przez którą do komnaty mógł się przedostać człowiek.

I człowiek przeszedł. Czarny, w śpiczastym kołpaku, w kubraku i baczmagach. Skradał się jak lis, sprawdzał stopą deski podłogi, czy nie zaskrzypią zdradziecko.

Dotarł do łoża ze śpiącym Samuelem. W zębach miał handzar, w rękach wąski sznur, którego końce przeplótł między palcami, rozłożył, naciągnął. Ciężki łuku. Mocna, długa, nie do zerwania.

Rozciągnął ją między rękoma i zbliżył się do wezglowia. Pochylił się nad łożem i nagle przycisnął ją w miejscu, w którym powinna być szyja śpiącego...

Zwykle każdy człowiek zerwałby się teraz z krzykiem i tym samym owinąłby sobie ciężką wokół szyi.

Jednak Zborowski nie poruszył się.

Nieznajomy sapnął, pochwycił pierzynę i poderwał ją w górę, odkrywając... poduszkę i kłęb odzieży imitujący z grubsza śpiącego człowieka.

Zabójca poderwał głowę, obrócił się wściekły...

I wtedy Zborowski uderzył z całych sił urynałem. Rąbnął miedzianym naczyniem w łeb okryty kołpakiem.

Bił z lewej ręki, więc słabiej niż zwykle. Usłyszał tylko stłumiony brzęk, a nieznajomy opadł z sił, sflaczał, upadł plecami na pościel.

Samuel spojrział na wezgłowie, gdzie leżała jego szabla.

Nie było jej, tak samo jak nie było broni ojca w Piekarach!

Wzięli go zdradą! Skoczył ku drzwiom tak szybko, na ile pozwalał mu bolący bok. I rozdarł się, że i w powiecie było słyhać:

– Sulkiwiiiiic! Pomocy!

Dziwna rzecz, ale nikt mu nie odpowiedział. Był już przy samych drzwiach, kiedy usłyszał szcęk zasuw – otworzyły się nagle.

Na wprost niego stał Sulkiwicz – bez czapki, z wygoloną po tatarsku głową, z szablą w rękę.

– Jan... – chciał zawołać: Janczar, ale potknął się, rzucił spojrzenie wstecz i opadł w dół, przyklęknął na jedno kolano.

Zakrzywiony handżar leciał przez mrok, obracając się w locie jak skrzydła wiatraka. Przemknął tuż obok głowy Samuela, uderzył w Sulkowskiego, wbił się w lewy obojczyk, przecinając materiał czamary.

Lipek nawet nie krzyknął, opadł w dół, na ziemię, wypuścił szablę. Prawą ręką chwycił za rękojeść hamdżara, wyszarpnął z rany, wypuścił, złapał drzwi i wstał.

Zborowski chciał przemknąć obok niego, uciec do sieni, a wtedy wierny sługa Żółkiewskiego postąpił pół kroku w bok, pchnął prawą ręką drzwi, zatrzasnął je i przesuwał zasuwę, zasłonił ją całym ciałem.

– Tuhan! – ryknął z bólem. – Jest twój!

Świat stanął dęba, wierny pacholek stał się mu rwą, Zborowski zwierzem w potrzasku. Skoczył w bok, pokuśtykał pod ścianę, przerażony, krzyczący. Nie miał broni! Nie miał szabli.

Aż przeklął sam siebie w duszy za durnowatość umysłu. Był we dworze, broń wisiała na ścianach.

Skoczył do dywańskiego kobierca, na którym było rynsztunku na pół chorągwi husarskiej. Nie było czasu – Sulkwicz szarżował na niego z gołymi rękoma, Tuhan przeskoczył dębowy stół.

Na chybił trafił chwycił długie drzewce, wyszarpnął lewą ręką i wciskając pod pachę, w ostatniej chwili zasłonił się przed zdrajcą!

To był niemal cud. Sulkwicz wpadł na ostrze partyzany, nabił się jak wieprzek na rożen, wrzasnął, zadygotał, wyrывая drzewce z ręki Zborowskiego.

I w tejsze samej chwili na Samuela wpadł Tuhan z Czekanem.

Było ciemno. Było ciasno. Samuel zerwał z haków całą broń, jaka znajdowała się na ścianie; szable, koncerze, karwasze, misiurki i animy rozleciały się po podłodze. Dość, że Tatar chybił – zamiast trafić w łeb, czekan przeciął puste powietrze, zabójca uderzył Zborowskiego tylko samą ręką. W bark – na szczęście lewy, zdrowy.

Samuel przesunął ręką po ścianie, namacał żelazną rękojeść, wyszarpnął z mroku coś, co okazało się buzdyganem – i z samego rozmachu, nie celując – uderzył po łuku, od dołu do góry, z całą siłą, z ostatnią desperacją.

Trafił w podbrzusze, w koronne klejnoty Tatara, przeciągnął cios po brzuchu, rąbnął w szczękę.

Tuhan poleciał w tył, zwałił się na plecy.

A wtedy Zborowski skoczył na niego, siadł jak nie przymierzając ladażnica na pijanicy. Lecz zamiast amorów wzniosł buzdygan do ciosu, chciał rozwalić łeb.

Niestety, Tatar wyrzucił biodra w górę, podniósł szlachcica na swoim brzuchu i – podrzucając nogi – uderzył Samuela kolanami w kark i plecy.

Szlachcic przeokoziółkował, przeleciał przez łeb przeciwnika. Padł na bok – ten bolący – zawył, zaskomlał, zdołał tylko obrócić się na plecy.

A wtedy Tuhan przygniół go kolanami do podłogi. Potworną siłą ucisnął rozwalony bok, połamane żebra.

Zborowski krzyczał, łzy ciekły mu z oczu jak małemu dziecku. Wypuścił z ręki buzdygan, miotał się, powalony i przygnieciony złowrogim ciężarem śmierci. Poczul zimne jak kamień palce zaciskające się na gardle.

To dziw, że jeszcze nie umarł. I jakoś nie wierzył w śmierć, im bardziej dławił go Tuhan, tym więcej siły Samuel znajdował do obrony. Prawa ręka była strzępem bólu, lewą macał w poszukiwaniu broni.

I znalazł, ale nie buzdygan.

Nagle jego palce zacisnęły się na cienkiej strunie, cięciwie łuku, którą Tatar chciał zadławić go w łożu.

To było jak przeznaczenie. Zrobił z niej użytek jak trzeba. Pochwycił lewą ręką, zarzucił na szyję tamtego – aby owinąć, złapał prawicą, czując, jak całe ciało rozbija się na małe kawałeczki. A każdy z nich był własnym cierpieniem. Samuel nie mógł krzyczeć, bo Tatar dusił go jak indora; nie mógł utrzymać cięciwy w prawej ręce, więc wepchnął ją w zęby, zacisnął.

I odsunął lewą rękę, zadławił wroga mocniej – wąską struną.

Chwilę siłowali się na podłodze.



Potem ucisk na szyję zelżał. Zborowski rzucił się, szarpał, kopnął kolanem między nogi tamtego.

I zrzucił balast, zwałił z siebie podduszonego Tuhana.

Od razu przekreślił się na brzuch, uderzył chorym bokiem w żelazny karwasz leżący na podłodze, zaszlochał z bólu jak dziewczka nad brzuchem pełnym grzechu, pełził przed siebie, złapał się krawędzi przewróconego zydlu, podciągnął lewą nogę i wstał.

Kulejąc, jęcząc z bólu, pokuśtykał do drzwi. Obrócił się i spojrzał, choć nie powinien tego robić.

Janczar wstawał, potrząsał wygoloną głową. I szedł, a raczej płynął w stronę Zborowskiego. Potrącił z chrzęstem blachy zbroi. Podniósł żelazny, zdobiony złotem buzdygan i ruszył.

Samuel osunął się na kolana. Nie mógł oddychać, prawa ręka była bezwładna, lewa bezsilna.

Patrzył, jak janczar zbliża się. Jak unosi buzdygan... oczy błyszczą w półmroku, a może to są ślepia wilków; czerwone rubiny na rękojeści handżara...

W mroku błysnął kindżał. Raz, drugi, trzeci. Wbił się w plecy Tuhana. Chlasnął po odchylonej do tyłu szyi, prawie oddzielając głowę od tułowia.

Zborowski, niewiele już wiedząc o świecie, zobaczył, jak jego prześladowca pada na bok, jak wiję się i skręca w śmiertelnej męce. Z ciemności wynurzyła się i przybliżyła ozdobiona dziegciowanymi wąsami gęba Huni.

Nikifor coś mówił, Samuelowi było już wszystko jedno.

– Który to już raz? – zapytał Kozak. – Liczyłeś, Samusiu? No tak, ty masz mnie za psa, ale ja wszystko porachowałem. Pod Kamieńcem to raz! W Jazłowcu dwa!

Teraz trzy. Zwolnij mnie wreszcie ze słowa i jesteśmy kwita!

– Śmierć cię uwolni – wybełkotał Samuel. – Zaraz umrę!

– Śmierć nie ma nic do tego! Myślisz, że się wykpisz, będąc nieboszczykiem?! W piekle wolę być wolny, niż służyć Zborowskiemu, na duszę murwy matki...

– Jebał cię pies – wymamrotał szlachcic. – Zostaw mnie.

Hunia błysnął w uśmiechu zębami. Uniósł kindżał, wzniosł go nad Zborowskim jak katowskie ostrze...

I opuścił, schował do pochwy.

– Chyba się starzeję, Samusiu. A może polubiłem służbę u ciebie? Bo przecież powinienem wrócić na Zaporozie z twoją głową u kulbaki. Co ja robię?! Jak to?!

Na dworze wszczął się ruch. Usłyszał kroki, krzyki, parskanie koni. Załomotały otwierające się drzwi do sieni.

– Tutaj, tutaj chodźcie! – zakrzyknął.

Otworzyły się drzwi, zabłyśły latarnie w rękach uzbrojonych sług. Pierwszy wpadł Bohusz, za nim cała gromada hajduków. Pacholek dopadł do Samuela, chwycił go za głowę. Potrzęsnał.

– Panie, panie! To my! Na pomoc!

– Umieram – wyjęczał Zborowski. – Teraz naprawdę umieram.

I padł na ręce Bohusza i Huni.

12.

A jednak nie umarł, co zakrawało na krotochwile

godną samego Stańczyka. Może w niebie nie było miejsca dla Zborowskich albo po prostu Pan Bóg nie chciał już kolejnego Samuela, a diabeł się go bał?

Wrócił do świata w łożu, obandażowany, nakryty pierzyną, w tej samej izbie, w której bił się z Tuhanem. Otoczony przez ludzi Żółkiewskiego i własnych pachołków.

– Jegomość! Jegomość! – zakrzyczał Bohusz. – Żyjesz!

– Co wam podać? – zapytał ktoś. – Jak się czujecie?

– Sprowadźcie księdza – jęknął Zborowski. – Z Sakramentem.

Ktoś wyszedł z izby, hajducy otwarli drzwi, cofnęły się, jakby do Zborowskiego wybierał się z ostatnim namaszczeniem co najmniej arcybiskup.

Zamiast biskupa przyszedł dostojny starzec w karmazynowej ferezji i czapce z trzęsieniem, od którego bił złoty blask.

Wszyscy przycichli, zaczęli się kłaniać.

– Przebóg – rzekł Zborowski – prosiłem księdza, nie hetmana.

– Ale i hetman udzieli ci absolucji – powiedział Żółkiewski. Dokuśtykał do łoża i siadł na krześle, które podsunęli mu usłużni dworacy. – Jakiej zresztą absolucji?! Wstawaj, żołnierzu! Ofiarowuję ci służbę i moją łaskę.

– Następnej łaski waszej miłości chyba nie przeżyję.

– Nie kracz – Żółkiewski ściszył ton i spuścił głowę.

– Miałem podejrzenia, że Sulkiwicz jest w zмовie z Tuhanem. Cóż zresztą miałem czynić, jak tylko wystawić ciebie na przynętę? Chciałbyś całe życie ukrywać się przed tym szaleńcem?

– Chciałbym mieć wreszcie spokój.

– O nie, nic z tego. Byłeś miotany przez Los i Fortunę jak liść w czasie burzy, ale teraz ja zadbam o twoją przyszłość.

– Mnie już nic nie potrzeba, jeno spokoju.

– Nie będziesz go miał. Dam ci porządny poczet, przyjmę do służby. Przydasz mi się, bo przed nami wielkie dzieła, z woli Jego Królewskiej Mości. – Żółkiewski wstał.

– Kuruj się i odpoczywaj, żołnierzu. Przyślę po ciebie niebawem, kiedy będziemy ruszać.

– Ruszać?

– Tak jest. Pokój z Turczynem jest nie do utrzymania. Idziemy na Multany, bronić hospodara Gracianiego od ordy. I dla ciebie znajdzie się miejsce.

– Do Mołdawii jeszcze mnie diabli nie ponieśli.

– A widzisz.

Zborowski westchnął, bo już nie wiedział, co zrobić. Nawet już nie to, że nie chciał, nie miał siły odrzucić hetmańskiej łaski. A ta – jako pańska – mogła jeździć nie tylko na pstrym, ale i zdradliwym koniu.

– Niechaj będzie, mości panie hetmanie... Gdzie dokładnie mamy wyruszyć?

– Na Cecorę – zagrzmiał Żółkiewski. – Bić pohańca. Nie może cię zabraknąć u naszego boku. A przede wszystkim wybacz i zgoda.

Zborowski uściśnął dygocącą dłoń starego hetmana.

I tylko czuł na dnie duszy, że teraz zaczną się prawdziwe kłopoty...

**KONIEC**

## Epigramata amicorum de opere autoris

*Errata priscorum satis quondamque sepulta  
Sarmaticae gentis perlege posteritas  
Fortia facta patrum, voluens, imitare legend  
Nunquam degenerans aemula posteritas*

Opowieści o Zborowskim nie powstałyby, gdyby nie pomoc moich drogich Przyjaciół. Jest ich zbyt wielu, by wszystkich wymienić, dziękuję jednak szczególnie: Ich Mościom Państwu Beacie i Jackowi Grzegorzakom za gościnę na zamku w Dubiecku. A także szermierzowi Tomaszowi Abramskiemu, dzięki któremu zwady i pojedynki stały się o wiele prawdziwsze.

## Przypisy

### *Starość Jazłowiecki*

**Zerwał się i stanął bokiem *in quartato*, a szerpentyna Ruszczyca wbiła się w blat – *in quartato*** zwano w dawnej sztuce walki szablą polską unik w bok na cięcie z góry lub pchnięcie. Polegało ono na dużym przekroku lewej nogi z jednoczesnym zejściem z linii cięcia – mówiąc krótko, walczący ustawiał się bokiem do przeciwnika. Tak samo *primą* nazywano długie zwykle cięcie z góry na dół.

**... na rynku, w sobotach ratusza przyozdobionego kamiennymi statuami** – mianem sobót określano w XVII wieku podcienia drewnianych budynków – zwykle cerkwi, ale także i innych domów.

**Woźny wywoływał Bernarda Jazłowieckiego** – konkurencji, która próbuje swoich sił w zawodzie pisarza historycznego i sadza starostów za biurkami, a muszkiety każe przewozić pod czaprakami końskimi, wyjaśniam, że popełnia kolosalny błąd, wspominając, jakoby w I Rzeczypospolitej rozlepiano listy gończe na jarmarkach czy rozstajach dróg. W XVII wieku umiejętność pisania i czytania nie była tak powszechna jak w XIX na Dzikim Zachodzie, zatem zamiast rozlepić plakaty, należało po prostu obwieścić nowiny plebsowi i pospólstwu.

Wiadomości o tym, kto został skazany na banicję, podobnie jak obwieszczenia królewskie, wywoływano na jarmarkach – zwykle robił to woźny, który wchodził na podwyższenie i wykrzykiwał nowiny tłumowi. Plotka potem roznosiła je o wiele skuteczniej po karczmach i zaściankach niż najlepsza nawet poczta. Z tej właśnie przyczyny zwano często banitów i infamisów wywołańcami.

**Wygodzimy mu niczym mistrz Nalewajce** – mowa oczywiście o zaporoskim atamanie Semenie Nalewajce, który pod koniec XVI wieku wzniecił powstanie na Ukrainie, a po jego klęsce został ścięty i poćwiartowany w Warszawie – być może od jego nazwiska wzięła się nazwa dzielnicy Nalewki.

**Szedł obok kolasy, trzymając lejce, niby prosty czumak...** – czumakami zwano Kozaków zaporoskich, którzy trudnili się transportem towarów – często z Ukrainy na Krym. To prawdopodobnie oni byli twórcami zaporoskiej sztuki walki taborem utworzonym z wozów, jako że tak właśnie czyniły karawany wozów kupieckich podróżujących po Ukrainie w owych niebezpiecznych czasach.

**Przeprowadź skrutynium, dowiedz się więcej o waśni między ojcem i synem** – mianem *skrutynium* określano w dawnej Polsce śledztwo wszczynane przez podstarościego lub starostę względnie zarządzone przez sąd. Ciekawe, że prowadził je... woźny ziemski, który poza dostarczaniem pozwów szlachcie był jednocześnie... pierwowzorem staropolskiego detektywa. Tak więc gdy w roku tysiąc sześćset dwudziestym drugim wilczyca kresowa

Teofila Chmielecka, żona słynnego zagończyka Stefana, obcięła nos Annie Walickiej za amory z mężem, woźny przysłany przez sąd w Żytomierzu szukał tego nosa po ulicach i śmietnikach i wreszcie stwierdził urzędowo, że dowód rzeczowy przez psy pożarty został.

**Ogromne, kosmate meklemburczyki przy paradnym brożku...** – brożkiem określano pod koniec XVI i na początku XVII wieku paradną karetę pozbawioną okien, ale pod dachem, czasem z zasłonami. Był to wielki postęp w konstrukcji pojazdów, gdyż skrzynia brożka zawieszona była na skórzanych pasach – pierwowzorach resorów łagodzących wstrząsy. Brożkiem wjeżdżała do Krakowa w tysiąc sześćset piątym roku królowa Konstancja, druga żona Zygmunta III Wazy, co zostało uwiecznione na Rolce sztokholmskiej, jednym z najciekawszych źródeł pokazujących dawną Polskę.

**... z kulbaką nakrytą wzorzystym czoldarem, obszytym chwostami i frędzlami, zdobionym w złote i karmazynowe pasy...** – czoldar w przeciwieństwie do czapraka był nakładany nie pod kulbakę, ale na nią – przykrywał prawie cały grzbiet konia razem z siodłem, podobnie jak czaprak z czasów napoleońskich okrywający cały rysz tunek jeźdźca.

*Kniahini*

**... młodą przechodkę w lnianym kształciszku i lubkach ozdobionych wieńcem polnych kwiatów –**



kształciszkim nazywano w dawnej Polsce suknię kobiecą bez rękawów, którą nosiły zarówno dziewczynki, jak i dorosłe niewiasty. Utrzymały się one w modzie plebejskiej aż do połowy XVII wieku, jeszcze na początku tego stulecia można zobaczyć je na portretach szlachcianek. Łubka zaś była kobiecym nakryciem głowy – rodzajem czapki ozdobionej wieńcem z kwiatów.

**Czy ty mnie, ścierwo, bierzesz za zwodnika** – zwodnik to określenie z pięknej staropolszczyzny, którego odpowiednikiem w dzisiejszym chamskim i zepsutym języku polskim jest alfons.

**... buchnął zza niej smród jak z prywetu...** – prywet oznaczał po prostu ubikację w dawnym dworze lub pałacu. Wbrew temu, co można sądzić, nie były to prymitywne i okropne urządzenia – zwykle doprowadzano do nich wodę z dachu lub strumienia, zaopatrzone były także w zakrywki pokryte skórą, aby fetor nie przenikał do pomieszczeń.

**Woźny, otwórz drzwi!** – zadekretował starosta – stary rytuał z otwieraniem drzwi w czasie ogłaszania wyroku śmierci wywodzi się z trybunałów, a nie sądów grodzkich i ziemskich. Nie mogłem się jednak oprzeć, aby go nie przedstawić, cytując oczywiście wszystko za niezawodnym Jędrzejem Kitowiczem („Opis obyczajów za panowania Augusta III”).

**Zborowski puścił uparty popręg, który za nic nie dawał się zapiąć na ostatnią dziurkę** – popręg to oczywiście gruby pas, którym kulbaka lub siodło

przymocowane jest do końskiego grzbietu – zwykle przechodzi pod brzuchem wierzchowca, w odległości dłoni od nóg zwierzęcia. Staropolskie kulbaki miały zwykle dwa takie paski, natomiast terlice miały jeszcze trzeci, obejmujący poduszkę na siedzisku.

**Miron klęczał pod oknem, na wprost analogionu okrytego złotogłowiem...** – analogion to wysoki, ścięty ukośnie stół, na którym w liturgii prawosławnej ustawia się książki i święte obrazy.

**Zedrå mu skórę hakami, wywleką wåtþia ze środka, jak mistrz Jakub zbója Sałatę...** – rozbójnika Sałatę schwytały chorągwie koronne w roku tysiąc sześćset szóstym na Podolu i dostarczyły do Baru, gdzie został poćwiartowany. Informuje o tym szczegółowo pamiętnik Samuela Maskiewicza, który zresztą w jego schwytaniu brał udział razem z całą chorągwią.

*Panowie Krehowieccy*

**Molto diletta al gusto intero e sano, l'opra della prima arte, che n'assembra** – to oczywiście fragment sonetu Michała Anioła Buonarrotiego, który w polskim przekładzie brzmi mniej więcej tak: To rozkosz jedyna dla znawcy spoglądać na pierwszorzędny płód misternej sztuki.

**Tego pierwszego, kiedy spanoszył się i spieniżył na wojnach moskiewskich, zabili chłopci pod Tyczynem, kiedy na targ jechał kolasą z góry** – większość historii

opisanych na łamach niniejszej książki wydarzyła się naprawdę lub też są to plotki i złośliwe obmowy sąsiedzkie z XVII wieku. Opowieść o fałszywym szlachcicu zabitym przez chłopów można znaleźć w „Liber Chamorum” Waleriana Nekandy-Trepki i dotyczyła ona niejakiego Zagórowskiego, który w roku tysiąc sześćset dziesiątym, jadąc z targu z Miechowa, rzekł plebejom: „Zstępujcie, chłopie”. Oni zaś rzekli mu na to: „I tyś sam chłop”. Kiedy się porwał do korda, zabili go chłopie kijami. W tej samej zacnej i zabawnej księdze przeczytać można także o Bzickich, Bzowskich i wiele historii dotyczących szlachty, plebejów i chłopów z XVII wieku. „Liber Chamorum”, czyli naprawdę „Liber Generationic Plebeanorum” – Księga Rodzaju Chłopskiego – przez długie lata uznawana była przez historyków – zwłaszcza komunistycznych – za wymysł szelmy i wariata, nienawidzącego chłopów, którym jednak Walerian Nekanda-Trepka niewątpliwie nie był. Dziś zęby bołą, kiedy wyczytuje się bzdury płodzone przez współczesnych publicystów, piszących, jakoby była to pierwsza staropolska lustracja albo księga donosów, i porównujących ją do akt Instytutu Pamięci Narodowej. Tymczasem wszystko wskazuje na to, iż jest to po prostu zbiór przeróżnych plotek, historii i kalumnii zapisanych przez autora ku uciesze potomnych. Dobra odtrutka na Sienkiewicza i jego epigonów, Trepka bowiem pokazuje prawdę o życiu w dawnej Polsce. Prawdę brutalną i dziką, lecz jakże fascynującą. Bez „Liber Chamorum” i specyficznego czarnego humoru pana Nekandy nie byłoby ani „Diabła Łańcuckiego”, ani „Zborowskiego”.

**... wersety z Biblii Chińskiej, z dalekiego Kitaju,  
które tylko żonatym pokazywać można – ową**

zadziwiająco biblię znaleźć można w inwentarzu skarbców radziwiłłowskich sporządzonym dla Hieronima Floriana Radziwiłła w XVIII wieku. W księdze pod tytułem: „Rzeczy, którymi najgodniejszymi mogą zabawić gościa” znajduje się arcyciekawa pozycja: „Biblia chińska w dwunastu częściach z kamienia tamecznego szpekstejnu w różnych kolorach wyrabianych. Ta, lubo jest ciekawa, żonatym jednak ludziom pokazana być może i powinna”. Cóż to za księga i dlaczego można ją było dawać tylko gościom z małżeńskiego stadła? Znajac prostolinijność i fantazję naszych przodków, jest więcej niż pewne, że ową „chińską biblię” była ni mniej, ni więcej, tylko... Kamasutra, z oczywistych względów pokazywana mężom, a nie kawalerom.

### *Bracia ślubni*

**... w zielonkawym sukiennym żupanie z pągwiczkami** – pągvice to małe, drobne guziki, na które zapinano żupany, kontusze i żupice. Stosowano je zamiast dużych i grubych guzów – tyle przynajmniej mówią nam staropolskie portrety.

**Przy boku wisiała adziamska szabla z kształtnym krzyżem...** – mianem adziamskich określano wyroby pochodzenia perskiego. Persja bowiem była w XVII wieku prawdziwym centrum zdobnictwa i mody na Wschodzie. A przede wszystkim miejscem, z którego pochodziła większość ornamentów znanych u nas jako tureckie.

**... wyzłacając blaskiem ścierniska, na których jaśniały długie szeregi mendli** – mało kto dzisiaj, w dobie mechanizacji rolnictwa, wie, jak wyglądały żniwa jeszcze w latach osiemdziesiątych. Obecnie kombajny i maszyny ścinają zboża i od razu młóca, czyli oddzielają ziarna – ze słomy zaś formują wielkie, grube bele albo po prostu paczki. W XVII wieku było zupełnie inaczej. Po pierwsze, zboże ścinano ręcznie – sierpem, bo kosa służyła przede wszystkim do trawy. Ze ściętego pokosu formowano snopki – przewiązywane powróżkami, te zaś z kolei układano w stosy po kilkanaście sztuk, zwane właśnie mendlami (mendel znaczy 15 lub 16 sztuk, ale ja nie przypominam sobie, aby w takiej kupce zboża było więcej snopów niż 8-10). Postęp techniczny sprawił, że dziś znikł ze wsi polskiej obraz ściernisk ozdobionych długimi rzędami mendli, choć ostatnie można było spotkać jeszcze 20-30 lat temu.

**Ja z Niżu, z bractwa siczowego, a ten tu z włości** – Kozacy ukraiński dzielili się na dwie grupy, można by rzec – partie. Jedni stale przebywali i mieszkali na Siczy i byli to najlepsi, najbardziej zaprawieni w bojach Zaporozcy. Druga grupa – znacznie większa – mieszkała „na włości”, czyli po prostu na zamieszkałej części Ukrainy, gdzie posiadała futory i zimowniki, domy i chaty. Przybywali oni na Sicz na wyprawy zwoływane przez atamanów albo mieszkali tam przez cały sezon letni, na zimę zaś wracali do swoich gospodarstw. Z tym właśnie wiązał się podstawowy konflikt i problem kozacki. Zaporozcy mieszkający na włości nie chcieli bowiem podporządkowywać się starostom z miast i dzierżawcom wielkich majątków ziemskich, na których terenie

znajdowały się ich sadyby. Nie odrabiali pańszczyzny, nie płacili podatków i nader chętnie rwali się do bitki. W tysiąc sześćset dwudziestym drugim roku w Kaniowie znajdowało się 150 domów nieposłusznych Kozaków, podczas gdy tych, którzy płacili podatki, było tylko 140. W Czerkasach „posłusznych” było 120 domostw, podczas gdy kozackich – więcej niż 1000.

**Mam siedem nabitych rusznic i banditkę** – banditka była prawdopodobnie jakąś lekką odmianą rusznicy albo włoskim arkebuzem. W każdym razie jako taka figuruje w registrach skarbcza książąt Ostrogskich w Dubnie pod rokiem tysiąc sześćset szesnastym. Nazwa ciekawa, bo wywodząca się zapewne od włoskich rozbójników napadających na podróżnych i znanych potocznie jako *banditti*. Stąd właśnie pojawiło się w Polsce znane do dziś słowo: bandyta.

*Tuhan*

**Zyz tuzem! – rzucił Bohusz, udając zafrasowanie po rzekomej stracie talara** – dziś już nie sposób zrozumieć – z powodu braku źródeł – dawnych gier hazardowych. Słownictwo, którym posługują się Hunia i Bohusz, należy do tak zwanego żargonu karcianego, którego strzępy przetrwały do naszych czasów w wierszach i fraszkach. Próżno jednak łamać sobie głowę, co oznaczały poszczególne słowa; zwłaszcza że dawne karty wyglądały zupełnie inaczej niż dzisiejsze, a często występowały w nich różne talie i figury, dziś już zapomniane. W talii pod

koniec XVI stulecia były: cztery tuzy, czyli dzisiejsze asy, króle, wyżniki, niżniki, dwójki, trójki, czwórki i piątki, a zapewne także dziewiątki i dziesiątki. Ale co do tych ostatnich nie ma pewności, bo zarówno Jan Stanisław Bystron w „Dziejach obyczajów w dawnej Polsce”, jak i „Encyklopedia staropolska” podają zupełnie różne rodzaje kart, gier i sposobów rozgrywki.

Jędrzej Kitowicz w „Opisie obyczajów” jako stare gry wymienia pikietę, chrapankę i kupca. Wacław Potocki z kolei podaje w wierszach nazwy takie, jak: pancerol, kinol, pamfil. Na pewno starszą, poświadczoną już pod koniec średniowiecza, był flus zwany także tryszakiem. Oprócz tego prawdopodobnie w XVII czy XVIII wieku znane były także: kasztelan, wózek, matus primum, bieź, czyli bicz, nose, rus, družbart, zegarek, król, ramsz, pikieta, czyli ćwik. Być może istniały także dwie odmiany kart: polskie i francuskie. W naszych było tylko 36 kart w czterech kolorach; kart francuskich zapewne więcej.

Już Zygmunt I Stary, grając we fiusa z senatorami, mając dwa króle, kazał na trynkę, jakoby miał trzy króle, a siebie w to licząc – wziął grę – pisano. I jak tu się w tym wszystkim rozeznąć?

**... w kapturze i czarnym kubraku z naszytymi trzema kawałkami sukna: białym, czerwonym i zielonym** – kat, który tak w średniowieczu, jak i w baroku budził zawsze strach i trwogę i był osobą wypchniętą poza nawias społeczeństwa, musiał nosić w Krakowie trzy kawałki sukna we wspomnianych kolorach. Wszystko po to, aby nikt przypadkiem nie wziął go za uczciwego mieszczanina albo szlachcica i nie usiadł z nim do kufli czy kart.